

**John Steinbeck**

**Tortilla Flat**

*Przekład Jan Zakrzewski*

## [Rozdział 1](#)

*O tym jak Danny po powrocie z dalekich wojen został spadkobiercą i przysiągł opiekować się słabymi*

## [Rozdział 2](#)

*O tym jak Pilon kierowany zachłannością nadużył dobroci Danny'ego*

## [Rozdział 3](#)

*O tym jak grzeszna chęć posiadania walczyła z Pilonem i jak chwilowo owładnęła nim szatan*

## [Rozdział 4](#)

*O tym jak Jezus Maria Corcoran, w zasadzie dobry człowiek, stał się nieświadomym narzędziem w ręku szatana*

## [Rozdział 5](#)

*O tym jak święty Franciszek odwrócił kartę losu i po ojcowsku ukarał Piona, Pabla i Jezusa Marię*

## [Rozdział 6](#)

*O tym jak dzięki skrucie trzech grzesznicy osiągnęli spokój ducha i jak przyjaciele Danny'ego poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń*

## [Rozdział 7](#)

*O tym jak przyjaciele Danny'ego stali się symbolem dobra i jak pomogli biednemu Piratowi*

## [Rozdział 8](#)

*O tym jak w wigilię świętego Andrzeja przyjaciele Danny'ego poszukiwali legendarnego skarbu, jak Pilon go znalazł i jak następnie para granatowych spodni dwukrotnie zmieniła właściciela*

## [Rozdział 9](#)

*O tym jak Danny został opętany przez odkurzacz i jak ocalili go przyjaciele*

## [Rozdział 10](#)

*O tym jak dobrzy przyjaciele pocieszyli kaprala i w nagrodę otrzymali lekcję ojcowskiej etyki*

## [Rozdział 11](#)

*O tym jak w bardzo niesprzyjających okolicznościach Wielkiego Joe Portugalczyka nawiedziła miłość*

## [Rozdział 12](#)

*O tym jak przyjaciele pomogli Piratowi spełnić ślubowanie i jak psy Pirata w nagrodę za doczesne zasługi miały święte widzenie*

[Rozdział 13](#)

*O tym jak przyjaciele pomogli Piratowi spełnić ślubowanie i jak psy Pirata w nagrodę za doczesne zasługi miały święte widzenie*

[Rozdział 14](#)

*O dobrym życiu w domu Danny'ego, o podarowanym prosiaku, o bólu Wysokiego Boba i wzgardzonej miłości wiejo Ravanno*

[Rozdział 15](#)

*O tym jak Danny rozmyślał i zwariował i jak szatan pod postacią Torellego nawiedził dom Danny'ego*

[Rozdział 16](#)

*O smutku Danny'ego, o tym jak pełni poświęcenia przyjaciele Danny'ego wydali przyjęcie i jak Danny stał się tylko symbolem*

[Rozdział 17](#)

*O tym jak nieutuleni w żalu przyjaciele Danny'ego zakłócili tradycję, jak symbol świętej przyjaźni został spalony i jak przyjaciele się rozeszli każdy w swoją stronę*

Jest to opowieść o Dannym, o przyjaciółach Danny'ego i o domu Danny'ego. Jest to również opowieść o tym, jak Danny, jego przyjaciele i jego dom stali się nierozzerwalną całością: i jeśli w Tortilla Flat mówi się o domu Danny'ego, nie ma się na myśli drewnianego szkieletu niegdyś obitego bielonymi deskami i rosnącej przed nim wybudanej dziko róży kastylskiej. Nie, gdy się mówi o domu Danny'ego, mówi się o całości, na którą składają się ludzie, ich radości i smutki, dobroć i słabości. Dom Danny'ego przypominał legendę o Okrągłym Stole, a jego mieszkańcy Rycerzy siedzących wokół Stołu. I ta opowieść przedstawia pełną historię życia się mieszkańców domu Danny'ego, historię rozkwitu ich Jedności i powstania potężnego i mądrego zespołu. Nie został tu również pominięty opis przygód przyjaciół Danny'ego i ich dobrych uczynków, a co najmniej ich dobrych myśli i dobrych intencji. Z opowieści tej dowiemy się także o tym, jak zginął talizman i jak rozpada się Jedność.

O wszystkim tym wiedzą doskonale mieszkańcy Monterey, starego miasta na wybrzeżu kalifornijskim, i często o tym mówią, dodając wiele barwnych szczegółów. Trzeba więc było wreszcie spisać całą historię, aby uczeni przyszłych pokoleń, słysząc legendę o Dannym, nie mogli powiedzieć, jak mówią o królu Arturze bądź o Rolandzie, bądź o Robin Hoodzie: „Nie istniał żaden Danny ani jego przyjaciele, ani jego dom. Danny to po prostu bóstwo, a jego przyjaciele to prymitywne symbole wiatru, nieba i słońca”. Tak, zadaniem opowieści jest po wsze czasy spędzać grymas lekceważenia z ust zgniętych historyków.

Monterey osiadło na zboczu wzgórza, przed nim ściele się niebieska zatoka, a za nim wznosi ciemny las wysokich sosen. W niższych dzielnicach miasta mieszkają Włosi i Amerykanie, rybacy

i pakowacze ryb. Ale na wzgórzu, gdzie las i miasto się zazębiają, gdzie ulice nie znajdują asfaltu, a skrzyżowania latarni, obwarowali się starożytni mieszkańcy Monterey, tak jak starożytni Brytowie obwarowali się w Walii. To są *paisanos*.

Mieszkają w drewnianych ruderach wśród zarośniętych zielskiem podwórek i samotnych sosen. Obcy jest im merkantylizm, nie uznają skomplikowanych metod handlu amerykańskiego, a nie mając nic, co warto by ukraść, zastawić albo wykorzystać w celu zarobkowym, są odporni na te pokusy, które innych zniszczyły.

Kto to jest *paisano*? Mieszaniec krwi hiszpańskiej, indiańskiej, meksykańskiej i ras europejskich. Jego przodkowie mieszkali już w Kalifornii lat sto czy dwieście temu. Mówi po angielsku z akcentem *paisano* i po hiszpańsku z akcentem *paisano*. Kiedy go

zapytać, jakiej jest rasy, z oburzeniem odpowiada, że w jego żyłach płynie czysta krew hiszpańska, i podwija rękawy, żeby pokazać prawie białą skórę przedramienia. Brąz twarzy, przypominający barwę dobrze wypaloną piankową fajkę, przypisuje słońcu. Jest po prostu *paisano* i mieszka na wzgórzu nad miastem, w dzielnicy zwanej Tortilla Flat, czyli Równina Tortilla, chociaż teren wcale tu nie jest równy.

Danny jest *paisano* i wychował się w Tortilla Flat, i wszyscy go lubili, mimo że nie wyróżniał się niczym specjalnym z bandy rozwrzeszczanych dzieciaków. Prawie ze wszystkimi w Tortilla Flat spokrewniony był więzami krwi albo miłości. Jego dziadek należał do poważanych obywateli dzielnicy, mając dwa domki w Tortilla Flat. Bardzo go z tego powodu szanowano. Jeśli dorastający Danny wolał sypiać w lesie albo pracować na okolicznych ranczach, albo walczyć z wrogim światem o wino i pożywienie, to nie z braku wpływowych krewnych. Danny był krępy, miał smagłą cerę i wiele dobrej woli. W wieku dwudziestu pięciu lat nogi jego były wygięte jak pałaki i dokładnie pasowały do boków konia.

Właśnie wtedy, kiedy Danny miał dwadzieścia pięć lat, wybuchła wojna z Niemcami. Danny i jego przyjaciel Pilon (pilon, przy okazji chcę to wyjaśnić, oznacza coś, co jest rezultatem zawarcia spółki - zysk czy łup) mieli dwa galony wina, gdy dowiedzieli się o wojnie. Wielki Joe Portugalczyk zobaczył odbicie słońca na gąsiorkach między sośnami i przyłączył się do Danny'ego i Piona.

W miarę ubywania wina w gąsiorkach w trojgu przyjaciółach wzrastał patriotyzm. A kiedy wszystko wypili, ruszyli krętymi uliczkami do miasta, w imię przyjaźni i dla większego bezpieczeństwa

trzymając się pod ręce. Stanęli przed biurem poborowym w Monterey i głośno krzyczeli za Ameryką i przeciwko Niemcom. Tak długo wykrzykiwali obelgi pod adresem Imperium Niemieckiego, że obudził się sierżant prowadzący biuro, włożył mundur i wyszedł na ulicę, chcąc uciszyć awanturników. I został już z nimi, i wciągnął ich na listę ochotników.

Stanęli rzędem przed biurkiem. Przeszli wszystkie próby z wyjątkiem próby trzeźwości. Sierżant zapytał najpierw Piona:

- Do jakiej broni chcesz pójść?
- Wszystko mi jedno - odpowiedział Pilon zawadiacko.
- Potrzeba takich jak ty w piechocie. - I zapisał Piona do piechoty.

A potem obrócił się do Wielkiego Joe, który właśnie zaczął trzeźwieć.

- A ty gdzie chcesz iść?

- Do domu - odparł Wielki Joe zmęczonym głosem. Sierżant także wpisał go do piechoty. Wreszcie spojrzął na Dan-

ny'ego, który spał stojąc. - A ty gdzie chcesz iść?

- Że co? - spytał Danny.

- Do jakiej broni?

- Kto broni, kogo broni?

- Co umiesz robić?

- Niby ja? Wszystko umiem robić.

- Masz jakiś zawód?

- Niby ja? Jestem mulnikiem.

- Naprawdę? A z iloma mułami dasz sobie radę?

Danny pochylił się na chwiejnych nogach i z zainteresowaniem zapytał: - A ile ich macie?

- Około trzydziestu tysięcy - odparł sierżant. Danny machnął ręką. - Dawajcie.

Więc Danny pojechał do Teksasu i przez całą wojnę ujeżdżał muły, Pilon maszerował po Oregonie, a Wielki Joe, jak się wkrótce wyjaśni, poszedł do mamra.

# Rozdział 1

*O tym jak Danny po powrocie z dalekich wojen został spadkobiercą i przysiągł opiekować się słabymi*

Kiedy Danny wrócił z wojska do domu, dowiedział się, że jest spadkobiercą i właścicielem nieruchomości. *Viejo*, to znaczy dziadek, umarł, pozostawiając Danny'emu dwa domki na Tortilla Flat.

Gdy Danny o tym usłyszał, przytłoczyło go bardzo poczucie straszliwej odpowiedzialności. Nim więc poszedł obejrzeć domy, kupił galon czerwonego wina i w samotności wypił prawie cały. Wtedy ciężar odpowiedzialności ustąpił miejsca prawdziwej naturze Danny'ego. Zaczął pokrzykiwać, połamał parę krzeseł w speluncie przy Alvarado Street oraz odbył dwie krótkie, ale pełne chwały walki. Mało kto jednak zwracał na niego uwagę. Wreszcie energiczne wymachiwanie pałkowatymi nogami przywiodło go w pobliże mola, gdzie o wczesnej godzinie poranku włoscy rybacy w gumowych butach siadali do kutrów, by jechać na połów.

Rozsądek Danny'ego rozpułnął się w uprzedzeniu rasowym. Zaczął grozić rybakom.

- Sycylijskie podrzutki! - przezywał ich. - Śmiecie z wyspy więziennej. Psy psów i taka wasza pieska natura. *Chinga tu mądre, Piojo*.

- Grał im na nosie i wykonywał nieprzyzwoite ruchy ręką poniżej pasa. Rybacy tylko się uśmiechali, przekładali wiosła i mówili:

- Jak się masz, Danny, kiedy wróciłeś do domu? Przyjdź do nas wieczorem, mamy nowe wino.

Danny był oburzony. Wrzeszczał coraz głośniej:

- *Pon un condo a la cabeza!*

A oni wołali: - Do widzenia, Danny, spotkamy się wieczorem!

- Powsiadali do swoich małych kutrów, wypłynęli za falochron, zapuścili motory i pyrkając, odjechali w morze.

Danny czuł się strasznie obrażony. Wrócił na Alvarado Street, po drodze wybijając szyby w oknach. Na drugim skrzyżowaniu wziął go pod opiekę policjant. Danny miał wielki szacunek dla policji i pozwolił się spokojnie prowadzić. Gdyby nie fakt, że dopiero co wrócił z wojska po zwycięstwie nad Niemcami, dostałby sześć miesięcy. Wobec wyraźnych okoliczności łagodzących sędzia wymierzył mu jedynie trzydzieści dni aresztu.

Tak więc przez miesiąc Danny odpoczywał na pryczy w areszcie miasta Monterey. Czasami rysował nieprzyzwoite obrazki na ścianach, czasami wspominał swoją wojskową karierę. Godziny płynęły wolno w celi miejskiego aresztu. Niekiedy dostawał na noc do towarzystwa jakiegoś pijaka, ale przestępczość w Monterey chyliła się ku upadkowi i Danny przeważnie spędzał czas samotnie. Z początku dokuczały mu trochę pluskwy, ale kiedy się przyzwyczyły do smaku jego krwi, a on do ich ukąszeń, wzajemne stosunki znacznie się poprawiły.

Znalazł sobie nawet wesołą zabawę. Złapał pluskwę, rozgniół ją na ścianie, obrysował ołówkiem i napisał: „Burmistrz Clough”. Następnym pluskwom nadawał imiona radnych. Po pewnym czasie cała ściana pełna była rozgniecionych pluskwów, opatrzonych nazwiskami miejscowych notablów. Dorysowywał im uszy i ogony, dodawał wielkie nosy i wąsy. Tito Ralph, miejscowy profos, był wstrząśnięty, ale chwilowo nie narzekał głośno, ponieważ Danny, mając wielki szacunek dla organów wymiaru sprawiedliwości, oszczędził sędziego pokoju, który go skazał, oraz przedstawicieli miejscowych sił policyjnych.

Któregoś wieczoru, kiedy w areszcie było bardzo smutno i samotnie, odwiedził Danny'ego Tito Ralph, przynosząc dwie butelki wina. Po godzinie wyszedł w celu uzupełnienia zapasów wina, a Danny mu towarzyszył, gdyż w areszcie było bardzo nieprzytulnie. Wstąpili więc do Torellego, gdzie nabyli wino i siedzieli, póki ich Torelli nie wyrzucił. Wtedy Danny położył się w lesie i zasnął, a Tito Ralph powłókł się chwiejnym krokiem do aresztu, żeby zameldować o ucieczce Danny'ego.

Jaskrawe słońce obudziło Danny'ego około południa. Postanowił ukrywać się cały dzień przed ewentualną pogonią. Biegał więc po lesie i chował się w krzakach, od czasu do czasu wyglądając spod poszycia jak ścigany lis. A wieczorem, ponieważ tradycji stało się zadość, wyszedł z ukrycia i zajął się swymi sprawami.

Były to sprawy bardzo proste. Chodził od restauracji do restauracji i pytał kucharza:

- Macie jakiś stary chleb dla psa?

A gdy wreszcie jeden łatwowierny kucharz zawijał skórki chleba, Danny porwał dwa plastry szynki, cztery jajka, barani kotlet i łapkę na muchy.

- Kiedyś ci zapłacę - powiedział.

- Nie musisz płacić za resztki - odparł kucharz. - Gdybyś ich nie wziął, byłbym je wyrzucił.

Po tym wyjaśnieniu w dużej części ustąpiły wyrzuty sumienia, jakie Danny miał z powodu kradzieży. Jeśli kucharz w ten sposób odnosi się do całej sprawy, to znaczy, że



wina Danny'ego nie jest znowu taka wielka. Wrócił do Torellego, wymienił cztery jajka, kotlet barani i łapkę na muchy na dużą szklanę grappy i wycofał się do lasu na kolację.

Wieczór był ciemny i wilgotny. Między czarnymi sosnami strzegącymi granicy Monterey od strony lądu zawisała bezwładnie biała jak mleko mgła. Danny pochylił nisko głowę i stawiał szybkie kroki, aby czym prędzej znaleźć się pod osłoną lasu. Spostrzegł idącą przed nim szybko sylwetkę. Gdy odległość się zmniejszyła, Danny rozpoznał rażny krok swego dawnego przyjaciela Pilona. Danny był człowiekiem szlachetnym, ale w porę sobie przypomniał, że sprzedał całą swoją żywność z wyjątkiem dwóch plasterków szynki i torebki suchych skórek chleba.

„Muszę go minąć niepostrzeżenie - postanowił. - Idzie on zresztą krokiem człowieka, który obżarł się pieczonym indykiem i innymi smakolukami”.

Nagle Danny spostrzegł, że Pilon kryje coś zazdrośnie pod kurtką na brzuchu.

- *Ai, Pilon, amigo* \ - zawołał.

Pilon przyspieszył kroku. Danny poderwał się do truchtu. - Pilonie, drogi przyjacielu, gdzie się tak spieszysz?

Pilon pogodził się z nieprzychylnym zrzędzeniem losu, stanął i czekał. Danny zbliżał się ostrożnie, przemawiając głosem pełnym entuzjazmu: - Szukałem ciebie wszędzie, najdroższy z najdroższych przyjaciół, bo akurat mam dwa wielkie kotlety z mięsa boskiej świni i torbę słodziutkiego białego chleba. Możesz czerpać z mojego bogactwa, Pilonie, drogi przyjacielu.

Pilon wzruszył ramionami. - Niech będzie - mruknął ponuro.

Poszli razem w las. Pilon był zadumany. Wreszcie stanął i obrócił się do przyjaciela. -

Danny - zapytał ze smutkiem - skąd wiedziałeś, że pod kurtką mam butelkę koniaku?

- Koniaku? - wykrzyknął Danny ze zdumieniem. - Ty masz koniak? Może niesiesz go dla chorej starej kobiety? - spytał naiwnie.

- Może chowasz go na ponowne przyjście naszego Pana Jezusa? Skąd zresztą mogę, drogi przyjacielu, odgadnąć przeznaczenie twojego koniaku! Nie jestem nawet pewien, czy go w ogóle masz. Poza tym wcale nie chce mi się pić. Nie tknąłbym twojego koniaku. Chętnie ci służę moimi kotletami, ale jeśli idzie o twój koniak, niech zostanie on w dalszym ciągu wyłącznie twój i niczyj więcej.

Pilon odparł surowo: - Danny, chętnie podzielę się z tobą moim koniakiem, pół na pół. Idzie mi tylko o to, byś go sam nie wyłopał.

Danny zmienił temat. - Tutaj na polanie upieczemy mojego prosiaka, a ty uprażysz

słodkie ciasto, które mam w torbie. Butelkę z koniakiem postaw w miejscu, gdzie możemy ją widzieć, widząc jednocześnie siebie.

Rozpalił ogień, upiekli szynkę i jedli stary chleb. Poziom koniaku w butelce uparcie się obniżał. Gdy się najedli, usiedli bliżej ognia i pociągali delikatnie z butelki jak napęczniałe, rozleniwione pszczoły. Mgła opadła nisko i zszarzyła im kurtki wilgocią. Między sosnami wzdychał tęskno wiatr.

Po pewnym czasie serce Danny'ego i Pilon przytłoczył ciężar samotności. Danny myślał o swoich rozproszonych po świecie przyjaciółach.

- Gdzie jest Artur Morales? - jęknął, wyrzucając przed siebie dłonie z rozcapierzonymi palcami. - Zginął we Francji - odpowiedział sam sobie, obracając dłonie ku ziemi i opuszczając ręce gestem rozpaczy. - Zginął za swój kraj. Zginął na obcej ziemi, obcy ludzie przechodzą koło jego grobu i nawet nie wiedzą, że tam leży Artur Morales. - Znowu obrócił dłonie. - Gdzież jest nasz dobry Pablo?

- jęknął.

- W mamrze - stwierdził Pilon. - Pablo ukradł gęś i schował ją w krzakach. Gęś zaczęła bić skrzydłami i uderzyła Pabla. Pablo krzyknął i tak go złapali. Teraz siedzi w mamrze i będzie siedział jeszcze sześć miesięcy.

Danny westchnął i zmienił temat, gdyż zdał sobie sprawę, iż wykorzystał już w pełni jedyną osobę, która była godna słuchać jego przemówienia. Ale nie opuściło go przykre uczucie samotności,

które nadal gwałtownie domagało się ujścia. - Siedzimy sobie tutaj

- odezwał się wreszcie.

- Ze złamanymi sercami - dokończył lirycznie Pilon.

- Nie, to nie poemat - powiedział Danny. - Siedzimy sobie tutaj bezdomni. Oddaliśmy nasze życie ojczyźnie, a teraz nie mamy nawet dachu nad głową.

- Nigdy nie mieliśmy - usłużnie rozwinął tę myśl Pilon. Danny pił rozmarzony, aż Pilon musiał szturchnąć go pod żebro i odebrać butelkę.

- To mi przypomina historię o człowieku, który był właścicielem dwóch domów publicznych... - powiedział Danny i rozdziawił nagle usta. - Pilonie! - wykrzyknął. - Mój drogi przyjacielu, najmilsza istota pod słońcem, byłbym zapomniał! Jestem spadkobiercą. Jestem właścicielem dwóch domów!

- Publicznych? ~ spytał Pilon z nadzieją w głosie. - Nie, jesteś zapijaczonym łgarzem - uznał.

- Nie. Pilonie, złoty, kochany Pilonie, mówię prawdę. *Viejo* umarł, jestem spadko-

biercą, ja, najukochańszy z jego wnuków.

- Byłeś jego jedynym wnukiem - uzupełnił realista Pilon.

- Gdzie są te domy?

- Znasz dom, w którym mieszkał *viejo* w Tortilla Flat?

- Tu w Monterey?

- Tak, w Tortilla Flat.

- I w tych domach można mieszkać?

Danny siedział wyczerpany podnieceniem. - Nie wiem, zapomniałem, że je mam.

Pilon siedział zatopiony w myślach. Twarz mu posmutniała. Dorzucił do ognia garść sosnowego igliwia, patrzył, jak bucha w górę wysoki płomień i jak szybko przygasa. Potem Pilon długo wpatrywał się z głębokim niepokojem w twarz Danny'ego, wreszcie westchnął hałaśliwie parę razy.

- Teraz wszystko się skończyło - powiedział ze smutkiem.

- Skończyły się wspaniałe czasy. Twoi przyjaciele będą po tobie płakać, ale nic im nie przyjdzie z ich płaczu.

Danny odstawił butelkę, Pilon natychmiast ją zabezpieczył.

- Co się skończyło? - spytał z niepokojem Danny. - Co masz na myśli, przyjacielu?

- Często się zdarza - ciągnął Pilon - że gdy ktoś jest biedny, myśli sobie, że gdyby miał pieniądze, podzieliłby się nimi ze swoimi

dobrymi przyjaciółmi. Ale niech dostanie te pieniądze, ochota do miłosierdzia znika. Tak samo jest z tobą, mój były przyjacielu. Wyniosłeś się ponad przyjaciół. Jesteś teraz wielkim właścicielem dwóch domów, zapomnisz o swoich przyjaciółach, którzy dzielili się z tobą wszystkim, nawet koniakiem.

Te słowa niemile dotknęły Danny'ego. - Ja tego nie zrobię - zaprzeczył. - Nigdy nie zapomnę o tobie, Pilonie.

- Tak myślisz teraz - odparł zimno Pilon. - Ale kiedy zamieszkasz w tych dwóch domach, wtedy będziesz myślał inaczej. Wtedy Pilon będzie dla ciebie niegodnym *pa-isano*, a ty zaczniesz jadać z burmistrzem.

Danny wstał niepewnie i utrzymywał się w tej pozycji dzięki pomocy znajdującego się obok drzewa. - Pilonie! Wszystko, co mam, należy do ciebie. Dopóki ja mam dom i ty masz dom! Daj mi się napić.

- Aby w to uwierzyć, musiałbym wpierw zobaczyć - powiedział Pilon bez entuzjazmu.

- Byłby to w istocie cud, gdyby twoje słowa okazały się prawdą. Zjeżdżaliby ludzie z odległości tysiąca mil, żeby ciebie oglądać. A poza tym koniaku już nie ma.

## **Rozdział 2**

*O tym jak Pilon kierowany zachłannością nadużył dobroci Danny'ego*

Adwokat zostawił ich przy furtce drugiego domu i wsiadł do forda, który pyrkając odjechał w stronę Monterey.

Danny i Pilon stali przed obmytym z farby płotem i pełni zachwytu przyglądali się nieruchomości - niskiemu, dawno nie bielonemu domkowi o ślepych i pustych oknach. Tylko po ganku pięł się wspaniały krzak czerwonych kastylskich róż, a między zieliskiem na podwórzu rosły wybujałe pelargonie.

- Ten dom jest lepszy - powiedział Pilon. - Większy od tamtego.

Danny trzymał w ręku nowiutki wytrych. Wszedł na palcach po rozklekotanych schodkach ganku i otworzył frontowe drzwi. Pierwszy pokój nie zmienił się od czasu, gdy mieszkał w nim *viejo*: kalendarz czerwonej róży na rok 1906, jedwabna chorągiewka na ścianie, surowa twarz admirała Evansa wyglądająca zza wieżyczek krążownika, bukiet czerwonych bibułkowych róż zatknięty za belkę, wianuszki zakurzonego czerwonego pieprzu i czosnku, żelazny piec i zmordowane fotele bujane.

Pilon spojrział na drzwi. - Trzy pokoje - powiedział zachwycony - i łóżko, i piec. Będziemy tu bardzo szczęśliwi, Danny.

Danny z rezerwą chodził po pokojach. Miał gorzkie wspomnienia o *viejo*. Pilon wszędzie węszył i wpadł pierwszy do kuchni. - Zlew i kurek do wody! - wykrzyknął. Odkręcił kurek. - Nie ma wody, Danny, trzeba iść do dyrekcji wodociągów i powiedzieć, żeby podłączyli wodę.

Roześmiany spojrział na Danny'ego. Danny też się uśmiechnął, ale na jego twarzy malował się wyraz troski, jaka zawsze towarzyszy bogactwu. I już do końca życia troska ta nie zniknie. Już nigdy Danny nie będzie wybijał w mieście cudzych szyb, mając własne szyby do wybijania. Tak, Pilon miał rację, wychował się przecież między sobie podobnymi, jego plecy nawykły były do ciężarów codziennego prostego życia.

Ale nim Danny pozostawił za sobą to nieskomplikowane życie, z ust wyrwał mu się jeden okrzyk bólu:

- Pilonie - powiedział ze smutkiem. - Szkoda, że to nie ty jesteś właścicielem domu, a ja nie przychodzę mieszkać z tobą.

Gdy Danny poszedł do Monterey, aby załatwić sprawę wody, Pilon powędrował do

tonącego w gęstym zielsku ogródka. Rosły tam i drzewa owocowe, sękate i szerniałe ze starości, pokręcone i połamane z zaniedbania, leżało parę klatek kurzych podobnych do namiotów, stos zardzewiałych obręczy od beczek, kupy popiołu i zgniły materac. Pilon wyrzwał za płot w stronę kurnika pani Morales i po paru minutach intensywnego rozważania problemu zrobił w ogrodzeniu kilka dziur. „Kury lubią składać jajka w wysokich zaroślach” - pomyślał dobrotliwie. Zastanowił się też nad skonstruowaniem odpowiedniej pułapki na koguty, gdyby przypadkiem zaglądały tu denerwując kury. „Będziemy tu bardzo szczęśliwi” - stwierdził.

Danny wrócił z Monterey oburzony. - Ci od wody chcą depozytu.

- Depozytu?

- Tak. Włączenie wody kosztuje trzy dolary.

- Za trzy dolary - stwierdził Pilon - można kupić trzy galony wina. A jak wypijemy wino, pożyczymy wiadro wody od naszej sąsiadki, pani Morales.

- Przecież nie mamy trzech dolarów na wino - zauważył Danny.

- Wiem - odparł Pilon. - Może uda nam się pożyczyć trochę wina od pani Morales.

Minęło popołudnie.

- Jutro się tu urządzimy - oświadczył Danny. - Jutro będziemy szorowali i sprzątaли dom. A ty, Pilonie, wyrwiesz zielsko i wyrzucisz śmieci do parowu.

- Wyrwać zielsko? - zawołał Pilon zgorszony. - Tylko nie zielsko. - I wyjaśnił swoją teorię dotyczącą kur pani Morales.

Danny natychmiast wyraził zgodę. - Przyjacielu - powiedział

- jestem szczęśliwy, żeś zamieszkał ze mną. Teraz pójdę po drzewo na opał, a ty postaraj się o coś do jedzenia.

Pilon przypomniał sobie swój koniak i doszedł do wniosku, że dzieje mu się krzywda. „Popadam w zbytnią od niego zależność - pomyślał z goryczą. - Wkrótce utracę wolność, stanę się niewolnikiem tego Żyda posiadającego dom”. Ale poszedł rozejrzeć się za czymś do jedzenia.

O parę ulic dalej, prawie na skraju lasu, wpadł na rośłego kogutka rasy Plymouth Rock. Kogutek dziobał sobie beztrąsko w pyle drogi. Osiągnął ten okres koguciego dojrzewania, kiedy głos już jest ochryply, ale nogi, szyja i pierś są jeszcze gołe. Biedny ptak zdobył sobie od razu pełną sympatię Piloną, być może dlatego, że Pilon znajdował się nadal w dobrodusznym nastroju po rozważaniach na temat kur pani Morales. Pilon szedł wolno w stronę ciemnego lasu, a kurczak biegł przed nim.

Pilon rozmyślał: „Biedne, nieopierzone stworzenie, jakże ci musi być zimno wczesnym

rankiem, kiedy na ziemi osiada rosa, a powietrze jest wilgotne i chłodne po nocy. Nasz dobry Bóg nie zawsze jest dobry dla małych istot". I myślał także: „Bawisz się tu na drodze, mały kurczaku, a któregoś dnia przejedzie cię samochód. Gdyby cię od razu zabił, to jeszcze pół biedy, ale mógłby ci tylko połamać łapy i skrzydła, a wtedy reszta twojego żywota byłaby jednym pasmem udręki. Los bywa ciężki dla takich jak ty, miły kogucie".

Pilon skradał się wolno i ostrożnie. Czasami kogutek próbował uskoczyć w bok i zwiać, ale gdzie skręcił, zawsze spotykał na swojej drodze Pilona. Wreszcie zniknął w cieniu sosnowego lasu. Pilon podążył za nim.

Dla większej chwały kogutka trzeba dodać, że nie wyrwał mu się najmniejszy okrzyk bólu. Kurczak, któremu Pilon przepowiadał tragiczne, być może, koleje losu, zginął w spokoju, a w każdym razie po cichu, co jest również wielkim komplementem dla techniki Pilona.

Po dziesięciu minutach Pilon wynurzył się z lasu i ruszył w drogę powrotną. Kogut oskubany i podzielony na części spoczywał w różnych kieszeniach Pilonowego ubrania. Jeśli w kodeksie postępowania Pilona znajdował się paragraf ważniejszy od innych, to brzmiał on następująco: W żadnych okolicznościach i pod żadnym pozorem nie przynoś do domu piór, głowy i łap, albowiem tylko po tych elementach poznać można kureę.

Wieczorem Danny i Pilon rozpalili w żelaznym piecu ogień z szyszek. Płomienie mruzczały w kominie. Przyjaciele syci, szczęśliwi i ciepłi siedzieli w fotelach, bujając się łagodnie. Do kolacji zapalili świecę, ale teraz tylko płomyki migające w szparach pieca rozpraszały mrok. Dla doskonałości całego obrazu deszcz zaczął bębnić w dach, ale zaledwie troszkę przeciekało do wnętrza, i to zresztą w miejscach, gdzie nikt nie miał zamiaru siedzieć.

Dobre takie życie - stwierdził Pilon. - Pomyśl o tych zimnych nocach, które przespaliśmy na polu w zimnie. Tak, takie życie jest lepsze.

I jakie to dziwne - dodał Danny. - Przez tyle lat nie miałem domu, a teraz mam dwa. Nie będę przecież sypiał w dwóch domach.

Pilon nienawidził marnotrawstwa. - Przez cały czas właśnie o tym myślę. Dlaczego drugiego domu nie wydzierżawisz? - zaproponował.

Danny zerwał się z wielkim hałasem. - Pilonie miły! - wykrzyknął. - Dlaczegoż nie pomyślałem o tym wcześniej! - Propozycja wydawała mu się coraz lepsza. - Ale kto go wydzierżawi, Pilonie?

Ja - zaproponował Pilon. - Będę ci płacił dziesięć dolarów miesięcznie.

Piętnaście. To jest bardzo dobry dom. Wart jest piętnastu dolarów.

Pilon zgodził się, choć coś przy tym zamruczał. Zgodziłby się na sumę wielokrotnie wyższą, ponieważ przed oczami stanęła mu wizja podniosłego samopoczucia człowieka, który mieszka we własnym domu. I Pilon marzył, by doznać podniosłego samopoczucia.

A więc się umawiamy - zakończył dyskusję Danny. - Wynajmujesz ode mnie dom. Nie obawiaj się, będę dobrym gospodarzem, Pilonie, nie będę cię zbyt męczył komornym.

Z wyjątkiem roku spędzonego w wojsku Pilon nigdy w życiu nie posiadał piętnastu dolarów, ale pomyślał sobie, że ma jeszcze cały miesiąc do dnia płatności, a kto potrafi przewidzieć, co się może zdarzyć w ciągu miesiąca.

Zadowoleni kiwali się przy ogniu. Po pewnym czasie Danny wyszedł z domu i szybko wrócił z naręczem jabłek. - I tak by zgniły po deszczu - wytłumaczył się.

Nie chcąc pozostać w tyle, Pilon wstał i zapalił świecę. Poszedł do sypialni i zaraz wrócił z miednicą, dzbankiem do wody, dwiema wazami z czerwonego szkła i bukietem strusich piór.

- Nie należy trzymać w domu tylu tłukących się przedmiotów

- powiedział stanowczo. - Stłuką się i wtedy będziesz się martwić, żeś je w ogóle miał. - Zdjął także ze ściany papierowe róże.

- W prezencie dla *senory* Torelli - wyjaśnił idąc do drzwi.

Po niedługim czasie wrócił zupełnie przemoczony, ale zadowolony z siebie, gdyż trzymał w ręku gąsiorek czerwonego wina.

Potem przyjaciele bardzo się kłócili, ale właściwie było im obojętne, kto kogo przegada, gdyż czuli straszne zmęczenie po dniu pełnym wrażeń. Wino działało usypiająco, więc usnęli na podłodze. Ogień na piecu wygasł, piec stygnąc lekko trzaskał, do ostatniej chwili wysyłając niebieskie płomyki protestu. W domu było ciemno, cicho i spokojnie.

## **Rozdział 3**

*O tym jak grzeszna chęć posiadania walczyła z Pilonem i jak chwilowo o władnię nim szatan*

Następnego dnia Pilon wyprowadził się do wynajętego domu. Był to dom zupełnie podobny do domu Danny'ego, tylko mniejszy. Także rósł przed nim krzak kastylskiej róży pnącej się po ganku, w ogrodzie rozpleniło się zielsko, a tuż za płotem stał kurnik pani Soto.

Danny, mając dom do wynajęcia, był wielkim człowiekiem, a i Pilon wdrapał się parę stopni po drabinie społecznej, wynajmując dom.

Trudno powiedzieć, czy Danny naprawdę spodziewał się komornego, bądź czy Pilon miał zamiar coś płacić. Jeśli tak było, to obaj się rozczarowali. Zresztą Danny nigdy nie prosił o pieniądze, a Pilon nigdy ich nie proponował.

Przyjaciele często przebywali razem. Wystarczyło, by Pilonowi wpadł do ręki kawałek mięsa albo gąsiorek wina, a Danny natychmiast zjawiał się z wizytą. Jeśli Danny miał szczęście lub okazywał zapobiegliwość w sprawach aprowizacji, Pilon spędzał z nim szaloną noc. Biedny Pilon z pewnością płaciłby komorne, gdyby kiedykolwiek miał pieniądze, ale nigdy ich nie miał, a w każdym razie nigdy nie zdążył ich donieść do Danny'ego. Pilon był uczciwym człowiekiem i czasami bardzo się martwił, gdy myślał o dobroci Danny'ego i swoim ubóstwie.

Któregoś wieczoru zdobył całego dolara w sposób tak niewiarygodny i zdumiewająco łatwy, że usiłował natychmiast o tym zapomnieć z obawy, że samo wspomnienie może go doprowadzić do szaleństwa. Jakiś mężczyzna stojący przed hotelem „San Carlos” wpakował mu po prostu dolara do ręki mówiąc: - Pobiegnij no, człowieku, do sklepiku i przynieś mi cztery butelki imbirowego piwa. W hotelu zabrakło. - Podobny wypadek zaliczyć należało do cudów, które przyjmuje się z pełną wiarą, nie roztrząsa ich i nie wątpi w nie. Pognał z dolarem do Danny'ego, ale zdążył po drodze kupić galon wina, a winem zwabił do siebie do domu dwie tłuste dziewczki.

Danny przechodząc obok usłyszał hałasy i w radosnym nastroju wszedł do środka. Pilon padł mu w ramiona i wszystko, co miał, oddał do dyspozycji przyjaciela. Później, kiedy Danny już pomógł w załatwieniu jednej dziewczki i połowy wina, odbyła się bardzo ładna walka. Danny stracił ząb, a Pilon miał koszulę w strzępach. Dziewki stojąc pod ścianą wydzierały się jak mogły i kopały tego z walczących, który akurat znajdował się na ziemi. Wreszcie Danny wygrzebał się, stanął i kopnął jedną z nich w brzuch. Kopnięta wyleciała na dwór, skrzecząc jak żaba. Druga ukradła dwa garnki i wyszła za przyjaciółką.

Przez długą chwilę Danny i Pilon rozpaczali nad perfidią kobiet.

- Ty nawet nie wiesz, jakie to suki - tłumaczył Danny mądrym głosem.



- Wiem dobrze - odparł Pilon.
- Nie wiesz.
- Wiem.
- Kłamiesz.

Odbyła się druga walka, ale już nie taka piękna jak pierwsza. Potem Pilon przestał mieć wyrzuty sumienia z powodu zalegania z komornym. Czyż nie podejmował gościnnie swego gospodarza?

Minęło wiele miesięcy. Pilon znowu zaczął się martwić komornym, a w miarę jak mijał czas, uczucie to stawało się coraz bardziej nieznośne. Wreszcie doprowadzony do ostatecznej rozpaczki przepracował cały dzień u Czin Ki, patrosząc ryby, i zarobił przy tym dwa dolary. Wieczorem założył na szyję czerwoną chustkę, włożył zasłużony kapelusz po ojcu i ruszył na wzgórze, aby wręczyć Danny'emu dwa dolary zadatku.

Ale po drodze kupił dwa galony wina. „Tak będzie lepiej - pomyślał. - Gotówka nie wyraziłaby gorącego uczucia, jakie żywię dla mego przyjaciela. Prezent to co innego. I powiem mu, że te dwa galony wina kosztowały pięć dolarów”. To ostatnie było bardzo naiwnym postanowieniem i Pilon zdawał sobie z tego sprawę, niemniej pławił się w nim dalej. Przecież w całym Monterey nikt nie znał lepiej ceny wina niż Danny.

Pilon szedł szczęśliwy. Powziął postanowienie, skierował nos prosto ku domowi Danny'ego, nogi niosły go stanowczo, choć niezbyt szybko we właściwym kierunku, pod jedną i pod drugą pachą trzymał papierową torbę, a w każdej torbie galon wina.

Nadszedł purpurowy zachód słońca, owa najśłodsza chwila dnia, kiedy skończyła się sjesta, a nie zaczął się jeszcze wieczór przyjemności i miłych rozmów. Sosny wydawały się bardzo czarne na tle nieba, wszystkie przedmioty na ziemi pokrył już mrok, tylko niebo jaśniało smutną bladością jak wspomnienie przeszłości. Po całodziennym pobycie w miejscowej przetwórni ryb mewy wracały leniwie do swoich legowisk w nadmorskich skałach.

Pilon był miłośnikiem piękna i mistykiem. Podniósł twarz ku niebu, dusza jego popłynęła do słonecznej łuny. Daleki od doskonałości Pilon, który intrygował i bił się, który pił i przeklinał, ociągał się jeszcze, ale ten drugi, bezinteresowny Pilon o pięknym sercu, poszybował w daleką przestrzeń, gdzie mewy kąpią delikatne skrzydła w wieczornych promieniach. Ten drugi Pilon był niewinny jak dziecko, a jego myśli nie splamione egoizmem i pożądaniem. Warto jest poznać jego myśli:

„Wieczór, kiedy Pan spogląda na ziemię - myślał. - Ptaki fruwały wokół głowy naszego Ojca. Drogie ptaki, drogie mewy, jakże ja was kocham! Leniwe ruchy waszych skrzy-

deł pieszczą moje serce, jak dłoń dobrego pana pieści pełny brzuch wiernego śpiącego psa, jak ręka Chrystusa pieściła główki małych dzieci. Drogie ptaki!". I myślał: „Płyńcie do naszej Pani Słodkiego Smutku, zanieście jej moje grzeszne serce". A potem wypowiedział najpiękniejsze słowa, jakie znał: - *Ave Maria, gratia plena...*

Nogi Pilona zatrzymały się w miejscu. Niech wszyscy znają prawdę: niedobry Pilon przestał na chwilę istnieć. (Słyszysz to, aniele rejestratorze ludzkich uczynków?) Nie było, nie ma i nie będzie bardziej kryształowej duszy niż dusza Pilona w owej sekundzie. Zły buldog Galveza podszedł do wrosłych w ziemię nóg Pilona. Buldog Galveza pociągnął nosem i odszedł, nie próbując nawet chwycić za nogawkę spodni.

Dusza obmyta z grzechów i zbawiona jest duszą znajdującą się w podwójnym niebezpieczeństwie, ponieważ wszystkie złe siły na całym świecie jednoczą się przeciwko niej. „Nawet trawka pod moimi stopami szeleściła - powiedział święty Augustyn - by oderwać mnie od moich modlitw".

Dusza Pilona nie była bezpieczna nawet przed jego własnymi wspomnieniami. Patrząc na mewy, przypomniał sobie nagle, że pani Pastano używała często mew do *tamales*, więc poczuł głód i głód ściągnął duszę z przestworzy na ziemię. Pilon ruszył dalej, zachwiana proporcja złych i dobrych skłonności w jego sercu powróciła do normy, buldog Galveza zawarczał żalując, że nie skorzystał poprzednio z tak wspaniałej okazji schwycenia Pilona za łydkę.

Pilon się zgarbił, gdyż tak było łatwiej nieść gąsiorki z winem.

Jest rzeczą dowiedzioną i wykazaną w wielu opowieściach, że dusza zdolna do najlepszych uczynków jest także zdolna do najgorszych przestępstw. Czy można znaleźć większego ateistę od staczającego się w rynsztok kapłana? Czy jest niewiasta bardziej namiętna i nienasycona od niedawnej dziewicy? A może to jednak tylko sprawa pozorów.

Pilon, dopiero co strącony z niebiosów na ziemię, był w tej chwili bardzo podatny - chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy - na każde tchnienie, nawet najłżejsze, złych sił, które kłębiły się w nabrzmiewającej wokół niego nocy. To prawda, że nogi niosły go w dalszym ciągu w stronę domu Danny'ego, ale stracił entuzjazm i zdecydowanie, jakie kierowało nim poprzednio. Nogi, niestety, czekały na najłżejszą zachętę, by zmienić kierunek. W głowie Pilona kiełkowała niedobra myśl, że wspaniale można się samemu upić dwoma galonami wina i ponadto przebywać potem bardzo długo w stanie oszołomienia.

Zrobiło się już prawie ciemno, oczy nie widziały nawet kolein drogi, zniknęły rowy po

obu jej stronach. Mimo wszystko trudno wysnuwać jakiegokolwiek wnioski natury moralnej z faktu, że w chwili gdy dobre i złe skłonności Piona znajdowały się w stanie tak niebezpiecznej równowagi, gdy walczyły w nim szlachetność i egoizm, że akurat w tej samej chwili Pablo Sanchez siedział w przydrożnym rowie, marząc o papierosie i szklaneczce wina.

Ach, modlitwy milionów! Jakże one muszą walczyć z sobą i wzajemnie się kasować i niszczyć, płynąc ku tronowi Boga.

Pablo najpierw usłyszał kroki, potem zobaczył niewyraźną sylwetkę, a dopiero potem poznał Piona.

- *Ai, amigo!* - wykrzyknął entuzjastycznie.

Pion wrósł w ziemię i obrócił się w kierunku rowu.

- Myślałem, że siedzisz w areszcie - powiedział surowo. - Słyszałem coś o gęsi.

- Masz rację, przyjacielu, dobrze słyszałeś - odparł Pablo kpiąco. — Ale źle mnie potraktowano. Sędzia wyraził opinię, że kara niewłaściwie na mnie wpływa, a policja powiedziała, że zjadam więcej niż przewidują przepisy nawet dla trzech ludzi. Tak więc - zakończył z dumą w głosie - otrzymałem urlop zdrowotny.

Pion został wybawiony od grzechu egoizmu. To prawda, że nie doniósł wina do Danny'ego, ale bez chwili wahania zaprosił Pabla do siebie na poczęstunek. Jeśli główna droga życia ma dwie odnogi szlachetności, a tylko jedną można pójść, to któż ma być sędzią, która jest lepsza?

Pion i Pablo wesoło wkroczyli do domu. Pion zapalił świecę i zamiast szklanek wystawił dwa słoiki po konfiturach.

- Na zdrowie - powiedział Pablo.

- *Salud* - powiedział Pion.

I po kilku sekundach: - *Salud* - powiedział Pablo. Chwilę odpoczywali. - *Su servidor* - powiedział Pion.

- Na śmierć szczerom - powiedział Pablo.

Dwa galony to dużo wina, nawet na dwóch *paisanos*. Teoretycznie poszczególne etapy opróżniania gąsiorków można stopniować następująco: nieco poniżej szyjki pierwszego gąsiorka - rozmowa poważna i skoncentrowana; dwa cale poniżej - smutne, romantyczne wspomnienia, trzy cale poniżej - analiza minionych sycących miłości, cal niżej - analiza minionych niezaspokojonych namiętności; dno pierwszego gąsiorka - ogólny, niesprecyzowany smutek. Nieco poniżej szyjki drugiego gąsiorka - czarna rozpacz; dwa palce poniżej - pieśń śmierci i tęsknoty; kciuk poniżej - każda inna znana

pieśń. Na tym jeden system stopniowania kończy się, następuje specjalizacja. Od tej chwili wszystkiego można się spodziewać. Ale wróćmy do pierwszego etapu, którym jest poważna i skoncentrowana rozmowa, gdyż wtedy Pilon osiągnął niebywały sukces.

- Pablo - spytał - czy ciebie nigdy nie nudzi spanie w mokrych, zimnych, obcych rowach?

- Nie - odparł Pablo.

Głos Pilona nabrał kuszących odcieni: -I ja tak myślałem, przyjacielu, kiedy byłem psem mieszkającym w rynsztoku. Ja również tak myślałem, ponieważ nie wiedziałem, jak słodko jest mieszkać w domu, mieć dach nad głową i ogród. Ach, Pablo, co to za życie!

- Bardzo przyjemne - zgodził się Pablo.

Pilon nacierał dalej: - Nie chciałbyś wynająć ode mnie części domu, Pablo? Nigdy już nie musiałbyś spać na zimnej ziemi albo na twardym piasku pod moło, gdzie kraby pakują ci się do butów. No, jak by ci odpowiadało mieszkanie tutaj ze mną?

- Bardzo - odparł Pablo.

- Będziesz mi płacił tylko piętnaście dolarów miesięcznie. I możesz korzystać z całego ogrodu i z całego domu z wyjątkiem mojego łóżka. Pomyśl tylko, Pablo! I jeśli ktoś będzie chciał napisać do ciebie list, będzie miał gdzie adresować.

- Owszem - zgodził się Pablo. - To dobry pomysł.

Pilon odetchnął z ulgą. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo ciąży mu dług wobec Danny'ego. Nawet pewność, że Pablo nie zapłaci nigdy ani centa komornego, nie zmąciła uczucia ulgi i pełnego zadowolenia. Jeśli Danny kiedykolwiek zapyta o komorne, Pilon będzie mógł odpowiedzieć: „Zapłacę, kiedy zapłaci mi Pablo”,

Przeszli do następnego etapu i Pilon przypomniał sobie, jaki był szczęśliwy, kiedy był małym chłopcem. - Żadnych kłopotów, Pablo! I nie wiedziałem, co to grzech. Byłem bardzo szczęśliwy.

- Tak, od tamtych czasów już nigdy nie byliśmy szczęśliwi - zgodził się Pablo ze smutkiem.

## ***Rozdział 4***

*O tym jak Jezus Maria Corcoran, w zasadzie  
dobry człowiek, stał się nieświadomym*

*narzędziem w ręku szatana*

Życie Pilona i Pabla płynęło znośnie. Rano, kiedy słońce wytoczyło się ponad czubki sosen, kiedy w dole marszczyła się i mieniła niebieska zatoka, wstawali leniwie, zadumani, ze swoich posłań.

Słoneczny poranek sprzyja cichej radości. Kiedy na malwach skrzą się jeszcze krople rosy, całe gałązki czy łodyga wydają się odziane w klejnoty, których wartością jest piękno. O tej porze dnia nie można ani się spieszyć, ani hałasować. Myśli płyną wolno, myśli są głębokie i złote jak poranek.

Pilon i Pablo w niebieskich bawełnianych spodniach i niebieskich koszulach zgodnie poszli do rowu za domem; niedługo tam siedzieli, potem wrócili i usiedli na ganku, w słońcu, aby słuchać odgłosów z Monterey, dyskutować sennie i dość chaotycznie o ostatnich wydarzeniach w Tortilla Flat, albowiem co dzień, wraz z obrotem wielkiego koła życia, zachodzi tam tysiąc i jedno ważnych spięć.

Siedząc na ganku, którego deski nagrzały się od słońca, znajdowali się w błogim nastroju. Tylko od czasu do czasu poruszali palcami stóp, gdy usiadła na nich mucha.

- Gdyby cała rosa była z diamentów - odezwał się Pablo - bylibyśmy bogaci. Moglibyśmy chodzić pijani całe życie.

Ale Pilon, którego skaziło przekleństwo realizmu, powiedział: - Wszyscy mieliby za dużo diamentów, spadłyby w cenę. A wino zawsze kosztuje dużo pieniędzy. Gdyby tak choć przez jeden dzień popadało winem i gdybyśmy mieli wielkie naczynie, w które dałoby się go nałapać...

- Ale żeby to było dobre wino - przerwał Pablo. - Nie sikacz, jaki przyniosłeś ostatnio.

- Nie kupowałem go - wyjaśnił Pilon. - Ktoś ukrył je w trawie koło baraku, w którym tańczono. Czegóż można oczekiwać od wina, które człowiek znajduje w trawie?

Siedzieli i bez większego przekonania odpędzali muchy leniwymi ruchami rąk.

- Kornelia Ruiz wczoraj wieczorem pokrajała trochę tego czarnego Meksykańczyka - poinformował Pilon.

Pablo spojrzał na niego średnio zainteresowany. - Pokłócili się? - spytał.

- Ach, nie, tylko ten czarny nic nie wiedział, że Kornelia sprawiła sobie wczoraj nową mężczyznę, i chciał wejść do domu. Więc go pokrajała.

- Powinien był wiedzieć - stwierdził cnotliwie Pablo.

- Skąd miał wiedzieć, kiedy był w mieście, jak Kornelia sprowadziła tamtego? I próbował wejść przez okno, bo drzwi były zaryglowane.

- Głupi czarny - zdecydował Pablo. - Jeszcze żyje?

- O tak. Kornelia go tylko trochę pokrajała po rękach, nie była przecież zła, nie chciała tylko, żeby wchodził.

- Kornelia nie jest bardzo stałą kobietą - zauważył Pablo.

- Chociaż z drugiej strony nadal zamawia msze za duszę ojca, który umarł dziesięć lat temu.

- Bardzo mu się przydadzą - podjął temat Pilon. - Był złym człowiekiem i nigdy za to nie poszedł do więzienia, i nigdy nie chodził do spowiedzi. Kiedy stary Ruiz umierał, przyszedł ksiądz, żeby go pocieszyć, i dopiero wtedy Ruiz się wyświadał. Kornelia mówi, że ksiądz był biały jak wyprawiona skóra łani, kiedy wyszedł od konającego. Ale potem ksiądz mówił, że nie wierzy w połowę tego, co mu Ruiz wyznał.

Pablo miękkiem ruchem zabił muchę, która wylądowała mu na kolanie. - Ruiz zawsze kłamał - zgodził się. - Jego dusza potrzebuje wielu mszy. Ale czy myślisz, że ma znaczenie taka msza, na którą pieniądze pochodzą z kieszeni mężczyzn sypiających po winie u Kornelii?

- Msza to msza - wyraził swoje zdanie Pilon. - Nikt cię nie pyta, skąd masz dwadzieścia centów, kiedy kupujesz butelkę wina. I Pana Boga też nie interesuje, skąd się biorą pieniądze na mszę. Pan Bóg po prostu lubi msze, tak jak ty lubisz wino. Ojciec Murphy lubił łowić ryby i przez wiele miesięcy Komunia Święta miała smak makreli, ale przez to nie była wcale mniej święta. To już tylko księża potrafią wytłumaczyć, jak to się dzieje. Nie mamy się czym martwić. Ciekaw jestem, skąd by tu wziąć parę jajek na śniadanie. Chętnie bym zjadł sobie teraz jajko.

Pablo naciągnął kapelusz na oczy, aby nie raziło ich słońce. - Charlie Meeler powiedział mi, że Danny kombinuje z Rosą Martin, Portugalką.

Pilon usiadł poważnie zaniepokojony. - A może ona będzie chciała wyjść za Danny'ego? Te Portugalki zawsze lubią wychodzić za mąż i kochają pieniądze. I kiedy on się z nią ożeni, to może zacznie nas pytać o komorne? Rosa będzie potrzebowała nowych sukienek. Wszystkie kobiety potrzebują sukienek. Dobrze je znam.

Pablo także się zaniepokoił. - Chodźmy i porozmawiajmy z Danny'm i może on... - proponował.

- Może Danny ma kilka jajek - dokończył Pilon. - Kury pani Morales dobrze się niosą.

Włożyli obuwie i poszli wolno w kierunku domu Danny'ego.

Pilon schylił się, podniósł z ziemi kapsel od piwa, zaklął i wyrzucił kapsel. - Człowiek o złym sercu zostawia takie rzeczy, aby oszukiwać ludzi.

- I ja się schylałem po niego wczoraj wieczorem - powiedział Pablo. Spojrzał na pole, gdzie zielona kukurydza już dojrzała, i odnotował sobie w pamięci ten fakt.

Danny siedział na ganku za krzakiem róży i poruszał palcami od nóg odpędzając muchy.

- *Ai, amigos* - powitał ich bez entuzjazmu.

Usiedli koło niego, zdjęli kapelusze i buty. Danny wyjął woreczek tytoniu i parę bibulek i podał je Pilonowi. Pilon wyglądał na lekko zaskoczonego, ale nie zrobił na ten temat żadnej uwagi.

- Kornelia Ruiz pokrajała czarnego Meksykańczyka - zawiadomił Danny'ego.

- Słyszałem - odparł Danny.

Pablo mówił z goryczą: - Dzisiejsze kobiety nie mają już żadnych cnót.

- I niebezpiecznie jest z nimi spać - stwierdził Pilon. - Słyszałem o jednej młodej Portugalce w Tortilla Flat, która mężczyznom, co się pchają, z czym nie trzeba, zostawia pamiątki trudne do wyleczenia.

Pablo mlasnął z dezaprobatą. Wyciągnął przed siebie ręce. -I co ma człowiek robić? Komu zaufać?

Patrzyli uważnie na twarz Danny'ego, ale nie pojawił się na niej najmniejszy wyraz niepokoju.

- Tej dziewczynie na imię Rosa - dodał Pilon. - Nazwiska wam nie powiem.

- O, pewnie myślisz o Rosie Martin! - stwierdził Danny wcale nie przejęty. - A czegoż się spodziewałeś po Portugalce?

Pilon i Pablo odetchnęli z ulgą.

- Jak się powodzi kurom pani Morales? - spytał od niechcienia Pilon.

Danny ze smutkiem pokiwał głową. - Pozdychały. Pani Morales nakładła fasoli do słoików, słoiki rozsadziło, nakarmiła tą fasolą kury i wszystkie kury co do jednej zdechły.

- I gdzie są teraz? - ciekawy był Pablo.

Danny lekceważąco machnął dwoma palcami. - Ktoś poradził pani Morales, żeby nie jadła tych kur, bo może zachorować, ale myśmy dobrze je wypatroszyli i sprzedali rzeźnikowi.

- Umarł ktoś? - zainteresował się Pablo.

- Nie. Przypuszczam, że nadawały się do jedzenia.

- A może za pieniądze ze sprzedaży kur kupiłeś trochę wina? - spytał Pilon.

Danny uśmiechnął się do niego cynicznie. - Pani Morales kupiła i wczoraj wieczorem byłem u niej z wizytą. W odpowiednim oświetleniu to nawet urodziwa kobieta i wcale

nie taka stara.

Na twarzach Piona i Pabla pojawił się głęboki niepokój.

- Mój kuzyn Weelie twierdzi, że ona ma pięćdziesiąt lat. Danny rozłożył ręce. - Czy to ważne, jaka ona jest stara w latach?

- stwierdził filozoficznie. - Jest bardzo żywa. Jest właścicielką domu i ma w banku dwieście dolarów. - Danny lekko się zmieszał.

- Chciałbym jej dać prezent.

Pion i Pablo z wielkim zainteresowaniem oglądali swoje stopy i pełną koncentracją myśli usiłowali powstrzymać zbliżenie tego, co się jednak nieuchronnie zbliżało. Ich wysiłki nie zdały się na nic,

- Gdybym miał trochę pieniędzy - zauważył Danny - kupiłbym jej duże pudełko słodczy. Wymownie spojrzął na swoich lokatorów, ale żaden mu nie odpowiedział. - Wystarczyłby mi dolar albo dwa dolary - podsunął.

- Czin Ki suszy ryby - zauważył Pion. - Może mógłbyś się do niego wynająć na pół dnia?

Danny przemówił tym razem wyraźniej: - Człowiekowi, który ma dwa domy, nie wypada wynajmować się do Czin Ki. Ale gdybym czasami otrzymywał trochę komornego...

Pion odezwał się oburzony: - Zawsze to komorne! Gotów jesteś wyrzucić nas na ulicę, w rynsztok, żeby samemu spać w miękkim łóżku. Chodź, Pablo! - powiedział ze złością - Postaramy się o pieniądze dla tego skąpca, tego Żyda.

I obaj sobie poszli.

- Skąd weźmiemy pieniądze? - spytał Pablo.

- Nie wiem - wyznał Pion. - Może on już się więcej nie upomni. - Ale nieludzkie żądanie Danny'ego zakłóciło głęboko ich psychiczny spokój. - Kiedy go spotkamy, będziemy go przezywać „Starym Żydem” - zaproponował Pion. - Byliśmy przyjaciółmi od wielu lat. Jak znajdował się w potrzebie, karmiliśmy go. Jak było mu zimno, ubieraliśmy go.

- Kiedy to było? - spytał Pablo.

- Mogło być. Przecież gdyby czegoś potrzebował, dalibyśmy mu, gdybyśmy mieli. Właśnie, byliśmy jego prawdziwymi przyjaciółmi. A on teraz niszczy tę *przyjaźń*, rozbija ją w proch za pudełko słodczy dla starej otyłej baby.

- Słodczy nie są dobre dla ludzi - zgodził się Pablo.

Stan podniecenia zupełnie osłabił Piona. Usiadł w rowie koło drogi, podparł brodę



dłońmi i zatopił się w myślach.

Pablo także usiadł, ale tylko w tym celu, żeby odpocząć, ponieważ jego przyjaźń z Dannym nie była taka dawna i piękna jak przyjaźń Pilona.

Dno rowu było zarośnięte krzakami. Zrozpaczony Pilon wlepiwszy oczy w jego głęb zobaczył wystające spod krzaka ludzkie ramię, a obok galonowy gąsiorek z półgalonem czerwonego wina. Chwycił Pabla za ramię i pokazał, co widzi.

Pablo wytrzeszczył oczy. - Może on nie żyje, Pilon?

Pilon odzyskał oddech i jasne spojrzenie na otaczającą go rzeczywistość. - Jeśli nie żyje, wino mu niepotrzebne. Ludzi nie chowa się z winem.

Ramię poruszyło się, rozgarnęło krzaki i ujawniło nie umytą twarz i rudawy zarost Jezusa Marii Corcorana.

- *Ai, Pilon, ai, Pablo* - powiedział nieprzytomnie. - *Que tomas?* Pilon zeskoczył do rowu. - *Amigo, Jezus Maria! Żle się czujesz?*

Jezus Maria uśmiechnął się słodko. - Jestem tylko pijany - wymamrotał i dźwignął się na kolana. - Napijcie się ze mną, przyjaciele. Nie krępujcie się i pijcie, ile chcecie. Wina jest jeszcze dużo.

Pilon oparł gąsiorek na łokciu, przechylił go i pociągnął ze cztery razy, uszczuplając zawartość blisko o połowę. Potem przejął inicjatywę Pablo i bawił się gąsiorkiem, jak kot bawi się piłeczką. Otarł usta rękawem. Powąchał wino. Pociągnął kilka próbnych łyków i pozwolił paru kroplom spłynąć w kąciki ust w celu podniecającym wyobraźnię. Wreszcie powiedział: - *Madre de Dios, que vino!*

- Podniósł gąsiorek do ust i czerwone wino radośnie zabulgotało, spływając mu do gardła.

Pilon wyciągnął rękę, jeszcze zanim Pablo przerwał picie, by zaczerpnąć oddechu. Pilon zwrócił się potem z pełnym podziwu opanowaniem do swego przyjaciela, Jezusa Marii: - Czyś ty w lesie znalazł skarb? - spytał. - Czy też umarł jakiś wielki człowiek i zostawił ci spadek, mój maleńki przyjacielu?

Jezus Maria był z natury humanistą i dobroć nigdy nie opuszczała jego serca. Odchrząknął i splunął. - Dajcie mi się napić - powiedział. - Wyszło mi w gardle. Zaraz wam opowiem, jak to było.

- Pił z rozmarzeniem, jak człowiek, który ma tyle wina, że może sobie pozwolić na picie bez pośpiechu, a nawet na rozlanie paru kropel bez specjalnego żalu. — Dwa dni temu spałem na plaży. Na plaży blisko ujścia rzeki. W nocy fale wyrzuciły na brzeg łódkę. Ładną, małą łódkę, nawet były w niej wiosła. Wsiadłem do łódki i powiosłowa-

łem do Monterey. Była na pewno warta dwadzieścia dolarów, ale w handlu zastój, więc dostałem za nią tylko siedem.

- I masz jeszcze pieniądze? - spytał Pilon podniecony.

- Przecież wam mówię, jak to było - powiedział Jezus Maria z dość dużą godnością. - Kupiłem dwa galony wina, przyniosłem je tutaj do lasu i potem poszedłem na spacer z Arabellą Gross. W Monterey kupiłem jej parę jedwabnych majtek. Okropnie chciała je mieć, bo były takie delikatne i różowe. A potem kupiłem dla Arabelli butelkę whisky i spotkaliśmy jakichś żołnierzy, i ona poszła z nimi.

- O, złodziejko pieniędzy uczciwego człowieka! - wykrzyknął Pilon oburzony.

- Nie - zaprzeczył Jezus Maria w rozmarzeniu. - I tak był najwyższy czas, żeby sobie poszła. I wtedy wróciłem tutaj i zasnąłem.

- I nie masz już więcej pieniędzy?

- Nie wiem - odparł Jezus Maria. - Zobaczę. - Przeszukał ręką kieszeń i wyjął trzy zgniecione dolarowe banknoty i dziesięć centów. - Dziś wieczorem - oświadczył - kupię Arabelli Gross taką całą rzecz, którą nosi się dokoła pod pachami.

- Myślisz o małych jedwabnych kieszonkach zapinanych na tasiemki?

- Myślę - powiedział Jezus Maria - i wcale nie takich małych, jak mógłbyś przypuszczać. - Odchrząknął, aby przeczyścić sobie krtań.

Pilona ogarnął natychmiast głęboki niepokój. - Ach, to wieczorne powietrze! - zauważył. - Nie jest dobrze sypiać na dworze. Wiesz co, Pablo, zabierzemy Jezusa Marię do domu i wyleczymy jego przeziębienie, które zaatakowało mu już płuca. Na pewno je wyleczymy.

- O czym wy mówicie? - spytał Jezus Maria. - Nie jestem wcale chory.

- Tak ci się wydaje - odparł Pilon. - Tak samo myślał Rudolfo Kelling, a przecież sam byłeś w zeszłym miesiącu na jego pogrzebie. Tak myślała Angelina Vasquez i umarła w zeszłym tygodniu.

Jezus Maria przestraszył się. - Myślicie, że mi coś jest?

- To ze spania pod gołym niebem - powiedział z przeświadczeniem Pilon. - Twoje płuca nie wytrzymują takiego traktowania.

Pablo owinał gałgorek z winem w wielki liść, tak że ktokolwiek by to zobaczył, nie mógłby przejść, trawiony ciekawością, póki by nie sprawdził, co kryje się w liściu.

Pilon szedł koło Jezusa Marii i od czasu do czasu brał go pod rękę, aby mu przypomnieć, że jest człowiekiem chorym. Zabrali go do domu, położyli na pryczy i chociaż dzień był ciepły, przykryli starym szalem. Pablo wzruszająco mówił o biednych lu-

dziach, którzy strasznie cierpią i nikną w oczach zaatakowani przez gruźlicę. A potem mówił Pilon pełnym słodczy głosem. O radości życia we własnym małym domku. Kiedy kończy się wieczór, a przychodzi noc, kiedy kończy się wino i milkną rozmowy, a po ziemi pełzają podobne do duchów niezdrowe mgły, wtedy nie jest przyjemnie kłaść się spać w zdradliwej wilgoci przydrożnego rowu. Nie, najprzyjemniej jest wejść do miękkiego, ciepłego łóżka i zasnąć jak szczęśliwe dziecko.

Przy tych słowach Jezus Maria zasnął. Pilon i Pablo musieli go obudzić i dali mu się napić wina. Pilon zaczął wzruszająco opowiadać o rankach, kiedy się leży w swoim ciepłym gniazdku, póki słońce nie wzejdzie na tyle wysoko, by się na coś przydać. Człowiek nie trzęsie się wtedy z zimna o świcie i nie potrzebuje zabijać rękami, żeby się choć trochę rozgrzać.

Pilon i Pablo natarli na Jezusa Marię jak dwa psy myśliwskie skradające się bezszelstnie po śladach tropionej zwierzyny, i wreszcie pozwolili Jezusowi Marii mieszkać w ich domu za piętnaście dolarów miesięcznie. Jezus Maria zgodził się uszczęśliwiony. Wszyscy podali sobie ręce, gąsiorek został odpakowany z liścia. Pilon pił szczerze, gdyż zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą najtrudniejszą część zadania. Gdy Jezus Maria pociągał z gąsiorka, Pilon powiedział łagodnie i jakby od niechcenia:

- I dasz nam teraz trzy dolary zadatku.

Jezus Maria odstawił gąsiorek i spojrzał na niego przerażony.

- Nie - odparł stanowczo. - Obiecałem Arabelli Gross, że jej kupię taką rzecz, o której wam mówiłem. Zapłacę komorne, kiedy nadejdzie czas.

Pilon zdał sobie sprawę, że popełnił głupstwo. - Jak leżałeś na tej plaży przy ujściu rzeki, Bóg przypędził w twoim kierunku łódź. Czy sądzisz, że Bóg zrobił to w tym celu, byś kupował jedwabne majtki dziewczce z przetwórci ryb? Nie! Bóg po prostu chciał, żebyś nie umarł, sypiając na gołej ziemi, gdy jest zimno. Czy myślisz, że Boga interesują piersi Arabelli? Zresztą zgodzimy się na dwa dolary zadatku. Za dolara będziesz mógł kupić tę rzecz, o którą ci chodzi, i to dostatecznie dużą, by zasłonić wymię krowy.

Jezus Maria zaprotestował.

- A więc ci powiem - ciągnął Pilon - że jeśli nie zapłacimy Danny'emu dwu dolarów, wyrzuci nas wszystkich na ulicę, i stanie się to z twojej winy. Przez ciebie będziemy spać w rowie.

Pod tak wielokierunkowym natarciem Jezus Maria uległ. Dwa zmięte dolarowe banknoty zmieniły posiadacza.

I wtedy pełna napięcia atmosfera ulotniła się z domu, ustępując miejsca spokojowi, ciszy i głębokiemu poczuciu koleżeństwa. Pilon odetchnął, Pablo odniósł szal na swoje posłanie, rozmowa stała się bardziej ożywiona.

- Musimy odnieść te pieniądze Danny'emu.

Po zaspokojeniu pierwszego pragnienia pili teraz wino ze słoików po konfiturach.

- A po co Danny'emu tak koniecznie potrzebne są dwa dolary? - spytał Jezus Maria.

Pilon zrobił tajemniczą minę. Dłonie jego zawirowały w powietrzu jak dwie ćmy. - Danny, nasz drogi przyjaciel, zawiązuje stosunki z panią Morales. O, nie myśl, że Danny nie wie, co robi. Pani Morales ma dwieście dolarów w banku. Danny chce dać pani Morales w prezencie duże pudełko słodczy.

- Słodczy nie są dobre dla ludzi - zauważył Pablo. - Od tego bolą zęby.

- To sprawa Danny'ego - powiedział Jezus Maria. - Jeśli on chce, żeby panią Morales bolą zęby, to wyłącznie jego sprawa. Co nas obchodzą zęby pani Morales?

Na twarzy Pilona osiadła chmurka wątpliwości. -Jednakże - rzucił poważnie - jeśli nasz przyjaciel Danny zanieśli pani Morales duże pudełko słodczy, sam na pewno też będzie z niego jadł, a więc i zęby naszego przyjaciela będą narażone.

Pablo pokręcił głową mocno zaniepokojony. - Źle byłoby, gdyby przyjaciele Danny'ego, na których on polega, stali się przyczyną bólu jego zębów.

- Co więc zrobimy? - spytał Jezus Maria, chociaż i on, i pozostali wiedzieli doskonale, co robią. Czekali jednak uprzejmie, aż ktoś pierwszy zaproponuje rozwiązanie w tej sytuacji jedyne. Zaległa cisza. Pilon i Pablo uważali, że propozycja nie powinna wyjść od nich, gdyż stosując zasady logiki formalnej, można by im zarzucić działanie z pobudek osobistych. Jezus Maria nie odzywał się przez delikatność wobec swoich gospodarzy, kiedy jednak przydługa cisza uświadomiła mu, czego się od niego oczekuje, szybko się zrehabilitował:

- Galon wina stanowi niezły prezent dla kobiety - zauważył obojętnie.

Pilon i Pablo byli zdumieni jego bystrością.

- Moglibyśmy powiedzieć Danny'emu, że ze względu na zęby znacznie lepiej ofiarować wino.

- A co będzie, jeśli Danny zlekceważy nasze ostrzeżenie? Jak damy te pieniądze Danny'emu, to nigdy nie wiadomo, co on z nimi uczyni. Może się uprzeć i kupić słodczy, a wtedy nasz czas i wysiłki pójdą na marne.

Jezus Maria zapładniał dzisiaj ich myśli i znajdował wyjście z kłopotliwych sytuacji. - Może kupimy wino sami i damy je Danny'emu i w ten sposób uniknie się niebezpie-

czeństwa, o którym była mowa? - spytał.

- Oto rozwiązanie godne geniusza! - wykrzyknął Pilon. - Teraz trafiłeś.

Jezus Maria uśmiechnął się skromnie na pochwałę swojej bystrości. Czuł jednak, że wcześniej czy później ten pomysł i tak zostałby podsunięty przez kogoś z obecnych.

Pablo rozlał resztę wina do słoików po konfiturach i wszyscy chętnie wypili wyczerpani intensywnym myśleniem. Byli dumni, że doszli do tak logicznego rozwiązania, opartego na tak humanitarnych przesłankach.

- Jestem głodny - stwierdził Pablo.

Pilon wstał, podszedł do drzwi i spojrział na słońce.

- Już minęło południe - zauważył. - Pablo i ja pójdziemy do Torellego po wino, a ty, Jezusie Mario, zejdiesz do Monterey i przyniesiesz coś do jedzenia. Może pani Bruno na molo da ci rybę. Może zdobędziesz gdzieś trochę chleba.

- Wolalbym iść z wami - powiedział szczerze Jezus Maria, gdyż podejrzewał, że w głowach jego przyjaciół rodzi się nowe rozwiązanie równie logiczne i równie humanitarne jak poprzednie.

- Nie, Jezusie Mario - odparli obaj stanowczo. - Jest teraz godzina druga lub koło drugiej. Za godzinę będzie trzecia. O trzeciej spotkamy się tutaj i coś zjemy. A może wypijemy do obiadu po szklaneczce wina.

Jezus Maria bardzo niechętnie poszedł do Monterey, natomiast Pilon i Pablo z lekkim sercem udali się w stronę domu Torellego.

## ***Rozdział 5***

*O tym jak święty Franciszek odwrócił kartę losu i po ojcowsku ukarał Pilon, Pabla i Jezusa Marię*

Popołudnie przyszło równie niepostrzeżenie, jak niepostrzeżenie przychodzi starość do szczęśliwego człowieka. W jasnym słońcu pojawiły się ciemniejsze pasma złota, niebieska tafla zatoki błękitniała, marszcząc się w lekkim wiatereku. Samotni rybacy, którzy wierzą, że ryby najlepiej chwytają w czasie przyływu, opuszczali swoje stanowiska na skałach, ustępując miejsca tym, którzy wierzą, że najlepszą porą jest odpływ. O trzeciej wiatr zupełnie zmienił kierunek, wiał teraz miękko od zatoki ku brzegowi, niosąc delikatne zapachy najrozmaitszych wodorostów. Starzy rybacy naprawiający sieci na nie zabudowanych placach Monterey odłożyli dratwy i skręcali papierosy. Ulicami miasta w zbyt wielkich i zbyt wspaniałych samochodach tłuste damy o zmę-

czonych oczach, na których dnie tliła się przebiegłość, jaką często widzi się w oczkach świń, udawały się z wizytami do znajomych i na koktajle w hotelu „Del Monte”. Przy Alvarado Street Hugo Machado, krawiec, wywiesił na drzwiach swojego warsztatu napis „Wracam za pięć minut” i poszedł do domu, nie mając zamiaru wracać do następnego ranka. Sosny falowały miękko i lubieżnie. W stu kurnikach kury narzekały płaczliwymi głosami na swój zły los.

Pilon i Pablo usiedli pod czerwoną kastylską różą przed domem Torellego i spokojnie pili wino, nie zwracając uwagi, że nad ich głowy spływa wieczór, tak jak spływa potępienie na głowę grzesznika.

- Słusznie czynimy, nie zanosząc do domu Danny'emu całych dwóch galonów wina - stwierdził Pilon. - Danny jest człowiekiem, który nie zna wstrzemięźliwości w picciu.

Pablo absolutnie się z tym zgadzał. - Danny wygląda zdrowo - zauważył - ale właśnie tacy ludzie co dzień umierają. Weź na przykład Rudolfo Kellinga albo Angelinę Vasquez.

W Pilonie odezwał się trzeźwy realista. - Rudolfo wpadł do kamieniołomu koło Pacific Grove - stwierdził z lekką wymówką.

- Angelika struła się puszką nieświeżej ryby. Niemniej - kontynuował z wyrozumiałością - rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć. Masa ludzi umiera z nadużywania wina.

Całe Monterey zaczęło się stopniowo i instynktownie przygotowywać do nadchodzącej nocy. Pani Guttierrez wkrawała cieniutkie plasterki *chiles* do sosu *enchilada*. Rupert Hogan, sprzedawca napojów alkoholowych, dodawał wody do dzinu, który chwilowo odstawił na półkę, gdyż miał go sprzedawać dopiero po północy. Sypał także pieprz do whisky, którą miał podawać wczesnym wieczorem. W sali tanecznej „El Paseo” Bullet Rosendale utworzył paczkę precli i rozkładał je artystycznie na talerzykach stojących do powszechnego użytku na ladzie. Przedsiębiorstwo „Światowy Handel Specyfikami” zwijało swoje stragany. Grupka mężczyzn, którzy spędzili popołudnie przed budynkiem poczty, witając się z przyjaciółmi, przeszła na stację kolejową, aby zobaczyć przyjazd ekspresu Del Monte z San Francisco. Objedzone mewy oderwały się ociężale od wybrzeża przyległego do przetwórnicy ryb i poszybowały w kierunku swoich skał. Kongregacje pelikanów nad wodą zawzięcie dyskutowały na temat wyboru miejsca nocnego odpoczynku. Włoscy rybacy składali sieci i wracali do domu. Drobna dziewięćdziesięcioletnia panna Alma Alvarez jak co dzień niosła bukiet czerwonych perlargonii Świętej Panience w zewnętrznej niszy kościoła San Carlos. W sąsiedniej para-

fii metodystów w Pacific Grove członkinie Chrześcijańskiej Ligi Trzeźwości zebrały się na herbatkę i dyskusję i pilnie słuchały siwej, chudej kobiety, która energicznie i barwnie opisywała ogrom zepsucia w Monterey. Była zdania, że specjalnie wybrany komitet powinien zwiedzić wszystkie miejsca rozpusty i hazardu, aby wreszcie naocznie stwierdzić ich opłakany stan, gdyż temat ten już był wielokrotnie omawiany ustnie i obecnie brakowało tylko dowodów.

Słońce szybowoło na zachód, zyskując po drodze pomarańczowy rumieniec. Pod krzakiem róż przed domem Torellego Pablo i Pilon wykańczali pierwszy galon wina. Torelli wyszedł z domu i minął podwórko, nie zauważywszy nawet swoich byłych klientów. Odczekali, aż zniknął im z oczu, i z pełną świadomością posiadanej sztuki wycisnęli kolację z pani Torelli. Klepali ją po tyłku i nazywali „Słodką Kaczuszką”, i pozwalali sobie na inne grzeczne poufałości w stosunku do jej osoby, aż wreszcie zostawili ją w spokoju bardzo rozmarzoną pochlebstwami i z lekko wzburzonym odzieniem.

W Monterey zapanowała noc. Zapaliły się lampy uliczne. Okna łagodnie przesączały światło. Nad kinem Monterey zapalały się pojedynczo kolejne litery napisu: „Dzieci piekła - Dzieci piekła”, gasły i znowu się zapalały. Nieliczni fanatycy, którzy wierzyli, że ryba najlepiej łapie wieczorem, zajęli miejsca na zimnych skałach nad wodą. Ulicami sączyły się kosmyki mgiełki, która osiadła też nad kominami. Powietrze wypełniał aromatyczny zapach płonącego w piecach drewna.

Pablo i Pilon wrócili pod swój krzak róży i usiedli na ziemi, ale nie byli już tak zadowoleni jak poprzednio.

- Chłodno tu jest - powiedział Pilon pociągając łyk wina, aby się rozgrzać.
- Powinniśmy wrócić do naszego ciepłego domu - stwierdził Pablo.
- Nie mamy przecież drewna, żeby napalić w piecu.
- Będzie - odparł Pablo. - Weź wino, spotkamy się na rogu ulicy. - I rzeczywiście przyszedł tam po półgodzinie.

Pilon czekał cierpliwie, gdyż wiedział, że są sprawy i okoliczności, w których nawet najlepszy przyjaciel jest zbędny i nic nie może poradzić. Czekając pilnował wylotu ulicy, którą mógł wracać Torelli, gdyż Torelli był człowiekiem gwałtownym i wszelkie wyjaśnienia, bez względu na to jak logicznie wymyślone i pięknie wyrażone, odbijały się od niego jak piłka od ściany. Poza tym Torelli hołdował całkowicie błędnym i średniowiecznym włoskim poglądom na stosunki małżeńskie. Jednakże Pilon na próżno wypatrywał oczy. Żaden Torelli nie wrócił niespodziewanie do domu, natomiast Pablo zjawił się stosunkowo szybko i Pilon z zadowoleniem i podziwem stwierdził, że jego

przyjaciel dźwiga naręcz drewna sosnowego ze stosu znajdującego się na podwórku Torellich.

Pablo nie mówił wiele o swoim łupie, póki nie znaleźli się w domu. Wtedy jak echo powtórzył określenie Danny'ego: „Żywe srebro, ta Słodka Kaczuszka”.

Pilon potwierdził to skinieniem głowy w absolutnych ciemnościach i wypowiedział słowa będące odbiciem doskonałej filozofii: - Rzadko na jednym targu znaleźć można wszystko, czego się pragnie - wino, jedzenie, miłość i drewno na opał. Musimy pamiętać o Torellim, drogi przyjacielu. Takich ludzi warto znać. Musimy mu kiedyś zanieść jakiś prezent.

Pilon rozpalił piękny ogień w żelaznym piecyku. Obaj przyjaciele przyciągnęli krzesła bliźutko piecyka i przysunęli słoiki po konfiturach jak najbliżej ognia, by trochę podgrzać wino. Tego wieczoru mieli wspaniałe oświetlenie, Pablo bowiem kupił świecę, mając zamiar zapalić ją świętemu Franciszkowi; ponieważ jednak w ciągu dnia coś mu zaprzętnęło uwagę, nie zdążył zrealizować swojej myśli. Teraz więc świeczka paliła się wspaniałym blaskiem ustawiona w dużej muszli i rzucała migotliwe cienie Pilona i Pabla na ścianę.

- Ciekaw jestem, gdzie jest ten Jezus Maria - odezwał się Pilon.

- Obiecał, że niedługo wróci - dodał Pablo. - Nie wiem, czy temu człowiekowi można ufać.

- Może zdarzyło się coś nieprzewidzianego, co go zatrzymało, Pablo. Jezus Maria z tą czerwoną brodą i sercem, jakie posiada, zawsze wpada w kłopoty z damami.

- Ma umysł konika polnego - powiedział Pablo. - Śpiewa, gra i skacze. Nie ma w nim powagi.

Jednakże nie czekali długo na Jezusa Marię. Zaledwie rozpoczęli drugi słoik wina, kiedy się wtoczył i złapał framugi drzwi, aby utrzymać równowagę. Koszulę miał podartą, twarz pokrwawioną. W tańczącym świetle świecy widać było ciemną, groźną plamę wokół oka.

Pilon i Pablo podbiegli do niego.

- Przyjacielu, co ci jest? Ranny! Na pewno spadł ze skały! Został przejechany przez pociąg! - Chociaż w tonie ich nie było żdźbła ironii, Jezus Maria wiedział dobrze, że ma do czynienia z najzjadliwszą ironią. Przeszywał ich ponurym spojrzeniem oka, które posiadało jeszcze zdolność widzenia.

- Oby wasze matki były krowami bez wymion - stwierdził rzeczowo.

Odskoczyli od niego jak rażeni prądem, dotknięci głęboko wulgarnością przekleństwa.



- Nasz przyjaciel postradał zdolność myślenia!

- Kość jego głowy uległa uszkodzeniu.

- Nalej mu troszkę wina, Pablo.

Jezus Maria usiadł ponuro przy ogniu, pieszcząc w dłoniach słoik po konfiturach, jego przyjaciele zaś czekali cierpliwie na szczegóły dramatu. Ale Jezus Maria wydawał się zupełnie zadowolony z tego, że przyjaciele pozostają w nieświadomości co do szczegółów jego nieszczęścia. I chociaż Pilon parę razy chrząkał, a Pablo spoglądał na Jezusa Marię wzrokiem wyrażającym gotowość do okazania bezgranicznego współczucia i zrozumienia, Jezus Maria siedział z zaciętą twarzą i ponuro patrzył w ogień i w wino, i w święconą świecę. Wreszcie jego nietaktowna powściągliwość zmusiła Pilona do podobnego nietaktu. Później nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że okazał podobny brak wychowania.

- Znowu żołnierze? - spytał.

- Tak - warknął Jezus Maria. - Tym razem przyszli za wcześnie.

- Musiało ich być z dwudziestu, żeby cię tak urządzić - zauważył Pablo, chcąc tym sprawić przyjemność przyjacielowi. - Każdy przecież wie, jaki jesteś dzielny.

Twarz Jezusa Marii nieznacznie się rozjaśniła.

- Było ich czterech - powiedział. -I pomagała im trochę Arabellą Gross. Uderzyła mnie w głowę kamieniem.

Pilon czuł, jak wzbiera w nim głęboka niechęć i pogarda dla Arabelli Gross. - Nie będę ci przypominał - odezwał się surowo - że twoi przyjaciele ostrzegali cię przed tą dziewczką od ryb. - Intensywnie usiłował sobie przypomnieć, czy w istocie ostrzegł Jezusa Marię, i był prawie pewien, że go ostrzegął.

- Te tanie białe dziewczki są okropnie zepsute, przyjacielu - wtrącił Pablo. - Ale czy dałeś jej tę małą rzecz, którą zakłada się dokoła pod pachami?

Jezus Maria sięgnął do kieszeni i wyjął pognieciony różowy stanik. - Nie było okazji - wyjaśnił. - Właśnie zbliżała się odpowiednia chwila, a poza tym nie byliśmy jeszcze w lesie.

Pilon pociągnął nosem i potrząsnął głową, ale nie bez pewnej smutnej rezygnacji. - Piłeś whisky?

Jezus Maria skinął głową.

- Skąd miałeś whisky?

- Od tych żołnierzy - wyjaśnił Jezus Maria. - Była schowana w rurze kanalizacyjnej. Arabellą powiedziała mi, że tam jest whisky, ale ci żołnierze zobaczyli nas z butelką.

Powoli wyłaniał się kształt całej historii. Pilonowi bardzo odpowiadał ten system. Nie lubił, gdy wszystkie szczegóły sypały się nań od razu. Cechami dobrej opowieści są aluzje i niedopowiedzenia, które słuchaczowi dopowiada jego własne doświadczenie. Pilon wziął z kolan Jezusa Marii różowy stanik i przebierał po nim palcami, a oczy miał zamknięte. Ale po chwili rozpały się one radosnym blaskiem.

- Już wiem! - wykrzyknął. - Damy to Danny'emu jako prezent dla pani Morales.

Wszyscy z wyjątkiem Jezusa Marii przyjęli powyższą propozycję z wielkim entuzjazmem. Jezus Maria został więc przegłosowany beznadziejnie. Pablo, rozumiejąc tragedię porażki Jezusa Marii, z wyrozumiałością i taktem napełnił mu winem słoik po konfiturach.

Nim upłynęło wiele czasu, wszyscy trzej zaczęli się uśmiechać. Pilon opowiedział bardzo zabawną historię o wypadku, który zdarzył się jego ojcu. Całej kompanii powrócił dobry nastrój. Śpiewali. Jezus Maria odtańczył ludowy taniec, aby udowodnić, że uszkodzenia jego ciała nie są bardzo groźne. Z gąsiorka ubywało wina, ale nim go zabrakło, przyjaciele poczuli senność. Pilon i Pablo potoczyli się do łóżka, a Jezus Maria legł wygodnie na ziemi koło pieca.

Ogień zgasł, po domu krążyły odgłosy głębokiego snu. W pokoju od wejścia zachowywał czujność mały jęczyzek ognia świętej świecy wyostrzony jak dzida, który wysuwał się i cofał z niesłychaną szybkością.

Później ta świeca była przedmiotem wielu rozważań natury moralnej i etycznej ze strony Piona, Pabla i Jezusa Marii. Prosta kolumnienka z wosku ze sznureczkiem w środku! Można by przypuszczać, że taki przedmiot podlega jednym fizycznym prawom, a nie podlega innym. Zachowanie świecy, można by sądzić, jest uwarunkowane prawami rozchodzenia się ciepła oraz spalania. Zapalasz knot, gorąco rozpuszcza wosk, który wędruje w górę knota, świeca pali się tyle a tyle godzin, gaśnie i na tym się kończy jej żywot i cały proces. Szybko też zapomina się o świecy, tak jakby nigdy nie istniała.

Ale czy zapomnieliście, że ta świeca została poświęcona? Ze w chwili przebudzenia się sumienia, a może pod wpływem czysto religijnego maniactwa została ofiarowana przez Pabla świętemu Franciszkowi? Oto fakt, który natychmiast odbiera tę kolumnienkę woskową jurysdykcji wszelkich praw fizycznych.

Świeca Pabla kierowała swój płomienny język prosto w niebo jak żarliwy artysta szukający natchnienia, a poza tym stawała się coraz krótsza i krótsza. Na dworze zerwał się wiatr, przecisnął przez szpary w ścianie, zachybotał płomykiem świecy i porwał ze

ściany jedwabny kalendarz, na którym ze szkarłatnej róży kastylskiej wyglądała niebiańsko piękna twarz dziewczyny. Kalendarz upadł na stół i rogiem jedwabiu dotknął ognistego jęczyczka. Ogień oblizał jedwab i pobiegł ku sufitowi, zapalając po drodze kawałek naddartej tapety. Płonąca tapeta spadła prosto na stos gazet.

A w niebie spoglądała na ziemię galeria świętych i męczenników 7, kamiennymi twarzami, w których nie było przebaczenia. Świeca została przecież poświęcona i stanowiła własność świętego Franciszka. Niech więc święty Franciszek ma tej nocy wielką świecę zamiast tamtej zbezczeszczonej...

Gdyby istniał sposób mierzenia głębokości snu, wtedy z czystym sumieniem można by powiedzieć, że Pablo, którego grzeszny uczynek był przyczyną pożaru, spał znacznie głębiej niż jego obaj przyjaciele. Ale ponieważ nie ma instrumentów mierzących sen, można zaledwie stwierdzić, że spał bardzo głęboko.

Języki ognia rozbiegły się po ścianach, poznajdowały szparki w dachu i wyśliznęły się w ciemną noc. W całym domu słychać było teraz głośnie buzowanie ognia. Jezus Maria obrócił się niespokojnie i przez sen zaczął zdejmować koszulę, gdyż zrobiło mu się okropnie gorąco. Nagle płomienisty skrawek papieru padł mu na twarz. Jezus Maria zerwał się z wrzaskiem i chwilę stał nieprzytomny w szalejącym morzu ognia.

- Pilonie! - krzyknął. - Pablo! - Pobiegł do drugiego pokoju, wyciągnął przyjaciół z łóżek i wypchnął ich na dwór. Pilon bez przerwy zaciskał w palcach różowy stanik.

Stanęli przed płonącym domem i patrzyli w otwarte, przesłonięte ścianą ognia, drzwi. Dostrzegli z trudem gąsiorek na stole, a w nim jeszcze dobre dwa cale wina.

Pilon wyczuł rodzące się w Jezusie Marii ślepe bohaterstwo i drażnącą go pokusę. - Nie rób tego! - ostrzegł. - Niech zginie w płomieniach jako kara za to, żeśmy go zostawili.

Usłyszeli ryk syren i warkot samochodów straży pożarnej jadących z Monterey na drugim biegu stromą drogą. Wielkie czerwone wozy zbliżały się szybko i wkrótce ich reflektory zaczęły migać między drzewami.

Pilon obrócił się szybko do Jezusa Marii. - Biegnij do Danny'ego i powiedz mu, że pali się jego dom. Biegnij szybko, Jezusie Mario!

- Dlaczego ty nie pobiegniesz?

- Danny nie wie, że ty tu mieszkasz - odparł Pilon. - A na mnie i na Pabla może być w tej chwili trochę zły.

Jezus Maria szybko pojął logikę tego rozumowania i pognał w kierunku domu Danny'ego. Dom był ciemny. - Danny! - krzyknął Jezus Maria. - Danny, twój dom się pali!

- Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. - Danny! - zawołał raz jeszcze.

W sąsiednim domu, gdzie mieszkała pani Morales, otworzyło się okno i rozległ się zagniewany głos Danny'ego:

- Czego chcesz, do diabła?

- Twój drugi dom się pali, ten, w którym mieszkają Pablo i Pilon. Danny chwilę milczał. Potem spytał: - Straż ogniowa przyjechała?

- Tak - ochoczo odparł Jezus Maria.

Na niebie gorzała teraz krwista luna, słychać było także trzask palącego się drewna.

- Jeśli straż ogniowa nic nie może poradzić, to czego Pilon chce ode mnie?

Jezus Maria usłyszał zatraskiwanie okna, więc wrócił do pożaru. Nie powinien był w ogóle przeszkadzać Danny'emu, zdawał sobie z tego sprawę, ale skąd mógł o tym przedtem wiedzieć i skąd miał wiedzieć, że Danny'ego nie zainteresuje nowina. Równie dobrze Danny mógł być zły, że stracił okazję obejrzenia pożaru własnego domu. Jezus Maria był mimo wszystko zadowolony, że mu o tym powiedział. Teraz cała odpowiedzialność spoczywała na pani Morales.

Zresztą dom był mały, pełen przeciągów, ściany zupełnie się poroz-sychały. Chyba od czasu pożaru starej chińskiej dzielnicy nic się tak w okolicy równie szybko i dokładnie nie spaliło, jak ten dom. Strażacy rzucili okiem na płonące ściany i czym prędzej zaczęli polewać okoliczne krzaki, drzewa i domy. Dom Danny'ego nie palił się nawet godziny. Sikawki skierowano dopiero na dogasające zgliszcza.

Pilon, Pablo i Jezus Maria przyglądali się przez cały czas razem z połową mieszkańców Monterey, uszczęśliwionych niecodziennym widokiem, i wszystkimi mieszkańcami Tortilla Flat z wyjątkiem Danny'ego i pani Morales. Kiedy wreszcie pożar się skończył i tylko kłęby gorącej pary unosiły się nad stosem czarnych węgli, Pilon nie mówiąc odwrócił się i odszedł.

- Gdzie idziesz? - spytał Pablo.

- Idę do lasu - odparł Pilon. - Wyspać się. I wam radzę zrobić to samo. Lepiej, aby nas Danny nie widział. Przez pewien czas.

- Poważnie skinęli głowami i podążyli za nim między sosny.

- I z całej sprawy wyciągnijmy poważną lekcję - powiedział Pilon.

- Nigdy nie należy na noc zostawiać w domu wina.

- Następnym razem - zwrócił uwagę Pablo - wyniesiesz gąsiorek na dwór i ktoś go ukradnie.

## **Rozdział 6**

*O tym jak dzięki skrusze trzech grzesznicy  
osiągnęli spokój ducha i jak przyjaciele Danny'ego  
poprzysięgli sobie wieczną przyjaźń*

Kiedy słońce wyjrzało nad szczyty sosen, rozgrzała się ziemia, a rosa obsychała na listkach pelargonii, Danny wyszedł na ganek, aby usiąść w słońcu i ciepło porozmyślać o pewnych wypadkach. Zrzucił buty i poruszał leniwie palcami nóg rozłożonych wygodnie na gorących deskach. Nieco wcześniej, tego samego ranka, zdążył już obejrzeć czarny kwadrat popiołów i pokręconych spalonych rur, gdzie niegdyś stał jego drugi dom. Dał się na chwilę ponieść konwencjonalnemu gniewowi na nieostrożność przyjaciół i równie krótko żałował utraty części doczesnych ziemskich dóbr, których posiadanie czyniło dobra duchowe tym godniejszymi pożądaniami i tym cenniejszymi. Pomyślał o ruinie swojej reputacji - człowieka, który ma dom do wynajęcia - i gdy tylko zaspokoił nieuniknioną w tej sytuacji i całkowicie usprawiedliwioną potrzebę zdenerwowania się, zapomniał o wszystkim i zaczął myśleć o rzeczach zupełnie nie denerwujących, odczuwając ulgę, że jeden ciężar spadł mu z głowy.

„Gdyby dom się nie spalił - pomyślał - stałbym się chciwy, myśląc ciągle o komornym. Moi przyjaciele i tak już ochłodli w stosunku do mnie, ponieważ winni mi byli pieniądze. Teraz i ja, i oni nie mamy już żadnych wzajemnych zobowiązań, możemy więc znów być szczęśliwi, jak byliśmy przedtem”.

Jednakże Danny wiedział, że przyjaciele muszą otrzymać nauczkę, w przeciwnym wypadku uznają go za człowieka bez charakteru. Dlatego też siedząc na ganku, odpędzając muchy ruchami ręki, które zawierały w sobie więcej elementów zabawy niż groźby dla much, rozmyślał nad rzeczami, które powie przyjaciołom, nim pozwoli im wrócić do przystani jego względów. Musi im pokazać, że nie jest człowiekiem, którego można bezkarnie wykorzystywać. Z drugiej strony pragnął jak najszybciej się z tym uporać i ponownie stać się Dannym, którego wszyscy kochali, którego ludzie szukali, gdy wpadł im w ręce galon wina i kawał mięsa. Jako właściciel dwóch domów uznawany był za bogatego i dlatego ominęło go wiele zaprosin.

Pilon, Pablo i Jezus Maria Corcoran spali bardzo długo na miękkim sosnowym igliwiu. Była to dla nich noc wielkich wrażeń, czuli się więc bardzo zmęczeni. Wreszcie

jednak słońce zaświeciło im prosto w twarze z całą siłą, z jaką świeci w południe, oblały ich mrówki, a dwie modre sroki stanęły tuż obok i zaczęły obrzucać przyjaciół najrozmaitszymi wyzwiskami.

Właściwie sen przerwały im dopiero odgłosy pikniku, który odbywał się tuż po drugiej stronie krzaków, oraz zapachy wędrujące z wielkiego kosza pełnego przysmaków. Pilon, Pablo i Jezus Maria obudzili się jednocześnie, usiedli i nagle uświadomili sobie całą doniosłość sytuacji.

- Jak zaczął się ten pożar? - spytał Pablo płacząco, ale nikt nie wiedział jak.

- Przenieśmy się może na pewien czas do innego miasta - podsunął Jezus Maria. - Do Watsonville albo do Salinas, to miłe miasta...

Pilon wyciągnął z kieszeni różowy stanik, pogładził pieśczośliwie świecąca powierzchnię taniutkiego jedwabiu, a następnie podniósł go na wysokość oczu i spojrzął przez materiał na słońce.

- To tylko opóźni rozstrzygnięcie sprawy - oświadczył. - Uważam, że powinniśmy pójść do Danny'ego i wyznać nasz grzech jak dzieci ojcu. Wtedy zrobi mu się żal i nie nam nie powie. Poza tym mamy przecież prezent dla pani Morales.

Przyjaciele skinęli głowami, solidaryzując się ze stanowiskiem Pilon; wzrok jego w tym czasie zabłądził między krzaki w stronę piknikującej gromadki, by wreszcie spocząć na wielkim koszu, z którego napływały zniewalające nozdrza zapachy jajecznicy. Pilonowi zadrgały nozdrza jak u wężącego królika, uśmiech rozmarzenia rozlał mu się na twarzy. - Będę spacerował, przyjaciele. Niedługo spotkamy się przy kamieniołomie, Nie przynóście kosza z prowiantem, jeśli zdołacie się powstrzymać.

Patrzyli ze smutkiem, jak Pilon wstaje i znika między drzewami, obchodząc rozłożone na trawie dwie miłe pary i kosz. Pablo i Jezus Maria nie zdziwili się, gdy po paru minutach zaszczekał pies, zapiał kogut, rozległ się przeraźliwy chichot, potem wrzask dzikiego kota, a wreszcie krótki krzyk i wołanie o pomoc. Jednakże grupa piknikujących bardzo się zdziwiła i wzruszyła. Obaj mężczyźni i kobiety, zostawiwszy kosz, pobiegli w kierunku tych różnorodnych odgłosów.

Pablo i Jezus Maria posłuchali Pilon. Nie zabrali kosza, ale od tego czasu ich kapelusze i koszule zawsze pachniały jajecznicą.

Około trzeciej po południu trzej grzesznicy podchodzili wolno pod dom Danny'ego. Nieśli naręcza ofiar zdolnych przebłagać najsrozsze bóstwo: pomarańcze, jabłka i banany, butelkę z oliwą i pikle, sandwicze i mieloną szynkę w puszkach, kanapki z jajkiem, butelki z limoniadą, tekturowe pudełko sałatki z kartofli i egzemplarz „Saturday

Evening Post".

Danny, gdy ich zobaczył, wstał i próbował sobie przypomnieć, co ma im powiedzieć. Stanęli rzędem przed gankiem i zwiesili głowy.

- Psy bez rodowodu - wyzywał ich Danny. - Złodzieje domów uczciwych ludzi. Podrzutki z rynsztoków! - Obwołał ich również synami krów i starych tryków.

Pilon otworzył trzymaną w ręku torbę i wystawił na ogólny widok kanapki z szynką. A Danny powiedział, że stracił zaufanie do przyjaciół, że wiara jego zmarła i że przyjaciele ją zdeptali. I wtedy zaczęły się drobne kłopoty, gdyż na widok jajecznicy, której garść Pablo wyjął zza koszuli, Danny nie mógł sobie przypomnieć, co ma dalej mówić. Ale po chwili powrócił do historii poprzedniej generacji, skrytykował cnoty jej kobiet i potencję mężczyzn.

Pilon wyciągnął z kieszeni różowy stanik, stanik zwiisał mu obojętnie z palców.

I wtedy Danny o wszystkim zapomniał. Usiadł na ganku, przyjaciele także usiedli, otworzono pakunki. W ciągu godziny przyjaciele objedli się do stanu lekkiego oszołomienia, potem rozłożyli jak najwygodniej na ganku, koncentrując się na procesie trawienia. A potem Danny zapytał obojętnie, jakby od niechcenia: -Jak zaczął się pożar?

- Nie wiemy - wyjaśnił Pilon. - Poszliśmy spać i pożar się wtedy zaczął. Może mamy wrogów.

- Może - zawtórował wiernie Pablo. - Może Bóg maczał w tym palce.

- Któż to wie, dlaczego Bóg robi to, co robi - dodał Jezus Maria. Gdy Pilon wręczył Danny'emu stanik i wyjaśnił, że jest to prezent dla pani Morales, Danny obejrzał stanik z wielkim sceptycyzmem. Czuł, że jego przyjaciele nie doceniają pani Morales. - To nie kobieta, której daje się takie prezenty - odezwał się wreszcie.

- Zbyt często wiążujemy się z kobietami parą jedwabnych pończoch. - Poza tym trudno mu było wytłumaczyć przyjaciółom ochłodzenie stosunków, jakie nastąpiło między nim a panią Morales w momencie, gdy został właścicielem tylko jednego domu. Nie mógł również, z szacunku dla pani Morales, okazać całej swojej radości z powodu owego ochłodzenia. - Schowam ten drobiazg - powiedział. - Któregoś dnia może się przydać.

Gdy nadszedł wieczór i ściemniło się, weszli do domu i szyszkami rozpalili w piecu ogień. Danny na dowód przebaczenia wyciągnął z kąta kwartę grappy i podzielił się nią z przyjaciółmi.

Łatwo włączyli się w nurt nowego życia: -Jaka szkoda, że wszystkie kury pani Morales zdechły - zauważył Pilon.

Ale nawet tu była okazja do radości: - W poniedziałek kupuje dwa tuziny nowych - objawił Danny.

Pilon uśmiechnął się z zadowoleniem. - Kury pani Soto nie były dobre. Powiedziałem pani Soto, że trzeba im dawać mielone skorupki ostryg, ale mnie nie posłuchała.

Wypili grappę, co wyzwoliło w nich radosną beztroskę w ilości wystarczającej, by znacznie wzmocnić więzy przyjaźni.

- Bardzo jest dobrze mieć przyjaciół - stwierdził Danny. - Jakże samotny jest człowiek, jeśli nie ma przyjaciół, z którymi może posiedzieć i podzielić się swoją grappą.

- Albo kanapkami z jajkiem - dodał szybko Pilon.

Pabla nadal dręczyły wyrzuty sumienia, gdyż podejrzewał wielką intrygę w niebieskich, której rezultatem był pożar domu. - Na świecie nie ma wielu takich przyjaciół jak ty, Danny. I niewielu jest dane szczęście posiadania takiego przyjaciela.

Nim Danny'ego zupełnie obezwładniła fala przyjaźni, zgłosił jedno zastrzeżenie: - Wzóra wam od mojego łóżka. Łóżko zostanie wyłącznie moje.

Chociaż nikt tego wyraźnie nie sformułował, wszyscy wiedzieli, że zamieszkają razem w domu Danny'ego.

Pilon westchnął z rozkoszą. Skończyły się kłopoty z komornym, skończyła się odpowiedzialność za zdobycie pieniędzy. Nie był już lokatorem, tylko gościem. W myślach złożył Bogu dzięki za spalenie tamtego domu.

- Będziemy tu bardzo szczęśliwi, Danny - powiedział. - Wiezorami będziemy siedzieć koło pieca i będą nas odwiedzać nasi przyjaciele. A czasami znajdzie się może szklanecka wina, żeby wypić na intencję naszej przyjaźni.

Wtedy Jezus Maria w nagłym napadzie wdzięczności uczynił pochopną obietnicę. Grappa, pożar domu i jajecznicza złożyły się na podobne wystąpienie. Poza tym Jezus Maria czuł się hojnie obdarowany i także zapragnął coś ofiarować. - Naszym obowiązkiem i odpowiedzialnością niech będzie zaopatrzenie tego domu, abyś zawsze miał pełno jedzenia, Danny - oświadczył. — Nasz przyjaciel Danny nigdy nie będzie chodził głodny.

Pilon i Pablo spojrzeli na niego z głębokim niepokojem, ale, niestety, słowa padły, piękne i szlachetne słowa. Żaden człowiek nie mógł ich bezkarnie cofnąć. Nawet Jezus Maria po chwili zrozumiał ich ogrom i wagę. Mógł jedynie liczyć na to, że Danny o nich zapomni.

„Jeśliby obietnica ta miała zostać spełniona, byłoby to gorsze niż płacenie komornego. Byłaby to niewola" - pomyślał Pilon.



- Przysięgamy, że tak będzie, Danny - powiedział głośno.

Siedzieli koło pieca, w oczach mieli łzy, porami wyciekała im wzajemna miłość do siebie, wywołując nastrój prawie nie do zniesienia.

Pablo otarł wilgotne oczy grzbietem dłoni i jak echo powtórzył po Pilonie: - Będziemy tu bardzo szczęśliwi, Danny.

## **Rozdział 7**

*O tym jak przyjaciele Danny'ego stali się symbolem dobra i jak pomogli biednemu Piratowi*

Wielu ludzi spotykało co dzień Pirata, jedni się z niego śmiali, inni się nad nim litowali, ale nikt go właściwie nie znał, nikt też nie zaczepiał. Pirat był wysokim, silnym mężczyzną o wielkiej, czarnej, krzaczastej brodzie. Nosił bawełniane spodnie i niebieską koszulę, nie nosił natomiast kapelusza. Na miasto wkładał buty. Oczy Pirata jakby malały i ginęły, gdy stawał przed jakąkolwiek dorosłą osobą - rzucał krótkie spojrzenia zwierzęcia, które chętnie by uciekło, gdyby tylko miało odwagę odwrócić się tyłem do przeciwnika. Z powodu tych oczu *paisanos* w Monterey wiedzieli, że głowa Pirata nie wyrosła razem z ciałem. Nazwano go Piratem, gdyż nosił tę olbrzymią brodę. Dzień w dzień Pirat pchał przed sobą ulicami Monterey taczki z drewnem na opał i pchał je, póki wszystkiego nie sprzedał. I zawsze tuż za nim szło w zwartej gromadce jego pięć psów.

Enrique był raczej wyżłowaty z wyglądu, chociaż miał puszysty ogon. Pajarito był brązowy i miał kudły; patrząc na niego, nic innego się nie widziało. O Rudolffie przechodnie mówili: „To jest amerykański pies”. Fluff był daleko spokrewniony z pekińczykiem, a *senor* Alec Thompson blisko z rodziną terierów. Maszerowali drużyną tuż za Piratem, okazując mu wielki szacunek i wielką troskę o jego szczęście. Kiedy Pirat siadał, aby chwilę odpocząć od pchania taczek, psy usiłowały usiąść mu na kolanach i podstawiały do polachotania uszy.

Jedni ludzie widywali Pirata wczesnym rankiem na Alvarado Street, inni przy rąbaniu drewna na małe szczapki, a jeszcze inni wiedzieli tylko, że Pirat sprzedaje drewno na podpałkę. Natomiast nikt z wyjątkiem Pilonia nie znał całego zakresu działalności Pirata. Pilon zawsze wiedział wszystko o każdym.

Pirat mieszkał w opuszczonym kurniku na podwórku opuszczonego domu w Tortilla Flat. Uważałby za próżność mieszkanie w samym opuszczonym domu. Psy mieszkaly

razem z Piratem, co Piratowi bardzo odpowiadało, gdyż w zimne noce ogrzewały go. Jeśli zmarzły mu stopy, wystarczyło je oprzeć o ciepły brzuch *senora* A. Thompsona. Kurnik był niski i Pirat wchodził do niego na czworakach.

Rankiem każdego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, Pirat wyczołgiwał się ze swojego kurnika, psy za nim, prostując nogi i grzbiety, strząsając pchły i kichając w zimnym powietrzu, a potem cały oddział maszerował do Monterey, gdzie wykonywał wstępne zadanie wzdłuż małej uliczki, na którą wychodziły tyły pięciu restauracji. Pirat wchodził po kolei do każdej z pięciu ciepłych i pachnących jedzeniem kuchni. Mruczący ponuro kucharze pakowali mu resztki, sami nie wiedząc, dlaczego to robią. Po wizycie w pięciu restauracjach Pirat objuczony pakunkami wracał na wzgórze, skręcał w Munroe Street i wchodził do opuszczonej zagrody. Psy obskakiwały go podniecone. Pirat rozpakowywał paczki i karmił psy, a dla siebie z każdej paczki zatrzymywał kawałek chleba i mięsa, ale nie wybierał najlepszych kąsków. Psy siedziały dookoła, oblizywały się nerwowo i przestępowały z łapy na łapę, czekając na ciąg dalszy śniadania. Nigdy nie walczyły o jedzenie, co było w istocie rzeczą zadziwiającą. Psy Pirata nigdy się nie biły między sobą, chociaż biły i gryzły wszystko inne, co chodziło po ulicach Monterey na czterech łapach. Widok takiej piątki myśliwskich mieszańców przypominających grzeczne króliki napawał serce wiarą.

Podczas śniadania nadciągał świt, więc śniadanie szybko kończono. Pirat zadzierał głowę w błękitniejące wraz z porankiem niebo, a jeśli ją opuszczał, miał przed oczami zatokę, z której wypływały w morze szkunery obładowane drewnem. Za Chińskim Przylądkiem miękko dzwoniła ostrzegawcza boja. Psy siedziały dookoła Pirata i likwidowały resztę kości. Pirat raczej wsłuchiwał się w odgłosy dnia, niż przyglądał psom, co sądzić można było z jego nieruchomych oczu i skupionego wyrazu twarzy. Wielkie dłonie Pirata powoli pełzły w kierunku psów, palce zaczynały delikatnie pieścić szorstkie kudły. Mniej więcej po półgodzinie Pirat szedł w kąt opuszczonego ogrodu, ściągał worek osłaniający taczki i wykopywał z ziemi siekiere, którą co wieczór zakopywał. Potem mijał z psami drogę, popychając taczki w las, póki nie znalazł jakiegoś zwalonego uschniętego drzewa z dużą ilością mniejszych gałęzi. Około południa miał całe taczki załadowane wspaniałym drewnem na podpałkę i wtedy nadal w towarzystwie pięciu psów wędrował do miasta i chodził tak długo, póki nie sprzedał całego ładunku za dwadzieścia pięć centów.

Łatwe było zaobserwowanie wszystkich tych czynności z wyjątkiem ostatniej: lokowania dwudziestu pięciu centów. Jak się to odbywało, nikt nie wiedział. Pirat ich nie wy-

dawał. Nocą, osłaniany od niebezpieczeństw przez kohortę wiernych psów, szedł w las i dokładał ostatnie dwadzieścia pięć centów do setek poprzednich. Gdzieś musiał mieć ukryty prawdziwy skarb.

Pilon, człowiek dokładny, który nie przechodził obojętnie koło najdrobniejszego szczegółu czyjegoś życia i który był szczęśliwy, mogąc zgłębiać tajemnice tkwiące głęboko w głowach znajomych, stwierdzał istnienie skarbu Pirata metodą prostej dedukcji. Pilon rozumował następująco: „Pirat co dzień zarabia dwadzieścia pięć centów. Jeśli są to dwie dziesiątki i piątka, niesie je do sklepu i wymienia na jedną monetę. Nigdy nic nie kupuje. A więc musi chować pieniądze”.

Pilon usiłował także obliczyć w przybliżeniu wielkość skarbu. Pirat od lat żył tym samym trybem życia: przez sześć dni w tygodniu sprzedawał drewno, a w niedzielę chodził do kościoła. Nosił to, co ktoś gdzieś wyrzucił na śmietnik, jadał wyłącznie resztki z kuchni restauracyjnych. Pilon chwilę siedział zadumany nad wielkimi cyframi, które kłębiły mu się po głowie, wreszcie zrezygnował z wysiłku. „Pirat musi mieć co najmniej sto dolarów” - ocenił na oko.

Pilon już od dłuższego czasu myślał o tej sprawie, ale dopiero po niesłychanie pochopnej i dziecinnej obietnicy Jezusa Marii, że będzie zaopatrywał dom w żywność, skarb Pirata nabral realnych kształtów i właściwego znaczenia.

Nim jednak Pilon zagłębił się w praktyczne rozważania, poddał swój umysł dłuższym wszechstronnym przygotowaniom. Przed wszystkim bardzo współczuł Piratowi. „Biedny półgłówek - stwierdził. - Bóg nie dał mu całego rozumu, jaki się należy człowiekowi. Nieszczęśliwy Pirat nie potrafi nawet sobie zapewnić właściwej opieki. Żyje w brudzie, w starym kurniku, żywi się resztkami dobrymi najwyżej dla psów. Ubranie nosi podarte i poprzecierane. A ponieważ ma niedobrze w głowie, chowa pieniądze”.

W ten sposób, skonstruowawszy podmurowanie z cegiełek litości, Pilon zajął się wznoszeniem wyższych pięt, czyli rozwiązaniem problemu. „Byłoby wielką zasługą - myślał - dać Piratowi to wszystko, czego on sam sobie dać nie może. Kupić mu ciepłe ubranie, nakarmić go czymś, co jest godne człowieka, a nie zwierzęcia. Niestety - przypomniał sobie - nie mamy pieniędzy na podobne rzeczy, chociaż serce domaga się natychmiastowego działania. W jakież więc inny sposób można ziścić te godne pochwały uczynki?”.

Sytuacja stawała się nareszcie wyraźniejsza. Jak kot, który przez długą, niemą godzinę skrada się do wróbla, Pilon był gotów do skoku. „Jest! - wykrzyknęło mu coś w głowie. - Można to zrobić w następujący sposób: Pirat ma pieniądze, ale nie ma rozumu, żeby

je zużytkować. Ja mam rozum. Oddam swój rozum na jego usługi. Oddam go bezinteresownie, bardzo chętnie. Oto będzie moja ofiara dla tego biednego, na poły tylko uformowanego człowieka".

Była to jedna z najpiękniejszych konstrukcji myślowych, jakie Pilon kiedykolwiek stworzył. Natychmiast też przyszło pragnienie artysty pochwalić się swoim osiągnięciem przed innymi. „Powiem o tym Pablowi” - pomyślał. Czy jednak powinien to uczynić? Czy Pablo jest do głębi uczciwy? Czy nie zechce obrócić części pieniędzy Pirata na swoją korzyść? Pilon zdecydował, że nie wolno mu ryzykować, w każdym razie nie na tym etapie.

Rzecz zdumiewającą jest fakt, że brzuch każdego czarnego i najbardziej złego gada jest biały jak śnieg. Natomiast smutkiem napawa drugi fakt, że niewidoczna dla oka powłoka anielska jest zarazona trądem. Niech będzie pokój i chwała Pilonowi, gdyż on objawił, jak odsłaniać przed światem dobro, które leży w cieniu zła. Nie był również ślepy, jak wielu świętych, na zło kryjące się w cieniu dobra. Ze smutkiem trzeba przyznać, że Pilon nie był ani głupi, ani zarozumiały, ani na tyle chciwy nagrody, by zostać obleczony w szaty świętego.

Pilonowi wystarczyło, że czyni dobrze i że w nagrodę żyje w ciepłych promieniach, jakimi olśniewa otoczenie doskonała przyjaźń.

Jeszcze tej samej nocy odwiedził kurnik, w którym sypiał Pirat ze swoimi psami. Dany, Pablo i Jezus Maria siedząc przy piecu zaobserwowali odejście przyjaciela, ale nie powiedzieli, gdyż mieli wrodzony takt. Sądziło, że Pilon albo owionęły opary miłości, albo też dowiedział się, gdzie można zdobyć trochę wina. I w jednym, i w drugim wypadku była to wyłącznie jego sprawa, póki się nią nie podzieli.

Słońce dawno już zaszło, ale Pilon miał w kieszeni świecę, gdyż uważał, że należy uważnie obserwować wyraz twarzy Pirata podczas mającej nastąpić z nim rozmowy. W torbie Pilon niósł jeszcze okrągły słodki placek, który Susie Francisco, pracująca w piekarni, dała mu w zamian za receptę eliksiru miłości przeznaczonego do zdobycia względów Charlie Guzmána. Charlie był gońcem na poczcie i jeździł motocyklem, a Susie miała już męską czapkę z daszkiem. Czapkę z daszkiem mogła włożyć do tyłu, w wypadku gdyby Charlie zaprosił ją kiedyś na przejażdżkę. Pilon pomyślał sobie, że słodki placek może bardzo smakować Piratowi.

Noc była wyjątkowo ciemna. Pilon ostrożnie szedł wąską uliczką przeważnie nie zabudowaną lub graniczącą z zarośniętymi zielskim ogródkami.

Zły buldog Galveza, ujadając, wyskoczył z podwórka domu Galveza, ale Pilon uspo-

koił go paroma komplementami. - Ładny piesek - stwierdził łagodnie. - Miły piesek. - Oba te określenia były jaskrawym kłamstwem, niemniej rozbroiły buldoga, który wycofał się na podwórko Galvezowego domu.

Pilon zbliżył się wreszcie do opuszczonego gospodarstwa, gdzie mieszkał Pirat z psami. Obecnie należało zachować daleko idącą ostrożność, gdyż psy Pirata znane były z obrończych skłonności i ataków furii, jeśli w kimkolwiek podejrzewały złe intencje wobec swego pana. Gdy Pilon wszedł na podwórko, usłyszał głębokie i groźne warczenie z kurnika.

- Piracie! - zawołał. - Przyszedł twój dobry przyjaciel Pilon, aby z tobą porozmawiać.

Odpowiedziała mu cisza. Psy na chwilę umilkły.

- Piracie, to tylko ja, Pilon.

Odpowiedziało mi teraz ponure warknięcie człowieka: - Odejdź, teraz śpię. Psy też śpią. Już jest ciemno, Pilonie. Idź spać.

- Mam w kieszeni świecę - zawołał Pilon. - W twoim ciemnym domku da nam ona światło równe jasności dnia. Przyniosłem ci także słodki placek.

Z kurnika dobiegł odgłos szamotania. - Chodź więc, powiem psom, że wszystko jest w porządku - odezwał się Pirat.

Idąc przez wysokie zielsko, Pilon słyszał, jak Pirat rozmawia cicho z psami, tłumacząc im, że to tylko przyszedł Pilon, który nie uczyni im nic złego. Pilon ukucnął przed czarnym wejściem budy, potarł zapałkę i zapalił świecę.

Pirat siedział na ubitej glinie klepiska, wokół niego siedziały psy. Enrique warknął, znowu więc trzeba mu było tłumaczyć, kto przyszedł. - Enrique jest mniej rozwinięty od pozostałych - wyjaśnił Pirat łagodnie. Oczy jego miały zadowolony wyraz rozbawionego dziecka. Kiedy się uśmiechał, wielkie białe zęby odbijały światło świecy.

Pilon podał torbę. - Dobre ciasto - powiedział. - Dla ciebie.

Pirat wziął torbę z ręki Pilona i zajrzał do środka. Potem uśmiechnął się grzecznie i wyjął placek. Psy także wykrzywiły pyski w towarzyskim uśmiechu, obróciły łby ku plackowi, przestępowały z łapy na łapę i oblizywały się łakomie. Pirat podzielił placek na siedem części. Pierwszą dał Pilonowi, który był gościem. - A teraz ty, Enrique - powiedział. - Teraz Fluff. Teraz *senor* Alec Thompson. - Każdy pies otrzymał swoją część, pożarł ją i czekał na więcej. Na końcu Pirat zjadł swoją porcję i podniósł obie dłonie do góry. - Nie ma więcej, widzicie, nie ma. - Psy natychmiast się położyły.

Pilon usiadł na ziemi i świecę postawił przed sobą. Pirat oczami zadawał mu nieme pytania. Pilon nie odpowiadał, czekając, aby wszystkie pytania spokojnie przepłynęły

sobie przez głowę Pirata. Wreszcie po długim milczeniu odezwał się: - Twoi przyjaciele martwią się o ciebie.

Oczy Pirata wyraziły najwyższe zdumienie. - Martwią się mną? Moi przyjaciele? Jacy przyjaciele?

Pilon nieco osłodził swój głos. - Masz wielu przyjaciół pamiętających o tobie. Nie odwiedzają cię, bo jesteś bardzo dumny. Uważają, że mogłoby urazić twoją dumę, gdyby zobaczyli, jak mieszkasz w tym kurniku, odziany w szmaty, żywiący się resztkami wyrzucanymi dla psów na śmietnik. Niemniej twoi przyjaciele martwią się tobą, gdyż podobny tryb życia wpędzić cię może w chorobę.

Pirat wchłaniał każde słowo z absolutnym zdumieniem, które go zatykało, a jednocześnie jego umysł usiłował strawić te słowa. Nie przyszło mu do głowy, żeby w nie wątpić. Przecież Pilon mówił! -I ja mam tylu przyjaciół? - zapytał oczarowany. - Nic o tym nie wiedziałem. I moi przyjaciele martwią się mną? Nie wiedziałem o tym, Pilonie. Starabym się ich nie martwić, gdybym wiedział. - Odchrząknął, aby uwolnić gardło od wezbranego w nim wzruszenia. - Ale widzisz, Pilonie, psom się tutaj podoba. I mnie się podoba właśnie ze względu na psy. Nie wiedziałem nic o tym, że jestem przyczyną zmartwienia moich przyjaciół. - Do oczu Pirata napłynęły łzy.

- Niemniej - odparł Pilon - twój sposób życia działa przygnębiająco na twoich przyjaciół.

Pirat opuścił wzrok na ziemię, próbując zebrać myśli, ale jak zwykle w takich wypadkach umysł mu dziwnie stępiał. Zamiast pomocy emanowała z niego jedynie bezradność. Pirat spojrzał z kolei na psy, jakby od nich oczekiwał wsparcia, ale psy już zasnęły, gdyż nie interesował ich roztrząsany problem. Wreszcie Pirat spojrzał w oczy Pilonu. - Musisz mi poradzić, co mam zrobić, Pilonie. Ja się nie znam na tych sprawach. Szło aż nazbyt łatwo. Pilon był tym nawet trochę zawstydzony. Zawahał się, na moment prawie zrezygnował ze swojego zamiaru, ale niestety wiedział, że gdyby to uczynił, byłby potem na siebie bardzo zły.

- Twoi przyjaciele są biedni - powiedział. - Chętnie by ci pomogli, ale nie posiadają majątku. Jeśli masz ukryte pieniądze, wydobądź je. Kup sobie ubranie, jedz pokarm, który nie jest wyrzucany przez innych ludzi na śmietnik. Wyjmij z ukrycia swoje pieniądze, Piracie.

W czasie swego przemówienia Pilon z ukosa przyglądał się Piratowi. Dostrzegł podejrzliwy i ponury błysk oczu, potem Pirat opuścił powieki. W sekundę Pilon dowiedział się dwóch niewątpliwych rzeczy: że po pierwsze Pirat ma ukryte pieniądze, a po

drugie, że niełatwo będzie je zdobyć. Pilon był zadowolony z tego drugiego faktu. Pirat stał się obecnie taktycznym problemem, a Pilon uwielbiał rozwiązywanie problemów taktycznych.

Pirat podniósł głowę i znowu patrzył na Pilona, a w jego oczach widać było spryt, wyrachowanie i naiwną dumę ze swojej zmyślności. - Nie mam żadnych pieniędzy - odparł.

- Przecież każdego dnia widzę, mój przyjacielu, jak otrzymujesz dwadzieścia pięć centów za swoje drewno, a nigdy nie widzę, żebyś te dwadzieścia pięć centów wydawał.

Tym razem umysł Pirata przyszedł mu na ratunek: - Oddaję biednej kobiecie - wyjaśnił - nie mam żadnych pieniędzy. I zatrzasnął drzwi do dalszej dyskusji na powyższy temat.

„A więc niestety trzeba działać podstępem” - pomyślał Pilon. Trzeba zastosować metody, w których ostatecznie jest przecież mistrzem. Wstał zabierając z ziemi świeczkę. - Chciałem ci jedynie powiedzieć, co sądzą przyjaciele - powiedział wzruszając ramionami. -Jeżeli nie chcesz sobie pomóc, nic więcej nie mogę dla ciebie uczynić.

Wzrok Pirata powtórnie złagodniał. - Powiedz moim przyjaciołom, że jestem zdrowy - błagał. - Powiedz moim przyjaciołom, aby mnie odwiedzili. Nie będę zbyt dumny, aby ich tutaj przyjąć. Będę szczęśliwy, oglądając ich o każdej porze. Powiesz im to ode mnie, Pilonie?

- Powiem - odparł Pilon trochę szorstko. - Ale twoi przyjaciele nie będą zadowoleni, kiedy się dowiedzą, że nie robisz nic, aby zmniejszyć ich niepokój. - Pilon zgasił świecę i wyszedł w ciemność. Zdawał sobie sprawę, że Pirat nigdy dobrowolnie mu nie powie, gdzie schował pieniądze. Trzeba je znaleźć podstępem, zabrać je siłą i wtedy kupić mu wszystkie dobre i potrzebne rzeczy. To jedyny sposób.

Tak więc Pilon zaczął śledzić Pirata. Chodził za nim w las, kiedy Pirat jechał po drewno, wieczorami leżał za Piratowym kurnikiem i czatował. Nawet prowadził z nim długie i namiętne rozmowy, ale nic z tego nie wychodziło. Skarb był dalej nieosiągalny i nie umiejscowiony. Pirat albo go zakopał w kurniku, albo ukrył w głębi lasu i odwiedzał jedynie podczas głębokiej nocy.

Długie i bezowocne czuwanie wyczerpało cierpliwość Pilona. Potrzebna mu była pomoc i rada. A któż mógł udzielić lepszej pomocy i rady niż przyjaciele: Danny, Pablo i Jezus Maria? Któż inny mógł służyć podobnym sprytem i przebiegłością. Któż potrafi lepiej łączyć dobroć z umiejętnością jej praktycznego zastosowania?

Pilon wtajemniczył więc przyjaciół w swój plan, oczywiście uprzednio ich przygotowu-

jąc, tak jak przygotował siebie. Opowiedział o biedzie, w jakiej żyje Pirat, o jego niezadności życiowej i wreszcie wspomniał o rozwiązaniu, jakie mu się nasunęło. Kiedy w opowiadaniu swoim doszedł właśnie do rozwiązania, przyjaciele bliscy już byli filantropijnej ekstazy. Głośno wyrazili Pilonowi swoje uznanie, na twarzach ich płonęła gorączka dobroci, Pablo zaś wypowiedział przypuszczenie, że Pirat posiada dużo więcej niż sto dolarów.

Kiedy ich entuzjazm trwale osiadł na poziomie praktycznego podniecenia, zaczęli opracowywać plan działania.

- Musimy go pilnować - zaproponował Pablo.

- Przecież go pilnowałem - zaprotestował Pilon. - On prawdopodobnie chodzi do lasu w nocy, ale wtedy nie można iść za nim zbyt blisko, bo go psy pilnują jak szatany. To nie będzie łatwe.

- Użyłeś wszystkich argumentów? - spytał Danny.

- Wszystkich, jakie istnieją.

W rezultacie Jezus Maria, ów wielki humanista, znalazł wyjście z sytuacji: - Trudno jest zrobić cokolwiek, gdy Pirat mieszka w tym kurniku - powiedział. - Ale przypuśćmy, że zamieszka z nami. Albo jego milczenie załamie się w obliczu dobroci, jaką mu będziemy okazywali, albo łatwiej nam będzie się dowiedzieć, gdzie wychodzi nocą.

Przyjaciele długo rozważali ten projekt: - Czasami żywność, jaką dostaje z restauracji, jest prawie dobra - mruknął Pablo. - Widziałem go z kotлетem, który był tylko troszeczkę nadgryziony.

- On może mieć nawet dwieście dolarów - powiedział Pilon. Danny zgłosił sprzeciw: - A psy, przecież on będzie chciał sprowadzić się z psami!

- Któregoś ranka widziałem, jak Pirat niósł prawie pół placka troszkę tylko zamoczonego w kawie - przypomniał sobie Pablo.

Problem został rozwiązany: mieszkańcy domu wyłonili i zorganizowali komitet, który udał się z wizytą do Pirata.

Kiedy wszyscy weszli do kurnika, zrobiło się tam bardzo ciasno. Pirat usiłował zamaskować wielkie zadowolenie ponurością głosu.

- Zła pogoda - nawiązał towarzyską rozmowę. - Pewno mi nie uwierzycie, jeśli wam powiem, że na szyi Rudolfa znalazłem kleszcze wielkości gołębiego jaja. - Potem Pirat, jak dobrze wychowany gospodarz, wypowiedział parę lekceważących słów o swoim mieszkaniu. - Jest zbyt małe. To zupełnie nieodpowiednie miejsce do przyjmowania przyjaciół. Ale jest przytulnie i ciepło, zwłaszcza psom.



Potem przemówił Pilon. Wspomniał Piratowi, że niepokój targa jego przyjaciółmi, ale jeśliby Pirat zgodził się zamieszkać z nimi, wtedy będą oni mogli wreszcie spać spokojnie o jego los.

Pirat był bardzo zaskoczony. Obejrzał dokładnie swoje ręce, a potem spróbował znaleźć pociechę u psów, ale one nie chciały na niego spojrzeć. Wreszcie dłonią otarł radość z oczu, a z kolei dłoń o wielką czarną brodę.

- A psy? - spytał cicho. - Psy także przyjmiecie? Czy jesteście przyjaciółmi psów?

Pilon skinął głową. - Psy także, oczywiście. Psy będą miały swój specjalny kąt.

Pirat posiadał wiele dumy własnej. Bał się, że może nie potrafi odpowiednio się zachowywać. - Idźcie teraz - powiedział z błaganiem w głosie. - Wracajcie teraz do domu, jutro przyjdę.

Przyjaciele rozumieli, co Pirat czuje. Wyczołgali się z kurnika i pozostawili go w spokoju.

- On będzie z nami bardzo szczęśliwy - stwierdził Jezus Maria.

- Biedny samotny człowiek - dodał Danny. - Gdybym o tym wiedział przedtem, dawno bym go już zaprosił, nawet gdyby nie miał ukrytego skarbu.

W sercach wszystkich przyjaciół gorzał triumfalny ogień szczęścia.

Szybko ułożyły się dobre stosunki. Danny kawałkiem niebieskiej kredy wyznaczył w rogu pokoju półkoliste miejsce dla psów w czasie ich przebywania w domu. W rogu tym sypiał także Pirat.

Zrobiło się trochę ciasno, u Danny'ego mieszkało już pięciu mężczyzn i pięć psów. Ale od pierwszej chwili przyjaciele wiedzieli, że zaproszenie Pirata było inspirowane przez owego niestrudzonego i pełnego najlepszych chęci anioła, który opiekował się ich losami i chronił przed szatanem.

Każdego ranka, kiedy jeszcze przyjaciele smacznie spali, Pirat wstawał ze swojego kąta i w towarzystwie psów wędrował na obchód restauracyjnych kuchni i portu. Należał do ludzi, którzy we wszystkich rozpalają dobre instynkty, więc przynosił coraz większe paczki. Przyjaciele akceptowali dary i obracali je ku najlepszemu pożytkowi. Mieli zawsze świeżą rybę, nadgryzione placki, nie nadgryzione bochenki czerstwego chleba, mięso, do którego potrzeba było najwyżej troszkę sody, żeby usunąć zielone plamy. Zaczęli naprawdę żyć.

Ich zgoda na przyjmowanie tych rzeczy wzruszała Pirata bardziej, niż gdyby świadczyli mu najbardziej wyszukane usługi. W oczach Pirata paliło się światło uwielbienia, gdy patrzył, jak spożywają posiłek, który im dostarczył.

Wieczorami siadywali koło pieca i leniwymi głosami dobrze odżywionych bóstw dyskutowali palące problemy Tortilla Flat, a rozbiegane oczy Pirata przeskakowały z jednego na drugiego, jego wargi poruszały się, niemym szeptem powtarzając słowa przed chwilą wypowiedziane przez któregoś z przyjaciół. Psy tuliły się do Pirata pełne zazdrości.

Ci ludzie są jego przyjaciółmi - powtarzał sobie w nocy, gdy dom był już ciemny, psy pokładły się blisko, żeby wszystkim było ciepło. Ci ludzie tak go kochają, że aż nie mogli znieść myśli o jego samotnym życiu. Pirat często nad tym się zastanawiał; była to zdumiewająca myśl, w którą niepodobna wprost uwierzyć. Jego taczki stały teraz na podwórzu domu Danny'ego. Pirat codziennie jeździł do lasu po drewno i potem je sprzedawał. Ale tak się bał uronić choć jedno słowo z wieczornych rozmów przy piecu i opuścić okazję wchłonięcia w siebie cząstki tego pulsującego ducha przyjaźni, że od wielu dni nie odwiedzał swojego skarbu, aby odłożyć tam zarobione pieniądze.

Przyjaciele byli dla niego bardzo dobrzy. Traktowali go z rozbijającą grzecznością. Ale zawsze spoczywało na nim czyjeś oko. Kiedy Pirat pchał swoje taczki do lasu, towarzyszył mu jeden z przyjaciół i potem siadał nieopodal na pniaku, przyglądając się rąbaniu drzewa. Kiedy Pirat udawał się wieczorem za dom, do parowu, w sprawach czysto osobistych, szedł za nim albo Danny, albo Pablo, albo Pilon, albo Jezus Maria. A w nocy Pirat musiałby zachowywać się niezwykle cicho, by wyjść z domu niepostrzeżenie, bez wiernego anioła stróża.

Przez tydzień przyjaciele tylko obserwowali Pirata. Wreszcie jednak zniechęcił ich brak widocznych rezultatów. Ponieważ bezpośrednie działanie było wykluczone, o czym dobrze wiedzieli, któregoś wieczoru w dyskusji pojawił się nowy temat o nieopatrzonym ukrywaniu pieniędzy.

Zaczął Pilon: - Miałem wuja. Typowy skąpiec. I on kiedyś schował złoto w lesie. Któregoś dnia poszedł do lasu, patrzy, złota nie ma. Ktoś je znalazł i ukradł. Wuj był już starym człowiekiem, stracił wszystkie pieniądze, więc się powiesił. - Pilon z zadowoleniem stwierdził, że na twarzy Pirata pojawił się lekki wyraz niepokoju.

Danny również to zauważył, więc podjął temat: - *Viejo*, mój dziadek, do którego należał ten dom, również zakopał pieniądze. Nie wiem ile, ale mówiono, że jest bogaty, więc musiał zakopać pewno co najmniej trzysta lub czterysta dolarów. *Viejo* wykopał głęboki dół, włożył do niego pieniądze, przysypał je ziemią i na ziemi rozsypał igliwie, żeby nikt nie zauważył, że tu ktoś kopał. Ale kiedy potem wrócił, dół był rozkopany i pieniądze zniknęły.

Wargi Pirata bezdźwięcznie powtarzały każde słowo. Na twarzy jego pojawił się wyraz panicznego strachu. Palcami przebiegał w kudłach *senora* A. Thompsona. Przyjaciele porozumieli się spojrzeniem i chwilowo porzucili ten temat. Natomiast zajęli się seksualnym życiem Kornelii Ruiz.

W nocy Pirat wykradł się z domu, psy za nim, Pilon za psami. Pirat biegł szybko w stronę lasu, zwinnie skacząc przez pnie i przedzierając się między krzakami. Pilon pędził za nim. Ale kiedy uszli ze dwie mile, Pilon zupełnie stracił oddech, a ręce miał podrapane kolcami gałęzi. Na chwilę stanął, żeby odpocząć, i wtedy zdał sobie nagle sprawę, że wszystkie odgłosy przed nim zupełnie ucichły. Czekał i słuchał, i szperał dokoła, ale Pirat zniknął.

Po dwóch godzinach Pilon wrócił do domu, powłócząc nogami i całkowicie wyczerpany. Pirat leżał w swoim kącie, śpiąc spokojnie między psami. Kiedy Pilon wszedł, psy podniosły łby i jakby uśmiechnęły się ironicznie.

Następnego ranka w parowie odbyła się konferencja.

- Nie ma mowy, żeby za nim nadążyć - meldował Pilon. - Po prostu mi zniknął. On widzi w ciemnościach, zna każde drzewo w lesie. Musimy wymyślić inny sposób.

- Może nie wystarczy, żeby szedł za nim jeden - podsunął Pablo. - Może trzeba, żeby poszli za nim wszyscy. Wtedy może się nie zgubi.

- Znowu poruszymy wieczorem temat zakopywania pieniędzy - powiedział Jezus Maria. - Tylko ostrzej. Jedna znajoma dama ofiaruje mi trochę wina - dodał skromnie. - Może z winem w brzuchu Pirat nie zniknie tak łatwo. - I na tym chwilowo stanęło.

Dama Jezusa Marii ofiarowała mu cały galon wina. Czyż Pirat mógł sobie wyobrazić większą rozkosz niż siedzenie z przyjaciółmi pod piecem, trzymanie w ręku słoika po konfiturach pełnego wina, pociąganie sobie drobnych łyżków i słuchanie rozmowy przyjaciół? Pirat nie miał wielu takich chwil w życiu. Jakże teraz pragnął przytulić tych kochanych ludzi do piersi i powiedzieć im, jak bardzo ich kocha. Ale takich rzeczy się nie robi, pomyśleliby, że jest pijany. Jednakże Pirat bardzo pragnął zrobić coś wspaniałego, coś, czym by okazał im swoją miłość.

- Wczoraj wieczorem rozmawialiśmy o zakopywaniu pieniędzy

- powiedział Pilon. - A dziś sobie przypomniałem mojego krewnego, nawet sprytnego człowieka. Jeśli jest ktoś taki na świecie, kto potrafi chować pieniądze, gdzie nikt ich nie znajdzie, to właśnie on. Więc on wziął swoje pieniądze i zakopał je. Może go nawet znacie, to ten, który się czołga po porcie i żebrze o rybie łby na zupę. To właśnie mój krewny. Ktoś ukradł jego zakopane pieniądze.

Na twarz Pirata powróciła troska.

Następowała opowieść po opowieści, a każda mówiła o nieszczęściu, które szło krok w krok za ludźmi zakopującymi pieniądze.

- Najlepiej jest trzymać pieniądze przy sobie. Trochę wydawać, trochę oddawać przyjaciołom - zakończył Danny.

Uważnie obserwowali Pirata i właśnie podczas opowiadania najgorszej historii zauważyli, że z twarzy jego odpływa troska, a na jej miejsce rozlewa się uśmiech ulgi. Zabrał się ochoczo do wina, oczy rozbłysły mu szczęściem.

Przyjaciele byli zrozpaczeni. Wszystkie ich plany zawiodły. Czuli wielkie zniechęcenie. Tyle ich dobroci i litości dla biednego Pirata poszło na marne. Pirat w jakiś niewytłumaczony sposób umknął dobrodziejstwu, jakimi go chcieli obsypać. Skończyli wino i poszli spać w niezbyt dobrych humorach.

W nocy nic się nie mogło zdarzyć bez wiedzy Pilona. Uszy miał zawsze otwarte, nawet gdy reszta ciała spała. Usłyszał, jak Pirat i jego psy cicho wychodzą z domu. Skoczył, aby obudzić przyjaciół, i po chwili cała czwórka gnała za Piratem w kierunku lasu. W sosnowym lesie było bardzo ciemno. Przyjaciele wpadali na drzewa, potykali się o pędy jeżyn, ale jeszcze przez długi czas słyszeli kroki Pirata idącego przed nimi. Zaszli w to samo miejsce, gdzie zaszedł Pilon poprzedniej nocy, i wtedy zaskoczyła ich nagle cisza. Słyszeli tylko szmer drzew i szelest nocnego wiatru. Przetrzęsneli las i porośnięte krzakami polanki, ale Pirat zniknął.

Zziębnięci, rozczarowani i zmęczeni ruszyli z powrotem w kierunku Monterey. Świtało, kiedy wrócili. Nad zatoką błyszczało już słońce. Z odległego Monterey płynął ku nim poranny dym z kominów.

Na ganek wyszedł Pirat, aby ich powitać, na jego twarzy malowała się radość. Przeszli koło niego w milczeniu i stanęli w progu pokoju. Na stole leżała spora parciana torba. Pirat stanął tuż za nimi.

- Skłamałem ci, Pilonie - powiedział. - Mówiłem, że nie mam pieniędzy, ponieważ się bałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że mam przyjaciół. Potem opowiadaliście, jak ukryte pieniądze stają się często łupem złodziei, więc się znowu przestraszyłem. Dopiero wczoraj wieczorem przyszło mi do głowy, że moje pieniądze będą bezpieczne w rękach przyjaciół. Nikt ich nie ukradnie, jeśli ich będą pilnować moi przyjaciele.

Cała czwórka patrzyła na niego z przerażeniem. - Zabierz pieniądze z powrotem do lasu i zakop je - powiedział ostro Danny. - Nie chcemy ich pilnować.

- Nie - odparł Pirat. - Nie czułbym się bezpieczny, zakopując pieniądze w lesie. Ale

będę szczęśliwy wiedząc, że moi przyjaciele chowają je dla mnie. Pewno mi nie uwierzyście, ale naprawdę podczas ostatnich dwóch nocy ktoś szedł za mną do lasu, aby ukraść moje pieniądze.

Chociaż cios to był straszny, Pilon, ów człowiek sprytu, próbował się jeszcze bronić: - Nim oddasz pieniądze w nasze ręce, może zechcesz coś z nich ująć - zaproponował zachęcająco.

Pirat potrząsnął głową. - Nie, nie mogę tego uczynić. One nie są moje. Mam już prawie tysiąc dwudziestopięciocentówek. Kiedy będę miał pełny tysiąc, kupię złoty lichtarz dla świętego Franciszka z Asyżu. Kiedyś miałem ślicznego psa i ten pies zachorował, i ja obiecałem wtedy złoty lichtarz z tysiąca dni pracy, jeśli ten pies wyzdrowieje. No i... - Pirat wyciągnął przed siebie wielkie dłonie - pies wyzdrowiał.

- Jeden z tych psów? - spytał Pilon.

- Nie - odparł Pirat. - Tamtego wkrótce potem przejechał samochód.

A więc koniec! Przepadły wszystkie nadzieje wykorzystania pieniędzy. Pablo i Danny ponuro podnieśli ciężki worek srebrnych ćwierćdolarówek, zabrali do drugiego pokoju i schowali pod poduszkę Danny'ego. Po pewnym czasie być może sprawi im satysfakcję myśl, że pod poduszką leżą pieniądze, ale chwilowo zalewała ich gorzycz porażki. Nie mogli nic na to poradzić. Szanse, które mieli, zostały pogrzebane na zawsze.

Pirat stał przed nimi, w oczach szklily mu się łzy szczęścia, gdyż wreszcie udowodnił swoją miłość dla przyjaciół.

- I pomyśleć - powiedział - że przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałem w kurniku, nie zaznałem żadnej radości. Ale teraz - dodał - o, teraz jestem bardzo szczęśliwy.

## **Rozdział 8**

*O tym jak w wigilię świętego Andrzeja przyjaciele  
Danny'ego poszukiwali legendarnego skarbu, jak Pilon  
go znalazł i jak następnie para granatowych spodni  
dwukrotnie zmieniała właściciela*

Gdyby Wielki Joe Portugalczyk był bohaterem, źle czułby się w wojsku. Natomiast fakt, że Wielki Joe Portugalczyk miał za sobą odpowiedni staż w areszcie miasta Monterey, nie tylko ocalił go od okazywania zbędnych objawów patriotyzmu często krzyżującego ludzkie zamiary, ale i umocnił w przekonaniu, że tak jak dni człowieka słusz-

nie dzielą się na czas spania i niespania, tak i lata mężczyzny dzielą się na miesiące spędzone w areszcie i poza aresztem. W czasie wojny Joe spędził znacznie więcej czasu w areszcie niż poza nim.

W życiu cywilnym człowiek jest karany za to, co robi, ale przepisy wojskowe urozmaicają to zupełnie nową zasadą karania za to, czego nie robi. Joe Portugalczyk nigdy nie mógł tego zrozumieć. Nie czyścił broni, nie golił się, a parę razy nie wrócił z urlopu. Z tymi niedostatkami sprzęgnięta była skłonność Joego do bardzo urozmaiconej argumentacji, gdy go brano do jakiejś roboty, która mu nie odpowiadała.

W normalnym czasie spędzał połowę życia w areszcie, natomiast z dwu lat w wojsku przesiedział w więzieniu osiemnaście miesięcy. Nie lubił więzień wojskowych. W areszcie Monterey przyzwyczał się do pewnych wygod i towarzystwa. W wojskowym więzieniu czekała go jedynie nieznośna praca. W Monterey odsiadywał karę aresztu ciągle za jedno i to samo: za pijaństwo oraz zakłócenie porządku publicznego. Natomiast powody osadzania go w więzieniu wojskowym zdumiewały go do tego stopnia, że od tego czasu umysł jego uległ prawdopodobnie jakiemuś stałemu urazowi.

Gdy skończyła się wojna i żołnierzy puszczono do domu, Wielkiemu Joe pozostało jeszcze sześć miesięcy do odsiedzenia za „pijaństwo na służbie, uderzenie sierżanta bańką od nafty, zaprzeczenie swojej tożsamości (nie mógł sobie niczego przypomnieć, więc wszystkiemu zaprzeczał), kradzież dwu galonów gotowanego grochu i opuszczenie oddziału bez przepustki na wierzchołku dowódcy batalionu”.

Gdyby w tym czasie nie ogłoszono zwycięskiego końca wojny, Joe zostałby prawdopodobnie rozstrzelany. Wrócił do domu długo po powrocie ostatniego kontyngentu zdemobilizowanych żołnierzy, którzy zdążyli skosztować wszystkie słodkie owoce zwycięstwa.

Kiedy Wielki Joe wysiadł z pociągu, miał na sobie płaszcz wojskowy, kurtkę wojskową i granatowe wełniane spodnie.

Miasto nie zmieniło się wiele przez dwa lata jego nieobecności z wyjątkiem faktu, że wprowadzono prohibicję, ale prohibicja nie zmieniła Toremego. Joe przehandlował płaszcz za galon wina i poszedł na poszukiwanie przyjaciół.

Prawdziwych przyjaciół tej nocy nie znalazł, w Monterey natomiast nie brakowało przyjaciół fałszywych, do cna zepsutych alfonsów lub po prostu dziewczek, zawsze gotowych udostępnić człowiekowi upadek na dno piekieł. Joe, który nie był bardzo moralny, nie miał wstrętu do piekła i upadku. Nawet to lubił.

Wino zniknęło po upływie zaledwie paru godzin, pieniądze też. Wtedy dziewczki usiło-

wały wypchnąć Joego z otchłani, ale on nie chciał wyjść. Było mu tam bardzo wygodnie.

Gdy spróbowaly wyrzucić go siłą, Joe, okazując wielką niechęć wobec tych poczynań, połamał wszystkie meble w lokalu i wybił wszystkie okna, a półrozebrane, rozwrzeszczane dziewczęta wygnał w ciemną noc. Potem, jakby po chwilowym zastanowieniu, podpalił dom. Nie było rzeczą bezpieczną wodzić Joego na pokuszenie - nie znajdował w sobie żadnych hamulców przy stromym zjeździe w otchłań.

Wreszcie podjął interwencję policjant i zabrał go pod swoją opiekę. Joe Portugalczyk westchnął uszczęśliwiony, nareszcie poczuł się u siebie w domu.

W wyniku krótkiej rozprawy bez sędziów przysięgłych dostał trzydzieści dni aresztu, po czym legł rozkosznie na pokrytej skórą pryczy w celi i przespał mocno jedną dziesiątą swego wyroku.

Joe lubił areszt w Monterey. Tam się zawsze spotykało znajomych. Gdy zatrzymywał się w areszcie odpowiednio długo, defilowali przed nim kolejno wszyscy przyjaciele.

Czas mijał szybko. Było mu zawsze trochę smutno, gdy opuszczał gościnne mury, ale smutek łagodziła myśl, że powrót nie nastrecza wielu trudności. Chętnie wpadłby znowu w otchłań, ale nie miał pieniędzy ani wina. Chodził po ulicach, licząc na spotkanie dawnych przyjaciół: Pilon, Danny'ego i Pabla, nie mógł ich jednak znaleźć. Sierżant policji poinformował go, że od dłuższego czasu nie odwiedzali aresztu.

- Pewno umarli - stwierdził wtedy Joe.

Smutny zawędrował do Torellego, ale Torelli nie okazywał życzliwości ludziom, którzy nie mieli pieniędzy lub przedmiotów o wartości wymiennej, więc Joe nie otrzymał tu pocieszenia, a jedynie wiadomość, że Danny odziedziczył dom na Tortilla Flat i że mieszka tam razem ze wszystkimi swoimi przyjaciółmi.

Joego opętało natychmiast gorące uczucie przyjaźni i pragnienie ujżenia przyjaciół. Wieczorem zawędrował do Tortilla Flat, aby odszukać Danny'ego i Pilon. Był już zmierzch, gdy idąc ulicą spotkał Pilon spieszącego z jakimś wyraźnym celem.

- *Ai*, Pilon, szedłem właśnie do ciebie.

- Halo, Joe - Pilon przemówił oschle. - Gdzie byłeś?

- W wojsku - wyjaśnił Joe.

Myśl Pilon nie potrafiła długo tkwić przy jednym temacie rozmowy. - Muszę już iść.

- Pójdę z tobą - zaofiarował się Joe.

Pilon stanął i dokładnie przyjrzał się Joemu. - Zapomniałeś, jaki dzisiaj dzień? - spytał. -Jaki?

- Wigilia świętego Andrzeja.

Joe Portugalczyk wiedział, co to za wieczór. Każdy *paisano*, który nie siedział tego wieczoru w areszcie, wędrował niestrudzenie po lesie. Tej nocy wszystkie zakopane na świecie skarby wysyłały nad ziemię słabe fosforyzujące światło. W lesie pełno było zakopanych skarbów. Podczas ubiegłego stulecia Monterey nawiedzały wielokrotnie kohorty bandytów, za każdym razem zakopując skarby w lesie.

Noc była jasna. Pilon zrzucił z siebie swoją twardą dzienną skorupę realisty, co czynił czasami. Na parę godzin został idealistą, rozdawcą łask i prezentów. Tej nocy obarczony był misją czynienia dobrodziejstw.

- Możesz ze mną iść, Joe, ale jeśli znajdziemy skarb, ja zdecyduję, co z nim zrobić. Jeśli się na to nie godzisz, idź sam i szukaj własnego skarbu.

Joe nie był wielkim ekspertem w samodzielnym prowadzeniu jakichkolwiek przedsięwzięć. - Pójdę z tobą, Pilonie - odparł. - Nie zależy mi na skarbie.

Gdy wchodzili do lasu, noc nabrzmiewała dostojeństwem. Stopy ich grzęzły w miękkim iglastym podłożu. Pilon wiedział, że jest to doskonała noc na poszukiwanie skarbu. Mgły uniosły się wysoko i otulały niebo. Tylko księżyc przedarł się między drzewa, rozsiewając delikatne światło i rozpuszczając kontury cieni, którym na obrazach lubimy nadawać miano realizmu. Pnie wcale nie przypominały czarnych kolumn, ale raczej niematerialne zjawy. Krzaki rozplywały się w mroku i jakby szły wolno przed siebie w tym dziwnym świetle. Podczas takiej nocy duchy mogły swobodnie krążyć, bez obawy, że spotkają się ze sceptycyzmem ludzi, gdyż była to właśnie noc duchów i tylko prymitywny niedowiarek nie potrafił tego pojąć.

Od czasu do czasu Pilon i Wielki Joe spotykali innych poszukiwaczy skarbów, którzy niespokojnie krążyli między wielkimi sosnami. Wszyscy nisko pochylali głowy, poruszali się bezszelestnie i nie pozdrawiali wzajemnie. Skąd można było wiedzieć, czy wszyscy z nich są żywymi ludźmi? Joe i Pilon doskonale zdawali sobie sprawę, że niektórzy to tylko duchy owych starych ludzi, którzy zakopali w lesie skarby i teraz w wigilię świętego Andrzeja powrócili na ziemię, aby sprawdzić, czy ich złoto leży nietknięte. Pilon miał zawieszony na szyi i wyłożony na koszulę medalik świętego, nie potrzebował więc bać się duchów. Wielki Joe trzymał palce skrzyżowane na znak Świętego Krzyża. I chociaż obaj mimo wszystko nie pozbyli się całkowicie strachu, wiedzieli, że są aż nazbyt dobrze zabezpieczeni przed nieziemskimi mocami.

Powiał wiatr i zasłonił chmurami blady księżyc, tak jak szara farba wlana do wody zasłania głębię toni. Wędrujące mgły nadawały lasowi pozory nienaturalnego życia.



Każde drzewo skradało się teraz cichaczem wraz z idącymi, bezszelestnie przesuwały się krzaki jak wielkie ciemne drapieżne kociska. Wierzchołki drzew rozmawiały na wietrze głębokim poszumem, wróżyły przyszłość i śmierć. Pilon wiedział, że nie jest bezpiecznie słuchać szeptów drzew. Nigdy nic dobrego nie wynika z poznania przyszłości, a zresztą były to niesamowite szepty. Starał się zająć swoją uwagę i uszy czym innym.

Szedł teraz zygzakiem od drzewa do drzewa, Wielki Joe dreptał obok jak wielki, czujny pies. Mijali ich samotni, milczący ludzie i znikali bez słowa powitania. I umarli mijali ich bezszelestnie, i znikali bez powitania.

Daleko w dole, na Cyplu, odezwała się syrena przeciwmgielna. Zawodziła i roznosiła swoją skargę wszystkim dobrym statkom, które rozbiły się niegdyś na skałach, i wszystkim tym, które się jeszcze kiedyś rozbijają.

Pilon wzdrygnął się i poczuł chłód, mimo że noc była ciepła. Wyszeptał zdrowaśkę.

Minęli siwego człowieka, który szedł z głową nisko zwieszoną. Też ich nie powitał.

Tak upłynęła godzina. Pilon i Wielki Joe wędrowali niestrudzenie jak wszyscy umarli, których pełno było tej nocy w lesie.

Nagle Pilon stanął i dotknął ramienia Wielkiego Joe.

- Widzisz? - spytał szeptem.

- Gdzie?

- Tuż przed tobą.

- Tak... chyba...

Pilon był pewny, że widzi słup delikatnego niebieskawego światła, które świeci nad ziemią około dziesięciu jardów przed nim.

- Joe - szepnął - znajdź dwa patyki na jard długie. Ja nie mogę spuścić tego miejsca z oczu, bo je zgubię.

Wielki Joe pognął po patyki. Pilon stał jak wietrzący pies myśliwski. Potem usłyszał trzask łamania gałęzi sosny i sapanie Wielkiego Joe, który obrywał drobne pędy. Pilon stał dalej wpatrzony w blade, rozproszone światło, takie słabiutkie, że chwilami w ogóle niewidoczne, i wtedy Pilon wcale nie był pewien, czy cokolwiek tam przedtem świeciło. Dla pewności jednak nie oderwał oczu od tego miejsca nawet wtedy, kiedy Joe kładł mu patyki do ręki. Skrzyżował je i trzymając przed sobą podszedł parę kroków. Światło zupełnie teraz zniknęło, ale Pilon już wiedział, że poprzednio wydobywało się z okrągłego zagłębienia w iglastym materacu. Położył swój krzyż na zagłębieniu i powiedział: - Wszystko, co tu się znajduje, jest moje prawem znalazcy. Odejdźcie, złe

duchy. Odejdźcie, dusze ludzi, którzy zakopali ten skarb. *In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti* - i wtedy odetchnął głęboko i usiadł obok na ziemi. - Znaleźliśmy, znaleźliśmy skarb, mój drogi przyjacielu! - zawołał. - Tyle lat szukałem i wreszcie znalazłem!

- Zaczniemy kopać — zaproponował Wielki Joe.

Ale Pilon oburzony potrząsnął głową. - Kopać, kiedy dokoła krążą duchy? Kiedy nawet przebywanie w tym miejscu grozi wieloma niebezpieczeństwami? Jesteś szalony, Wielki Joe! Zaczekamy do łana, teraz oznaczymy miejsce, a wieczorem przyjdziemy kopać. Nikt inny nie zobaczy już światła, gdy zostało nakryte Świętym Krzyżem. Jutro nie będzie już niebezpieczeństwa.

Gdy tak czuwali, siedząc na iglastym dywanie, noc wydawała się straszna. Co prawda z krzyża promieniowało ciepło świętości i bezpieczeństwa, zupełnie jakby paliło się małe ognisko, ale tak samo jak ognisko krzyż ogrzewał ich tylko od przodu, plecy natomiast mieli wystawione na zimno i na złe duchy, które hasały po lesie.

Pilon wstał i nakreślił wielkie koło dokoła miejsca, gdzie siedzieli. - Niech żaden zły duch nie przekracza tej linii w imię Najświętszego Pana Jezusa! - zaintonował i usiadł. Obaj poczuli się znacznie lepiej. Słyszeli ciche, ostrożne stąpania krążących po lesie duchów, widzieli promieniujące kształty przezroczywych sylwetek, które nieopodal przechodziły, ale chroniła ich nakreślona na ziemi linia. Żadne zło z tego czy innego świata nie mogło jej przestąpić.

- I co zrobisz z pieniędzmi? - spytał Wielki Joe.

Pilon spojrzał na niego pogardliwie. - Widocznie nigdy nie szukałeś skarbu, Wielki Joe, w przeciwnym wypadku wiedziałbyś, jak się przy tym zachowywać. Nie wolno mi zatrzymać skarbu dla siebie. Jeślibym się wybrał na poszukiwanie skarbu mając zamiar go zatrzymać, skarb zakopałby się tylko głębiej i zamknął szczelnie w ziemi jak ostryga, i nigdy bym go nie znalazł. Nie, tak nie wolno poczynać. Ja kopię skarb dla Danny'ego.

Ujawniła się teraz cała bezinteresowność Pilona. Pilon dokładnie opisał Wielkiemu Joe, jaki Danny jest dobry dla swoich przyjaciół.

- A my nic dla niego nie robimy - powiedział. - Nie płacimy komornego, czasami się upijamy i łamiemy meble. Bijemy się z Dannyem, kiedy jesteśmy na niego źli. Och, my jesteśmy strasznie dla niego niedobrzy. Dlatego też wszyscy, to znaczy Pablo, Jezus Maria, Pirat i ja, postanowiliśmy znaleźć skarb. Oni też są w lesie i szukają. I skarb ma być dla Danny'ego. Bo on jest taki dla nas dobry. Jest bardzo dobry, a my jesteśmy

tacy źli. Ale jeśli mu przyniesiemy wielki worek ze skarbem, to on się wtedy strasznie ucieszy. I tylko dlatego, że w sercu nie mam chciwości, znalazłem skarb.

- I nic sobie nie zatrzymasz? - spytał Wielki Joe, nie wierząc własnym uszom. - Nawet tyle, żeby kupić gąsiorek wina?

Tej nocy w Pilonie nie było nawet śladu Złego Piona.

- Nie, nawet szczypty złota nie zatrzymam. Nawet jednego centa nie zatrzymam. Wszystko, co znajdę, jest dla Danny'ego.

Joe był rozczarowany. - Szedłem taki kawał drogi i nawet nie wyjdzie mi z tego szklanka wina.

- Jak Danny dostanie pieniądze - pocieszył go Pilon - to być może kupi wtedy trochę wina. Oczywiście, ja mu tego nie proponuję, bo to jego skarb. Ale on sam chyba kupi troszkę wina. I jeśli będziesz dla niego dobry, to może cię poczęstuje.

Wielki Joe był pocieszony, gdyż znał Danny'ego od wielu lat. I także uważał za rzecz całkowicie prawdopodobną, że Danny kupi wina.

Noc trwała. Zaszedł tylko księżyc, pograżając las w głębokiej ciemności. Mgielna syrena wyła. Przez całą noc dusza Piona jaśniała nieskażonym blaskiem, a sam Pilon udzielał Wielkiemu Joe nauk moralnych, co często robią neofici jakiegokolwiek idei.

- Opłaca się być dobrym, szlachetnym i hojnym - mówił. - Takie postępowanie jest nie tylko budową domu wiecznego szczęścia w niebie, ale również liczyć można na szybką nagrodę tu na ziemi. Człowiek czuje miłe ciepło, które go rozgrzewa jak gorąca *enchilada*. Duch Święty obleka człowieka w płaszcz tak miękki i delikatny, jakby był z wełny wielbłądziej. Nie zawsze byłem dobrym człowiekiem, wyznaję to obecnie uczciwie.

Wielki Joe Portugalczyk nie miał co tego żadnych wątpliwości.

Tkwilo we mnie zło - ciągnął dalej Pilon niemal w ekstazie. Bardzo się tym zresztą bawił. - Kradłem i kłamałem. Byłem okropny. Popępiałem zbrodnię cudzołóstwa i wzywałem nadaremno imię Pana.

- Ja też - powiedział Wielki Joe uszczęśliwiony.

- I jakie były tego rezultaty? Poczulem się nieszczęśliwy. Zrozumiałem, że pójdę do piekła. Ale teraz widzę, że żaden grzesznik nie jest nigdy tak niedobry, żeby nie mogło mu być wszystko wybaczone. Chociaż nie byłem jeszcze u spowiedzi, już czuję, że zmiana, jaka we mnie następuje, podoba się Panu Bogu, gdyż okazał mi swą łaskę, pozwalając znaleźć skarb. I ty, Wielki Joe, gdybyś zmienił swoje postępowanie, gdybyś przestał się upijać, robić awantury i chodzić do domu publicznego Dory Williams,

poczułbyś się tak samo jak ja.

Ale Wielki Joe już spał. Nie potrafił długo utrzymać otwartych oczu, jeśli siedział w miejscu.

Łaska nie wydawała się tak wielka, gdy Pilon stracił możliwość mówienia o niej Wielkiemu Joe. Pilon siedział wpatrzony w miejsce, gdzie ukryty był skarb, niebo szarzało, za wielkimi płatami mgły pojawiał się świt, sosny wylaniały się z mroku nabierając realnych kształtów. Wiatr ustał, spod krzaków wybiegały małe, niebieskie króliki i skakały sobie po igliwiu. Pilon był bardzo senny, ale szczęśliwy.

Kiedy zrobiło się jasno, szturchnął nogą Wielkiego Joe. - Czas wracać do domu Danny'ego. Nadszedł dzień! - Pilon odrzucił drewniany krzyż, gdyż nie był on już potrzebny. I zmasał narysowane na ziemi koło. - Teraz - powiedział - nie wolno nam zostawiać żadnych znaków. Musimy zapamiętać to miejsce wyłącznie na podstawie takich znaków jak kamienie i drzewa.

- Dlaczego nie kopiemy od razu? - spytał Wielki Joe.

- I zaraz zbiegnie się cała Tortilla Flat, żeby nam pomagać, co? - odparł Pilon ironicznie.

Wpatrzyli się intensywnie w otoczenie, powtarzając głośno: - Oto trzy drzewa w grupce po prawej, dwa na lewo. Kępa krzaków jest tam, a tutaj duży kamień. - Potem odeszli od skarbu zapamiętując drogę.

U Danny'ego czekali już zmęczeni przyjaciele. - Znalazłeś coś? - spytali.

- Nie - odparł Pilon szybko, aby uprzedzić słowa Wielkiego Joe.

- Pablo przez chwilę myślał, że zobaczył światło, ale zniknęło, zanim do niego doszedł. A Pirat widział ducha starej kobiety, która prowadziła psa - mówili.

Pirat wtrącił z uśmiechem: - Ta stara kobieta powiedziała mi, że mój pies, który umarł, jest teraz bardzo szczęśliwy.

- Oto Wielki Joe Portugalczyk. Powrócił z wojska - zaanonsował Pilon.

- *Ai, Joe.*

- Ładnie tu mieszkacie - stwierdził Wielki Joe i wdzięcznie opadł na krzesło.

- Tylko z daleka od mojego łóżka - warknął Danny, bo doskonale wiedział, że Wielki Joe przyszedł zamieszkać z nimi. Wskazywał na to sposób, w jaki usiadł na krześle i skrzyżował nogi.

Pirat wyszedł, wziął swoje taczki i ruszył do lasu po drewno, a reszta przyjaciół położyła się w słońcu, które przeciekało przez mgłę, i wkrótce zasnęła.

Obudzili się dopiero dobrze po południu, przeciągnęli się, usiedli i spojrzeli milcząco

na zatokę poniżej, gdzie brunatny tankowiec wypływał powoli w kierunku otwartego morza. Pirat zostawił pakunki na stole, więc przyjaciele rozwiązali je wyjmując jedzenie, które im przyniósł.

Wielki Joe poszedł ścieżką w kierunku chylącej się ku ziemi furtki. - Do zobaczenia - rzucił Pilonowi.

Pilon patrzył za nim z niepokojem, póki nie zobaczył, że Wielki Joe idzie w dół wzgórze, w stronę Monterey, a nie w górę, w stronę lasu. Czterej przyjaciele usiedli i rozmazani obserwowali zbliżanie się wieczoru.

O zmroku wrócił Wielki Joe Portugalczyk. Odbył krótką konferencję z Pilonem, na podwórku, poza zasięgiem uszu pozostałych.

- Pożyczymy narzędzi u pani Morales - powiedział Pilon. - Łopata i oskard stoją koło kurnika.

Wyszli z domu, kiedy już było zupełnie ciemno. - Idziemy do jednych takich dziewczyn, znajomych Joego Portugalczyka - wyjaśnił Pilon przyjaciółom.

Zakradli się na podwórko pani Morales i pożyczili narzędzia. A potem z przydrożnych krzaków Wielki Joe wyciągnął galon wina.

- Sprzedałeś skarb! - wykrzyknął Pilon ostro. - Jesteś zdrajcą, nędznym psem!

Wielki Joe uspokoił go stanowczo. - Nikomu nie powiedziałem, gdzie jest skarb - wyjaśnił z pewną godnością. - Powiedziałem tylko tak: „Znaleźliśmy skarb, powiedziałem, ale jest on przeznaczony dla Danny'ego. Kiedy Danny go dostanie, pożyczę od niego dolara i zapłacę za wino”.

Pilon był przytłoczony: -I uwierzono ci, i dostałeś od razu wino? - spytał.

- Jakby to powiedzieć... - Wielki Joe zawahał się. - Zostawiłem coś pod zastaw, póki nie przyniosę dolara.

Pilon obrócił się jak błyskawica i złapał Wielkiego Joe za gardło.

- Coś zostawił?

- Tylko jeden mały koc, Pilonie! - jęknął Wielki Joe. - Tylko jeden.

Pilon potrząsnął Wielkim Joe, ale Wielki Joe był taki ciężki, że Pilonowi udało się jedynie potrząsnąć sobą. - Jaki koc? - wrzasnął.

- Mów natychmiast, czy koc ukradłeś?

Joe wystękał: - Tylko jeden mały koc Danny'ego. Tylko jeden. On ma dwa. Wziąłem tylko jeden mały koc. Nie czyń mi krzywdy, Pilonie. Drugi koc jest większy. Danny dostanie koc z powrotem, kiedy tylko znajdziemy skarb.

Pilon obrócił Wielkiego Joe i kopnął go z siłą i dokładnością pioruna. - Świnia - po-

wiedział. - Wstrętna złodziejska krowa. Albo przyniesiesz koc z powrotem, albo pokraję cię na paski.

Wielki Joe próbował go uspokoić. - Pomyślałem sobie, że jak pracujemy dla Danny'ego... - szepnął. - Pomyślałem, że Danny będzie taki zadowolony, że będzie mógł sobie kupić sto koców.

- Dość tego - odparł surowo Pilon. - Albo przyniesiesz z powrotem ten koc, albo stłukę cię tak, że nic z ciebie nie pozostanie.

- Wziął gąsiorek, odkorkował i wypił trochę, aby uspokoić swoje nadszarpnięte nerwy. Co gorsza, zakorkował gąsiorek z powrotem i odmówił Wielkiemu Joe nawet kropli. - Za karę będziesz sam kopał. Bierz narzędzia i idź za mną.

Wielki Joe jęknął z rozpaczy i posłuchał. Nie potrafił się przeciwstawić tej fali słusznego oburzenia.

Bardzo długo szukali miejsca, gdzie ukryty był skarb. Zrobiło się już późno, kiedy Pilon wskazał zgrupowanie trzech drzew. - Tam! - powiedział.

Szukali, aż znaleźli zagłębienie w igliwiu. Pomagał im księżyc, gdyż tej nocy nieba nie przesłaniała mgła.

Teraz, skoro nadeszła chwila kopania, Pilon wypracowywał nową teorię znajdowania skarbu. - Czasami pieniądze są w workach, a worki są przegniłe. Jeśli będziesz kopał prosto nad miejscem ich ukrycia, możemy stracić część skarbu. - Zagłębienie obrysował sporym kołem. - Dobrze, kop teraz dokoła głęboki rów, żeby można od spodu wyjąć skarb.

- Ty nie będziesz kopał? - spytał Wielki Joe.

Pilon wpadł we wściekłość: - Czy ja jestem złodziejem koców? Czy ja kradnę z łózek moich przyjaciół, którzy dają mi dach nad głową?

- Ja sam nie będę kopał - oświadczył stanowczo Wielki Joe. Pilon wziął z ziemi gałązkę, która poprzedniej nocy stanowiła część krzyża, i podszedł z groźną miną do Wielkiego Joego. - Złodzieju! - warknął. - Brudna świnió i fałszywy przyjacielu, bierz łopatę! Cała odwaga Wielkiego Joego prysnęła. Gdyby Joe Portugalczyk nie miał nieczystego sumienia, wtedy być może dłużej by się opierał.

Ale w tej sytuacji strach przed Pilonem występującym w pancerzu słusznej sprawy oraz strach przed gałęzią były wielkie.

Wielki Joe miał wrodzony wstręt do wszelakiego kopania i do samej zasady kopania. Nie było nic przyjemnego w machaniu łopatą, a cel, jaki się osiąga, przenosząc ziemię z jednego miejsca na drugie, wydawał się pozbawiony sensu i jakiegokolwiek korzyści.

Człowiek może kopać całe życie i nic z tego nie ma. Co prawda proces rozumowania Joego Portugalczyka był znacznie prostszy: po prostu nie lubił kopać. Wstąpił do wojska, żeby się bić, a tymczasem przez cały czas tylko kopał.

Ale teraz stał nad nim Pilon i Wielki Joe musiał kopać rów zataczający spory krąg dookoła miejsca, gdzie zagrzebany był skarb. Nic by nie pomogło wykręcanie się chorobą, głodem albo nagłą słabością. Pilon był nieubłagany, a zbrodnia zastawienia koca stawiała Wielkiego Joego w sytuacji bardzo niekorzystnej. I chociaż pojękiwał, narzekał, podnosił w niebo ręce, aby pokazać, jakie są pokaleczone, Pilon nie zmiękł i zmuszał go do dalszego kopania.

Nadeszła północ, rów był na trzy stopy głęboki, w Monterey piał koguty, księżyc skrył się za drzewami. Wreszcie Pilon pozwolił bezpośrednio zaatakować skarb. Wielki Joe bardzo się zmęczył i kopał coraz wolniej. Dopiero przed samym świtem łopata uderzyła w coś twardego.

- Ai! - krzyknął. - Jest skarb, Pilonie!

Przedmiot, na jaki natrafili, był wielki i kwadratowy. Kopali teraz obaj, bardzo podnieceni. W zupełnych ciemnościach nawet nie wiedzieli, co to jest.

- Ostrożnie - przestrzegwał Pilon. - Żebyś nie uszkodził! Dniało, kiedy wydobyli skarb. Pilon wymacał palcami metal i pochylił się, żeby w słabym świetle lepiej zobaczyć, co odkopał. Był to spory blok cementowy, na wierzchu miał przybitą okrągłą plakietkę, z której Pilon odcyfrował następujące słowa: „Amerykański Urząd Pomiarów Kraju, rok 1915, poziom 600 stóp nad p.m.”.

Pilon ciężko usiadł w wykopanym rowie, opuścił ręce zniechęcony.

- Nie ma skarbu? - spytał Wielki Joe z żalem.

Pilon nie trudził się odpowiedzią. Wielki Joe obejrzał dokładnie cementowy blok i zmarszczył brwi najwidoczniej myśląc intensywnie. Obrócił się do zrozpaczonego Pilon: - Może oderwiemy tę płytkę i sprzedamy ją?

Pilon podniósł głowę z dna rozpaczy. - Johnny Pom-pom znalazł taką płytkę - powiedział głosem cichym i bardzo rozczerowanym.

- Johnny Pom-pom zaniósł płytkę do miasta i chciał ją sprzedać. Dostać za to można rok więzienia. Rok więzienia i dwa tysiące dolarów kary. - Ogarnięty wielkim bólem Pilon pragnął tylko jednego: oddalić się jak najszybciej od miejsca swojej tragedii. Wstał, poszukał liści odpowiednio wielkich, żeby owinąć w nie gąsiorek, i ruszył w dół wzgórza.

Wielki Joe dreptał za nim posłusznie. - Gdzie idziemy? - zapytał.

- Nie wiem - odparł Pilon.

Dzień rozkwitł już słońcem, gdy stanęli na plaży. Ale nawet tu Pilon się nie zatrzymał. Poszedł dalej po twardym piasku nad samym brzegiem, póki Monterey nie zostało daleko z tyłu, a tylko piaszczyste diuny i migotliwe fale zatoki były świadkami Wielkiego Bólu. Wreszcie usiadł w suchym piasku, gdzie silnie grzało słońce. Wielki Joe usiadł obok. Czuł, że w pewnym sensie i on jest odpowiedzialny za cierpienie Pilon. Pilon odwinął gąsiorek z liści, odkorkował go i pociągnął spory łyk. Ponieważ jednak ból i cierpienie są rodzicami wyrozumiałości, podał gąsiorek winowajcy Joemu.

- Tak bardzo liczyliśmy na skarb! - wykrzyknął Pilon. - Jakże ułudne są nasze marzenia. Już widziałem, jak niesiemy Danny'emu worki ze złotem. Już widziałem wyraz jego twarzy. Byłby zdziwiony. Długo nie mógłby w to uwierzyć. - Odebrał gąsiorek Wielkiemu Joemu i pociągnął serdeczny łyk. -I wszystko rozplynęło się wraz z nocą. Słońce rozgrzewało plażę. Mimo rozczarowania Pilon czuł, jak rozlewa się po całym jego ciele przewrotne zadowolenie i równie przewrotne pragnienie wyciągnięcia korzyści nawet z obecnej sytuacji.

Wielki Joe cicho i niepostrzeżenie pił z gąsiorka, ile mógł. Pilon oburzony odebrał mu wino i sam pociągnął kilka razy.

- Z drugiej strony - powiedział filozoficznie - gdybyśmy znaleźli skarb, nie wyszłoby to Danny'emu na dobre. Zawsze był biednym człowiekiem, a bogactwo potrafi przewrócić w głowie. Danny mógłby zwariować.

Wielki Joe poważnie skinął głową. Poziom wina w gąsiorku nieustannie się obniżał.

- Szczęście to lepsza rzecz niż bogactwo - powiedział Pilon.

- Niech tylko dzięki nam Danny będzie szczęśliwy, a zasługa nasza będzie większa, niż gdybyśmy mu dali pieniądze.

Wielki Joe ponownie skinął głową i zdjął buty. - Tak, niech będzie szczęśliwy, to będzie najlepiej.

Pilon obrócił się ze smutkiem ku towarzyszowi. - Jesteś zwykłą świnią, niegodną mieszkać z ludźmi - powiedział łagodnie. - Człowieka, który kradnie Danny'emu koc, powinno się trzymać w chlewie i karmić obierzynami kartofli.

Ponieważ siedzieli w gorącym słońcu, ogarnęła ich senność. Drobne fale cicho szmerząc lizały brzeg. Pilon zdjął buty.

- Do licha! - powiedział Wielki Joe i wysączył z gąsiorka ostatnią kropelkę.

Plaża lekko się kołysała, unosiła i opadała, tak jak fale na morzu.

- Nie jesteś złym człowiekiem - stwierdził Pilon, ale Wielki Joe Portugalczyk już spał.



Pilon zdjął kurtkę i zasłonił sobie twarz. Po paru minutach także spał.

Słońce brnęło dalej, fala przyływu rozlała się po plaży, potem cofnęła. Drużyna wędrujących siewek obejrzała dokładnie śpiących, obwąchał ich kręcący się po plaży pies. Dwie starsze panie, które zbierały muszelki, zobaczyły uśpione ciała i przemknęły szybko w obawie, że mężczyźni obudzą się nagle opętani pożądaniem i wbrew przepisom prawa spróbują je zgwałcić. Straszna rzecz, zgadzały się obie damy, że miejscowa policja nic nie robi, aby zapobiegać podobnym rzeczom.

- Oni są pijani - stwierdziła jedna.

A druga obejrzała się za siebie i powiedziała jeszcze dobitniej: - Pijane bestie.

Kiedy słońce skryło się wreszcie za sosnami na wzgórzu, Pilon otworzył oczy. W ustach mu wyschło, bolała go głowa, ciało miał zeszywniałe od spania na twardym piasku. Wielki Joe chrapał dalej.

- Joe! - zawołał Pilon, ale Joe był poza zasięgiem jakichkolwiek wezwań. Pilon podparty łokciem spoglądał na morze. „Kapeczka wina bardzo by mi pomogła na tę suchość w ustach” - pomyślał. Przechylił gąsiorek, ale na język spłynęła tylko jedna kropla, potem wyrócił kieszenie licząc na to, że podczas snu zdarzył się jakiś cud, ale okazało się, że nie. W kieszeni miał tylko złamany scyzoryk, za który odmawiano mu szklanki wina już co najmniej ze dwadzieścia razy. Miał także haczyk do wędk i korek, kawałek brudnego sznurka, psi ząb i kilka kluczy nie pasujących do żadnych znanych drzwi. W sumie nie było to bogactwo, które Torelli chciałby posiadać nawet w chwili pełnej utraty zmysłów.

Pilon spojrzał z nowym zainteresowaniem na Wielkiego Joe. „Biedny człowiek - pomyślał. - Kiedy się obudzi, będzie mu równie sucho w ustach jak mnie teraz. Ucieszyłby się, gdybym miał dla niego trochę wina”. Szarpnął Wielkim Joe parę razy, nie bawiąc się w delikatność, a ponieważ jedyną reakcją było parę nieartykułowanych pomruków i jeszcze silniejsze chrapanie, przejrzał mu kieszenie. Znalazł mosiężny guzik od spodni, małą plakietkę z napisem: „U Duńczyka fajna wyżera i muzyka”, kilka zapalek bez łebków i kawałek tytoniu do żucia.

Pilon ukucnął. Nic z tego. Musi usychać tutaj na plaży, mimo że gardło namiętnie domaga się wina.

Zauważył wełniane spodnie, które Portugalczyk miał na sobie, i obmacał je dokładnie. „Ładny materiał - pomyślał. - Dlaczego brudas Portugalczyk ma nosić takie dobre materiały, skoro wszyscy jego przyjaciele chodzą w bawełnianych gaciach?”. Uświadomił sobie jednocześnie, jak nie pasują te spodnie do figury Wielkiego Joe, jakie są ciasne

w pasie, mimo że Wielki Joe nie dopina ich na dwa najwyższe guziki, jak mankiety fajtają się o wiele cali za wysoko. „Człowiek o rozsądnej budowie byłby bardzo zadowolony z takich spodni”. Pilon przypomniał sobie także zbrodnię Wielkiego Joe dokonaną

na kocu Danny'ego i zamienił się nagle w Anioła Mściciela. „Jakim prawem taka ofiara śmie obrażać Danny'ego! Kiedy się obudzi, stłukę go. Ale przecież - argumentował ów bardziej subtelny Pilon - jego zbrodnią była kradzież. Czy nie będzie dla niego lepszą lekcją, jeśli on sam pozna na własnej skórze, co czuje człowiek, któremu coś ukradną? Aby z kary był pożytek, musi wynikać z niej moralna lekcja”. Pilon triumfował. Jeśli jednocześnie uda mu się pomścić Danny'ego, ukarać Wielkiego Joe, udzielić mu lekcji etyki i przy okazji zdobyć trochę wina, z pewnością nikt go za to nie potępi, a nawet nie skrytykuje.

Szturchnął silnie Wielkiego Joe. Wielki Joe otrząsnął się, jakby spędzał muchę. Pilon zręcznie pozbawił go spodni i powędrował między wydymami w stronę miasta.

Torellego nie było w domu, ale drzwi otworzyła pani Torelli. Pilon zachowywał się najpierw tajemniczo, ale wreszcie wystawił spodnie do inspekcji.

Stanowczo potrząsnęła głową.

- Proszę spojrzeć - tłumaczył Pilon. - Widzi pani jedynie plamy i brud, ale proszę spojrzeć na ten wspaniały materiał od podszewki. Proszę tylko pomyśleć, *senora!* Wystarczy wywabić plamy, wyprać spodnie i wyprasować. Wraca Torelli. Nic nie mówi! Jest smutny, bardzo smutny. I wtedy pokazuje mu pani, *senora*, te wspaniałe spodnie. Jego oczy się śmieją. Torelli jest szczęśliwy. Bierze panią na kolana. Czy za tyle radości nie dostanę galona czerwonego wina?

- Wytarte na siedzeniu - odparła.

Podniósł je i trzymał pod światło. - Czy pani co widzi przez materiał? Nie. Tylko materiał przestał być sztywny i nieprzyjemny, zrobił się mięciutki właśnie tam, gdzie powinien być. Te spodnie są w pierwszorzędym stanie.

- Nie - odparła stanowczo.

- Jest pani okrutna dla swojego męża, *senora*. Odmawia mu pani odrobiny szczęścia. Nie zdziwiłbym się, gdyby zaczął szukać pocieszenia u innej kobiety, która ma więcej serca. Pół galona?

Opór osłabł, a wreszcie zniknął całkowicie przy ćwierci galona. Pilon na oczekaniu wypił. - Pani usiłuje obniżyć cenę szczęścia, *senora*. Powinienem dostać pół galona - stwierdził.

Ale pani Torelli okazała się twarda jak kamień. Siedział ponury w kuchni i rozmyślał: „Żydówka, tak, Żydówka, oszukała mnie na spodniach Wielkiego Joe”.

Pilon ze smutkiem myślał o przyjacielu, którego pozostawił na plaży. Cóż Wielki Joe może zrobić? Musi tam sterczeć. Gdyby wrócił bez spodni do miasta, zostałby aresztowany. A czy ta megiera zasłużyła na takie spodnie? Nie, chciała zdobyć spodnie przyjaciela Pilona za mizerną ćwiartkę mizernego wina. Pilon czuł, jak ogarnia go szalona złość na panią Torelli.

- Wychodzę na chwilę - powiedział do pani Torelli. Spodnie wisiały w alkowce koło kuchni.

- Do widzenia - odparła pani Torelli przez ramię i w sąsiednim pokoju zaczęła nakrywać do stołu. Wychodząc Pilon mijał alkowę, więc po drodze zabrał spodnie Wielkiego Joe i Danny'ego.

Wrócił na plażę, w miejsce, gdzie zostawił Wielkiego Joe. Na plaży palił się wielki ogień i dokoła ognia kręciły się jakieś drobne postacie. Było teraz bardzo ciemno, więc Pilon poszedł prosto na ten ogień. Kiedy się zbliżył, zobaczył, że to harcerki mają swoją wieczornicę. Podchodził dalej bardzo ostrożnie.

Przez pewien czas nigdzie nie mógł dostrzec Wielkiego Joe, ale wreszcie go dostrzegł do pasa przysypanego piaskiem, szczękającego zębami z zimna i wyczerpania. Pilon podszedł do niego pewnym krokiem i wyciągnął rękę, w której trzymał spodnie.

- Masz, Wielki Joe, i bądź szczęśliwy, że je odzyskałeś.

Joe dalej szczekał zębami. - Kto ukradł moje spodnie, Pilonie? Leżę tu od wielu godzin i nie mogę odejść z powodu tych dziewcząt.

Pilon usłużnie stanął pomiędzy Wielkim Joem a harcerkami, które biegały dokoła ogniska. Portugalczyk wyciągnął nogi z zimnego, wilgotnego piasku i włożył spodnie.

Poszli razem wzdłuż ciemnej plaży do Monterey, gdzie perliły się światła na tle ciemnego wzgórza. Wydmy piaskowe kulily się za nimi na plaży jak zmęczone psy, drobne fale ćwiczyły się w zlizywaniu piasku i delikatnie syczały. Noc była zimna i obojętna, jej namiętność gdzieś odpłynęła, powietrze nabrzmiące było gorzkim ostrzeżeniem pod adresem człowieka, że pozostawiony jest samemu sobie, samotny między ludźmi, że znikąd nie przyjdzie pocieszenie.

Pilon nadal rozmyślał, a Joe Portugalczyk odgadywał głębię jego myśli. Wreszcie Pilon obrócił się do przyjaciela. - Stąd płynie nauka, że tylko człowiek szalony ufa kobiecie.

- Czy to kobieta zabrała mi spodnie? - spytał Joe Portugalczyk bardzo podniecony. -

Kto to był? Wypruję z niej flaki.

Ale Pilon potrząsnął głową tak smutno jak stary Jehowa, który odpoczywając siódmego dnia czuje, że świat go zmęczył. - Ona już została ukarana - odparł. - Można nawet powiedzieć, że sama się ukarała, i tak chyba jest najlepiej. Miała twoje spodnie, kupiła je z chytryści, ale już ich nie ma.

Ten problem przekraczał zdolności percepcyjne Wielkiego Joe. Był tajemnicą, nad którą lepiej się nie głowić. Zresztą nie życzył sobie tego Pilon. Wielki Joe powiedział z pokorą w głosie: - Dziękuję ci za przyniesienie spodni, Pilonie. - Ale Pilon oddał się filozofii, która nawet podziękowania uważa za rzecz bez wartości.

- Głupstwo - zlekceważył słowa Wielkiego Joe. - W całej tej sprawie posiada wartość jedynie moralna lekcja.

Idąc pod górę mijali właśnie srebrną wieżę gazowni.

Wielki Joe Portugalczyk był szczęśliwy, że jest w towarzystwie Piona. „Oto wreszcie ktoś, kto dba o swoich przyjaciół - pomyślał. - Nawet kiedy oni śpią, on czuwa, by nie wydarzyło im się nic złego”. Postanowił kiedyś uczynić coś dobrego dla Piona.

## **Rozdział 9**

*O tym jak Danny został opętany przez odkurzac i jak ocalili go przyjaciele*

Dolores Engracia Ramirez mieszkała w swoim własnym domku na górnym skraju Tortilla Flat. Wykonywała posługi domowe u niektórych dam w Monterey i należała do Organizacji Cór Złotego Zachodu. Ta *paisana* o wąskiej twarzy nie była ładna, ale w ruchach miała jakąś rozpustną lubieżność, w głosie zaś namiętność, z której wielu mężczyzn wyciągało odpowiednie wnioski. Jej oczy ukryte za senną mgiełką rozmazania potrafiły palić w sposób, który dla ludzi chętnie oddających się uciechom ciała był wręcz uroczy i zdecydowanie prowokujący.

W swoich niekorzystnych chwilach nie była godna pożądania, ale miłosne procesy następowały w niej tak szybko jeden po drugim, że nazywano ją Słodką Megierą z Tortilla Flat.

Przyjemnie było ją oglądać, kiedy budziła się w niej bestia. Umiała wtedy opierać się zachęcająco o furtkę, mruzczała przymilnie jak kot, kołysała się łagodnie w biodrach, trąc o parkan lub cofając się jak letnia fala na plaży, a potem znowu nacierając na parkan. Któż inny na całym świecie potrafiłby nadać podobne znaczenie słowom wy-

powiadany gardłowo i śpiewnie: *-Ai, amigo, a'onde vas?*

Prawdą jest, że normalnie mówiła głosem piskliwym, twarz miała toporną, jakby ociosaną tępą siekierą, sylwetkę workowatą i zamiary egoistyczne. Tylko raz lub dwa razy na tydzień obejmowały w niej władzę bardziej ludzkie skłonności, a i to zwykle wieczorami.

Kiedy Słodka Megiera dowiedziała się, że Danny jest spadkobiercą, bardzo się z tego powodu ucieszyła. Marzyła o tym, by zostać jego wybranką, tak jak marzyła o tym każda niewiasta w Tortilla Flat. Wieczorami zwiisała nad furtką, czekając chwili, kiedy Danny będzie tędy przechodził i wpadnie w zastawioną na niego pułapkę. Jednakże przez dłuższy czas do pułapki wpadali tylko biedni Indianie i *paisanos*, którzy nie posiadali domów i których ubrania były lachami usuniętymi w ramach dobroczynności z lepszych domów.

Słodka Megiera nie była zadowolona z tego stanu rzeczy. Jej dom znajdował się powyżej domu Danny'ego, przy drodze, którą Danny nieczęsto chodził. Z drugiej strony Słodka Megiera nie mogła włóczyć się po Tortilla Flat i szukać Danny'ego. Na to nie pozwalała jej godność. Była damą, a zachowanie damy normowały surowe przepisy obyczajności. Gdyby natomiast Danny przechodził koło jej domu, gdyby zaczęli rozmawiać jak starzy znajomi, jakimi zresztą byli, gdyby Danny wpadł na szklaneczkę wina i gdyby na dodatek głos natury okazał się głośniejszy od innych głosów, jej kobieca odporność zaś nie sprostałaby stojącemu przed nią zadaniu, wtedy oczywiście nie zostałaby naruszona święta zasada kodeksu moralnego. Niestety, nie do pomyslenia było opuszczenie zastawionej sieci przy furtce.

Przez wiele miesięcy Megiera czekała na próżno, więc w pokorze ducha przyjmowała każde zjawisko w spodniach, jakie przypadkiem znalazło się w pobliżu jej domu. Jednakże na Tortilla Flat jest ograniczona liczba dróg, którymi można chodzić, i Danny wcześniej czy później musiał przejść koło furtki Dolores Engracii Ramirez, co też uczynił.

Podczas całej ich długiej znajomości nie było dla tego zdarzenia chwili odpowiedniejszej i korzystniejszej z punktu widzenia interesów Słodkiej Megiery, gdyż właśnie tego poranka Danny znalazł skrzynię mosiężnych nitów zgubioną przez Narodową Kompanię Handlu. Uznał tę skrzynię za własność porzuconą, ponieważ w okolicy nie dostrzegł żadnego pracownika Narodowej Kompanii. Danny opróżnił skrzynię z nitów, które przeładował do własnej torby. Następnie pożyczwszy taczki Pirata oraz samego Pirata do pchania taczek, zawiózł nity do Zachodniej Kompanii Handlu, gdzie je

sprzedał za kwotę trzech dolarów. Skrzynkę ofiarował Piratowi, czym sprawił mu wielką radość.

- Możesz w niej trzymać, co chcesz - powiedział.

No i teraz Danny schodził ze wzgórza, idąc najkrótszą drogą do Torellego, a w kieszeni niósł trzy dolary.

Głos Dolores zabrzmiał równie słodko jak brzęczenie pszczoły. - *Ai, amigo, a'onde vas?*

Danny stanął, rewolucjonizując swoje plany. - Jak się masz, Słodka Megiero?

- Czyżby moja niska pozycja czyniła tu jakąkolwiek różnicę? Przyjaciele zapomnieli o mnie - odparła z lekką pretensją, a jej biodra krążyły ruchem miękkim i obrotowym do i od furtki.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Danny.

- Czy mój przyjaciel Danny przychodzi mnie kiedy odwiedzić?

- Przyszedłem właśnie teraz - odparł szarmancko.

Uchyliła trochę furtki. - Wejdiesz? Wypijemy szklaneczkę wina na intencję naszej przyjaźni? - Danny wszedł. - Coś robił w lesie? - zabręczał słodko jej głos.

Wtedy Danny popełnił błąd. W wielkiej pysze opowiedział o dokonanej na wzgórzu transakcji i pochwalił się trzema dolarami.

- W domu zaledwie mam wina na dwa naparstki - powiedziała Słodka Megiera.

Usiedli w kuchni i wypili po szklance wina. Długo nie czekając, Danny z prawdziwą galanterią i energią natarł na cnotę Słodkiej Megiery. Ku wielkiemu zdumieniu stwierdził, że opór pozostaje w jaskrawej dysproporcji do jej wagi i reputacji. Obudziła się w nim bestia namiętności. Dopiero gdy wychodził, sytuacja uległa wyjaśnieniu.

Nabrzmiały uczuciem głos powiedział: - Może byś tak przyszedł do mnie dziś wieczorem, Danny? - Słodkie oczy pływały w prowokującej mgiele sennej namiętności. - Bo teraz sąsiedzi... - wyjaśniła delikatnie.

Zrozumiał. - Wrócę wieczorem - obiecał.

Było dopiero wczesne południe. Danny ponownie skierował swoje kroki do domu Torellego, tkwiąca w nim bestia uległa przemianie. Dziki i warczący groźnie wilk zamienił się w wielkiego, kudłatego i sentymentalnego niedźwiedzia. „Zaniosę trochę wina tej miłej Słodkiej Megierze” - postanowił.

Kogóż spotkał, idąc do Torellego? Pabla. A Pablo miał dwie laski gumy do żucia. Dał jedną Danny'emu i wyrównał z nim krok.

- Gdzie idziesz? - spytał.

- Nie mam teraz czasu na przyjaźń - odparł Danny sucho.

- Najpierw muszę kupić trochę wina dla damy. Możesz ze mną iść, ale dostaniesz tylko jedną szklanekę. Mam dosyć kupowania dla dam wina, które wypijają potem moi przyjaciele.

Pablo zgodził się, że podobny stan rzeczy jest nie do zniesienia. Jeśli o niego idzie, nie pragnął wcale wina Danny'ego, a jedynie jego towarzystwa.

Poszli do Torellego. Danny nabył gąsiorek wina i wypili po szklaneczce. Danny po chwili przyznał się, że to brzydko ofiarowywać przyjacielowi tylko jedną nędzną szklanekę, i wbrew namiętnym protestom Pabla wypili po drugiej. „Kobiety - pomyślał Danny - nie powinny pić za dużo wina. Gdy są pijane, stają się głupie, a poza tym wino otępia w nich zmysły, które mężczyźni lubią widzieć w stanie pełnej sprawności”. Wypili więc jeszcze po kilka szklaneczek. Pół galona wina to i tak wspaniały prezent dla kobiety, zwłaszcza że Danny miał zamiar kupić jej jeszcze jeden prezent. Odmierzili więc dokładnie pół galona i wypili nadwyżkę. Wtedy Danny ukrył gąsiorek w zaroślach przy drodze.

- Pragnąłbym, abyś towarzyszył mi przy kupnie prezentu, Pablo powiedział.

Pablo wiedział, dlaczego Danny go o to prosi. Było to zarówno szczere pragnienie jego towarzystwa, jak i obawa, żeby nie zniknęło wino, gdyby Pablo znajdował się na wolności. Trzymając się bardzo prosto i bardzo godnie, pomaszrowali ulicą prosto do Monterey.

Pan Simons z firmy „Bizuteria. Lokaty kapitału i pożyczki Simonsa” zaprosił ich grzecznie do sklepu. Nazwa firmy określała granice działalności handlowej, która nie miała granic. W sklepie znajdowały się: saksofony, radioaparaty, strzelby, noże, wędkarki, stare monety, wszystko używane, przez co lepsze niż nowe, ponieważ już dotarte.

- Czy szuka pan czegoś specjalnego? - spytał pan Simons.

- Tak - odparł Danny.

Właściciel zaczął recytować kuszącą listę przedmiotów do nabycia w jego firmie, ale urwał w pół słowa, gdy zobaczył, że Danny patrzy na wielki aluminiowy odkurzacz. Worek na kurz był w niebiesko — czarną szachownicę, sznur do prądu długi, czarny i błyszczący. Pan Simons podszedł do odkurzacza, potarł go dłonią, odstąpił dwa kroki i podziwiał piękny przedmiot.

- Pan coś z odkurzaczy...? - spytał.

- Ile?

- Za ten piękny okaz czternaście dolarów. - Była to nie tyle cena wywoławcza, co pra-

gnienie nieco dokładniejszego ustalenia zasobów finansowych Danny'ego. A Danny zdecydowanie chciał nabyć odkurzacza, ponieważ był wielki i błyszczący. Żadna kobieta na Tortilla Flat nie miała odkurzacza. Pod wpływem wielkiego pragnienia Danny zapomniawszy nawet, że na Tortilla Flat nie ma elektryczności. Położył swoje dwa dolary na ladzie i przeczekał spokojnie wybuch pana Simonsa: wściekłość, szal, smutek, litość nad sytuacją własną i światową, opisy bankructw, oskarżenie o oszustwo i próbę wyłudzenia. Była także mowa o pełnym blasku polerowanym aluminium, o kolorze torby do kurzu, o ekstradługim sznurze, o wartości samego metalu na złom. Kiedy wreszcie huragan minął, Danny opuścił sklep, niosąc pod pachą odkurzacza.

Często jako *pasatiempo* w godzinach popołudniowych Słodka Megiera wynosiła z komórki odkurzacza i opierała go o krzesło, a jeśli przez okno zaglądali sąsiedzi, popychała go przed sobą, aby pokazać, jak łatwo daje się pchać. I mruczała przy tym na podobieństwo mruczenia motoru.

- Mój przyjaciel jest bogatym człowiekiem - mówiła. - Już niedługo do naszych domów będą prowadziły druty pełne elektryczności, a wtedy zip, zip, zip i cały dom jest czysty.

Przyjaciele próbowali umniejszyć znaczenie prezentu, mówiąc: „Jaka szkoda, że już teraz nie możesz używać tej maszyny” oraz: „Uważam, że szczotka i ścierka, odpowiednio zastosowane, są lepsze od odkurzacza”.

Ale ich zazdrość nie potrafiła zaszkodzić odkurzaczowi. Przez fakt jego posiadania Słodka Megiera wdrapała się na szczyt drabiny socjalnej Tortilla Flat. Ludzie, którzy nie pamiętali nawet imienia Słodkiej Megiery, mówili o niej w rozmowie jako „o tej, która posiada odkurzacza”. Często, gdy wrogowie Słodkiej Megiery przechodzili koło domu, widzieli ją przez okno, jak popycha tam i z powrotem odkurzacza, a z jej gardła płynnie głośne mruczenie. Po codziennym sprzątnięciu przejeżdżała wszędzie odkurzaczem, uznając oczywiście, że lepiej by sprzątnęła, gdyby była elektryczność, no ale trudno mieć od razu wszystko, czego się pragnie.

Wzbudziła zazdrość w wielu domach. Jej zachowanie nabrało godności i królewskiej łaskawości, wysoko trzymała głowę, jak przystoi osobie posiadającej odkurzacza. W rozmowie zawsze dodawała jakiś szczegół świadczący o jej stanie posiadania, na przykład: „Ramon przechodził dziś rano, kiedy używałam odkurzacza” albo: „Luiza Meter zacięła się dziś rano w jakieś trzy godziny po tym, jak odstawiłam odkurzacza”.

Ale w swoim podniebnym locie sławy nie zapomniawszy o Danny'ym. Jej głos nabrzmiewał podnieceniem, kiedy Danny znajdował się w pobliżu. Chwiała się wtedy jak sosna



na wietrze. Danny spędzał każdy wieczór w domu Słodkiej Megiery.

Na początku jego przyjaciele nie zwrócili nawet uwagi na nieobecność Danny'ego, ponieważ każdy człowiek ma prawo do swoich własnych spraw. Ale w miarę upływu tygodni i wzrastania stopnia bladości na obliczu Danny'ego w wyniku raczej intensywnego życia rodzinnego przyjaciele uznali zgodnie, że wdzięczność Słodkiej Megiery za odkurzacza jest sprzeczna z interesami Danny'ego. Byli także nieco zazdrośni i złym okiem obserwowali sytuację, która trwała zbyt długo.

Pablo, Pilon i Jezus Maria Corcoran pod nieobecność Danny'ego kolejno próbowali nacierać na gniazdo jego afekcji, ale Słodka Megiera, choć w dalszym ciągu czuła na komplementy, pozostawała wierna człowiekowi, który wyniósł ją na tak zawrotne wyżyny towarzyskie. Oczywiście nie zaniedbywała swoich spraw i usiłowała zatrzymać jego przyjaciół w odwodzie na suchy okres, gdyż znała kaprysy fortuny, ale stanowczo odmawiała dzielenia z przyjaciółmi Danny'ego rzeczy, która na okres bieżący poświęcona została wyłącznie Danny'emu.

Dlatego też przyjaciele doprowadzeni do ostateczności stworzyli organizację poświęconą z kolei zniszczeniu Słodkiej Megiery.

Najprawdopodobniej na dnie duszy Danny'ego zaczynało w tym samym czasie kiełkować zmęczenie i bunt przeciwko obowiązkom, jakie zostały nań nałożone. Jednakże jeśli taki proces w nim zachodził, Danny nie przyznawał się do tego nawet przed sobą. O trzeciej po południu pewnego dnia Pilon, Pablo i Jezus Maria w towarzystwie Wielkiego Joe Portugalczyka, którego udział w wyprawie nie był sprecyzowany, powrócili po trzech czwartych dnia wzmożonej działalności. W kampanii, jaką przeprowadzili, zaangażowana została bez reszty cała bezlitosna logika Piona, artystyczna fantazja Pabla i łagodność oraz głęboki humanizm Jezusa Marii Corcorana. Wielki Joe Portugalczyk nie przyczynił się niczym.

Ale teraz jak czwórka myśliwych powrócili ze swojego polowania bardzo szczęśliwi, ponieważ odnieśli pełny triumf. A w Monterey biedny oszołomiony Włoch dochodził powoli do przekonania, że został oszukany.

Pilon niósł gąsiorek wina ukryty przemyślnie w wiązce powoju. Weszli wesoło do domu Danny'ego i Pilon postawił gąsiorek na stole.

Danny obudzony z głębokiego snu uśmiechnął się słodko, wstał z łóżka i wystawił na stół słoiki po konfiturach, do których następnie rozlano wino. Przyjaciele usiedli, gdyż mieli za sobą wyczerpujący dzień.

Spokojnie przepili popołudnie, ów okres, kiedy to z dziwnych powodów zamiera ludz-

ka działalność. O tej porze prawie wszyscy mieszkańcy Tortilla Flat przerywają swoją robotę i zaczynają rozmyślać o rzeczach, które wydarzyły się w ciągu już prawie minionego dnia, a także zastanawiają się nad możliwościami godnego spędzenia wieczoru. Po południu jest wiele tematów do rozmowy.

- Kornelia Ruiz ma od dziś nowego przyjaciela - zauważył Pilon, - Jest łyśy i nazywa się Kilpatrick. Kornelia powiedziała, że jej poprzedni przyjaciel nie wrócił przez ostatnie trzy noce do domu. Bardzo jej się to nie podobało.

- Kornelia za szybko zmienia sądy i mężczyzn - stwierdził Danny. Myślał błogo o swoim własnym gniazdku uwitym na opoche z odkurzacza.

- Ojciec Kornelii był jeszcze gorszy - powiedział Pablo. - Nie potrafił mówić prawdy. Raz pożyczył ode mnie dolara. Wspomniałem o tym Kornelii, ale ona nie chciała mi zwrócić.

- Ojciec i córka, jedna krew - wtrącił cnotliwie Pilon. - Charakter psa poznaje się po rasie.

Danny nalał wina do słoików po konfiturach, przez co wyczerpał gąsiorek. Spojrzał na niego z żalem.

Jezus Maria, humanista, odezwał się cicho: - Widziałem Susie Francisco, Pilonie. Powiedziała mi, że przepis działa wspaniale. Już trzy razy jeździła motocyklem Charliego Guzman. Pierwsze dwa razy było mu niedobrze po tych ziólkach miłości. Susie już myślała, że nic z tego nie wyjdzie, ale wyszło i Susie mówi, że kiedy chcesz, możesz przyjść po placek.

- A co było w tych ziólkach? - spytał Pablo. Pilon był tajemniczy. - Nie mogę wam wszystkiego powiedzieć. Ale powiem wam jedno: Charliemu Guzmanowi było pewno niedobrze od kory jadowitego dębu.

Galon wina stanowczo skończył się zbyt szybko. Każdy z sześciu miał pragnienie graniczące z absolutnym odwodnieniem organizmu. Pilon obrzucał przyjaciół spojrzeniem spod opuszczonych powiek, oni spojrzeli na niego. Konspiracja była doskonała. Pilon odchrząknął.

- Coś uczynił takiego, Danny, że całe miasto śmieje się z ciebie? Danny spojrział zaniepokojony. - Nie rozumiem, przyjacielu. Pilon zachichotał. - Ludzie mówią, że kupiłeś damie odkurzacza i że ten odkurzacz nie będzie działał, póki do domu nie zostaną doprowadzone druty. Te druty kosztują dużo pieniędzy. Ludzie mówią, że to bardzo dziwny prezent.

Danny kręcił się nerwowo. - Tej damie podoba się odkurzacza próbował się bronić.

- Oczywiście - zgodził się Pablo. - Ta dama powtarza wielu ludziom, że obiecała jej kupić druty do domu, żeby maszyna działała.

Danny był coraz bardziej zaniepokojony. - Tak mówi?

- Tak mi powtórzono.

- Nie kupię drutów! - oświadczył głośno Danny.

- Gdybym nie uważał, że to bardzo śmieszne, byłbym bardzo zły, że się śmieją z mojego przyjaciela - zauważył Pilon.

- I co zrobisz, kiedy ona zażąda drutów? - zapytał Jezus Maria.

- Powiem jej, że nie będzie drutów - odparł Danny.

Pilon roześmiał się: - Chciałbym przy tym być. To nie taka prosta rzecz powiedzieć kobiecie „nie”.

Przyjaciele wyraźnie obracali się przeciwko niemu. - Co mam więc robić? - spytał bezradnie Danny.

Pilon poświęcił kilka minut na poważne rozpatrzenie problemu i wreszcie chcąc sprostać sytuacji, wezwał na pomoc swój życiowy realizm: - Gdyby ta dama nie miała odkurzacza, nie miałyby po co żądać drutów - powiedział.

Przyjaciele bez zastrzeżeń poparli ten punkt widzenia i skinęli głowami.

- Pozostaje więc usunąć z jej domu odkurzacza - dokończył Pilon.

- O nie, ona nie zgodziłaby się na to - zaprotestował Danny.

- W tej sprawie możemy ci pomóc - zaproponował Pilon. - Ja zabiorę maszynę, a ty w zamian za nią ofiarujesz owej damie galon wina. Nawet nie będzie wiedziała, co się stało z odkurzaczem.

- Sąsiedzi zobaczą, jak będziecie zabierali maszynę.

- O nie - powiedział Pilon. - Poczekaj tutaj, Danny, ja zabiorę maszynę.

Danny odetchnął z ulgą, że problem został tak szybko i łatwo rozwiązany przez dobrych przyjaciół.

W Tortilla Flat nie działo się wiele, o czym by Pilon nie wiedział. Jego umysł z wielką dokładnością rejestrował wszystko, co zobaczyły oczy lub dosłyszały uszy. Wiedział także, że każdego popołudnia o czwartej trzydzieści Słodka Megiera idzie do sklepu. Realizując więc swój plan polegał na tym niemal niewzruszalnym zwyczaju.

- Lepiej, abyś nie znał szczegółów załatwienia sprawy, Danny - powiedział.

Na podwórku miał przygotowany zawczasu worek. Nożem uciął sporą gałąź z krzaka róży i wepchnął ją do worka.

Przyszedszy do domu Słodkiej Megiery stwierdził, że gospodyni nie ma, co zresztą

przewidywał i czego szczerze sobie życzył. „Zresztą ten odkurzacz należy właściwie do Danny'ego” - pomyślał.

Wpakowanie odkurzacza do worka i udekorowanie otworu gałęzią róży zajęło mu zaledwie parę sekund.

Gdy wyszedł na podwórze, spotkał Słodką Megierę. Grzecznie uchylił kapelusza. - Miałem chwilę, więc zatrzymałem się - powiedział.

- Zostań więc, Pilonie.
- Niestety, czekają na mnie ważne sprawy w Monterey. Już jest późno.
- Gdzie idziesz z tym krzakiem róży?
- Jeden człowiek w Monterey chce go kupić. Piękny krzak róży. Zobacz, jaki piękny.
- Wpadnij innym razem, Pilonie.

Kiedy z pełnym opanowaniem schodził uliczką, nie słyszał okrzyków wściekłości. „Może ona przez pewien czas nic nie zauważy” - pomyślał.

Połowa problemu została rozwiązana, pozostawała jednak druga połowa, wymagająca równie dużego taktu. „Po co Danny'emu odkurzacz? - zapytywał siebie Pilon. - Jeśli go zatrzyma, Słodka Megiera szybko się o tym dowie i domyśli, że to on zabrał odkurzacz. Nie można go jednak wyrzucić, bo to przedmiot wartościowy. Najlepiej się go pozbyć i skorzystać przy tym z owoców jego wartości”.

A więc obecnie został rozwiązany cały problem i Pilon mógł iść spokojnie prosto do Torellego.

Odkurzacz był wielki i błyszczący. Pilon idąc z powrotem pod górę w każdej ręce niósł gąsiorek wina.

Gdy wszedł do domu, przyjaciele powitali go ciszą. Pilon postawił jeden gąsiorek na stole, a drugi na ziemi.

- Przyniosłem prezent, który możesz ofiarować damie - powiedział Danny'emu. - A tutaj jest trochę wina dla nas samych.

Podeszli radośnie, gdyż pragnienie pustoszyło ich piekielnym ogniem. Kiedy zniknęła zawartość pierwszego gąsiorka, Pilon podniósł słoik pod światło świecy i spojrzał przez szkło. - To, co się dzieje, nie jest ważne - odezwał się. - Ważna jest natomiast lekcja moralna, jaką możemy wyciągnąć z wszystkiego, co się dzieje. Z obecnego przypadku płynie nauka, że prezent, zwłaszcza prezent dla kobiety, nie powinien posiadać cech, które prowokują do następnych prezentów. Drugą nauką, jaka płynie z tego przypadku, jest to, że grzechem jest dawać prezent, którego posiadanie budzi chciwość. Pierwszy galon zniknął. Przyjaciele spojrzeli na Danny'ego, chcąc wiedzieć, co

on o tym myśli. Danny przez cały czas zachowywał skupione milczenie, ale skoro obecnie zobaczył, że przyjaciele oczekują po nim akcji, odezwał się sentencjonalnie:

- Ta dama była bardzo wesolutka. I miała bardzo miłą naturę. Ale niech ją cholera! Mam jej dosyć. - Podszedł do drugiego gąsiorka i odkorkował go.

Pirat, który siedział w kącie między psami, uśmiechnął się do swoich myśli i szepnął z zachwytem: - Niech ją cholera! Mam jej dosyć. - Pirat uważał, że słowa te brzmią bardzo wzniośle.

Byli najwyżej w połowie drugiego gąsiorka, odśpiewali zaledwie dwie pieśni, kiedy wszedł młody Johnny Pom-pom. - Wracam od Torellego - powiedział. - Ale Torelli jest wściekły! Krzyczy strasznie głośno i bije pięściami w stół.

Przyjaciele spojrzeli na Johnny'ego Pom-poma średnio zaintrygowani. - Czy coś się stało? Pewnie Torelli zasłużył na wszystko.

- Najlepszym klientom odmawiał bardzo często szklanki wina.

- A co się stało Torellemu? - spytał Pablo.

Johnny Pom-pom przyjął ofiarowany mu słoik. - Torelli mówi, że kupił od Piona odkurzacz i kiedy włączył go do kontaktu, odkurzacz nie chciał odkurzać, wtedy Torelli zajrzał do środka i zobaczył, że nie ma motoru. Torelli mówi, że zabije Piona.

Pion był wstrząśnięty. - Nic nie wiedziałem, że maszyna posiada błędy - odparł. - Ale powiedziałem, że Torelli zasługuje na wszystko, co go spotkało. Maszyna była warta trzy albo cztery galony wina, ale ten skąpiec nie chciał mi dać więcej niż dwa.

W Danym palił się jeszcze ogień wdzięczności dla Piona. Posmakował wargami wino. - Paskudztwo, które Torelli sprzedaje, jest coraz gorsze - stwierdził. - W najlepszym wypadku są to pomyje. Ostatnio wino jest już tak złe, że nawet Charlie Marsh nie chce go pić.

I wtedy wszyscy uznali, że słusznie zemścili się troszkę na Torellim.

- Uważam - powiedział Danny - że powinniśmy zacząć kupować wino gdzie indziej, jeśli Torelli się nie poprawi.

## ***Rozdział 10***

*O tym jak dobrzy przyjaciele pocieszyli kaprala i w nagrodę otrzymali lekcję ojcowskiej etyki*

Jezus Maria Corcoran był kanałem, którym spływa najczystszy humanizm. Starał się

ulżyć ludzkim cierpieniom, łagodzić troski, dzielić radości. Nie istniał Jezus Maria twardy i niewyrozumiały. Jego serce zawsze stało otworem dla wszystkich, którzy pragnęli z niego skorzystać. Jego zdolności i spryt były zawsze na usługi każdego, kto miał ich mniej niż Jezus Maria.

On to właśnie cztery mile niósł na plecach Jose de La Mariza, kiedy ten ostatni złamał nogę. A kiedy pani Palochico zginęła najukochańsza koza dająca mleko, a więc i ser, Jezus Maria trafił śladem tej kozy do Wielkiego Joe Portugalczyka, przeszkodził w porę morderstwu i zmusił Wielkiego Joe do zwrotu zagrabionej ruchomości. To właśnie Jezus Maria wydobył kiedyś z rowu pijanego Charlie Marsha, gdzie Charlie leżał we własnym kale. Był to czyn, który wymagał nie tylko gorącego serca, ale i odporności na zapachy.

Oprócz skłonności do spełniania samarytańskich usług Jezus Maria miał dar znajdowania się zawsze w miejscu, gdzie potrzebna była interwencja sił dobra.

Jezus Maria miał taką reputację, że nawet Pilon kiedyś o nim powiedział: - Gdyby Jezus Maria poświęcił się kościołowi, Monterey miałyby swojego świętego w kalendarzu. Ja wam to mówię.

Z wypełnionej ładunkiem dobra duszy Jezus Maria w każdej chwili wyciągał żadaną ilość szlachetnych porywów, nie zmniejszając wcale pozostałego zapasu.

Jezus Maria miał zwyczaj chodzić co dzień na plac przed pocztą, ponieważ była to okazja spotkania znajomych, a poza tym na placu hulał wiatr i można było oglądać nogi dziewcząt, którym wiatr podwiewał spódnice. Nie należy traktować tego ostatniego celu spacerów Jezusa Marii jako objawu zdrożnych cech charakteru, nie ma też w nim cienia wulgarności. Równie dobrze można potępić człowieka, który chodzi oglądać galerie sztuki czy aktorów w teatrze. Jezus Maria po prostu lubił oglądać nogi dziewcząt.

Któregoś dnia, kiedy już od dwóch godzin opierał się bez powodzenia o ścianę poczty, był świadkiem przykrego zdarzenia. Ulicą nadszedł policjant, prowadząc młodego chłopaka lat około szesnastu. Chłopiec niósł niemowlę owinięte w strzep szarego koca. Policjant mówił: - Nic mnie obchodzi, że cię nie rozumiem. Nie wolno siedzieć cały dzień w rynsztoku. Już my się o tobie dowiemy, czego trzeba.

Chłopak powiedział po hiszpańsku z bardzo dziwnym akcentem: - Ale, *senor*, ja nie robię nic złego. Dlaczego mnie pan zabiera?

Policjant zobaczył Jezusa Marię. - Hej, *paisano* - zawołał. - Co *Len cholo* gada?

Jezus Maria podszedł parę kroków i zwrócił się do chłopca:

- Czym mogę ci służyć?

Chłopak uszczęśliwiony zaczął trajkotać: - Przyjechałem tutaj pracować. Jeden Meksykańczyk powiedział mi, że tu znajdę robotę. Ale nie znalazłem. Siedziałem i odpoczywałem, kiedy ten człowiek podszedł i zabrał mnie ze sobą.

Jezus Maria skinął głową i powiedział do policjanta: - Czy ten mały popełnił jakieś przestępstwo?

- Nie, ale od trzech godzin siedzi w rymsztoku przy Alvarado Street.

- To mój przyjaciel - powiedział Jezus Maria. - Zaopiekuję się nim.

- Więc go pilnuj, żeby nie siedział po rymsztokach.

Jezus Maria i jego nowy przyjaciel poszli na wzgórze. - Zabiorę cię do domu, w którym mieszkam. Tam dostaniesz coś do jedzenia. Co to za dziecko?

- To moje dziecko - odparł chłopiec. - Ja jestem kapralem, a to jest moje dziecko. Ono jest teraz chore, ale kiedy dorośnie, zostanie generałem.

- Na co chore jest dziecko, *senor caporal*?

- Nie wiem. Jest zwyczajnie chore. - Odślonił twarzyczkę dziecka, które rzeczywiście wyglądało na bardzo chore.

Sympatia Jezusa Marii rosła. - Dom, w którym mieszkam, należy do mojego przyjaciela imieniem Danny. Danny jest dobrym człowiekiem, *senor caporal*. Do niego zawsze można przyjść z kłopotami. Pójdziemy do niego i ten Danny da wam schronienie. Moja znajoma, pani Palochico, ma kozę. Pożyczymy od niej trochę mleka dla dziecka. Po raz pierwszy na twarzy kaprała pojawił się uśmiech spokoju.

- Dobrze jest mieć przyjaciół - powiedział. - W Torreon mam wielu przyjaciół, którzy poszliby zebrać, żeby mi pomóc. - Przechwalał się trochę wobec Jezusa Marii. - Mam bogatych przyjaciół, ale oni teraz nic nie wiedzą, że potrzebuję pomocy.

Pilon pchnął furtkę i weszli razem na podwórko domu Danny'ego. Danny, Pablo i Wielki Joe siedzieli we frontowym pokoju, czekając na codzienny cud z jedzeniem. Jezus Maria wepchnął chłopca do pokoju.

- To jest młody żołnierz, *caporal* - wyjaśnił. - Ma ze sobą dziecko. Dziecko jest chore.

Przyjaciele zerwali się zaniepokojeni. Kapral odślonił twarz dziecka.

- Ono jest naprawdę chore - stwierdził Danny. - Może powinniśmy wezwać doktora.

Ale żołnierz potrząsnął głową. - Doktora nie. Nie lubię doktorów. To dziecko nie płacze i nie będzie dużo jadło. Może kiedy odpocznie, poczuje się lepiej.

Wszedł Pilon i też obejrzał dziecko. - To dziecko jest chore - stwierdził i natychmiast objął przewodnictwo.

Jezusa Marię wysłał do pani Palochico w celu pożyczania koziego mleka. Wielkiego Joe i Pabla po skrzynkę od jabłek, którą im kazał wyłożyć suchą trawą, a następnie baranią skórą. Danny ofiarował swoje łóżko, ale oferta nie została przyjęta. Kapral stał pośrodku pokoju i uśmiechał się łagodnie do tych wszystkich dobrych ludzi. Wreszcie ułożono dziecko w skrzynce, ale dziecko było osowiałe i nie chciało mleka.

Wrócił Pirat z torebką makreli. Przyjaciele ugotowali rybę i spożyli obiad. Dziecko nie chciało nawet makreli. Od czasu do czasu któryś z przyjaciół podrywał się i leciał obejrzeć dziecko. Po obiedzie wszyscy usiedli dokoła pieca i przygotowywali się do spędzenia miłego wieczoru.

Kapral był milczący i nic o sobie nie mówił. Trochę uraziło to przyjaciół, ale spodziewali się, że w swoim czasie kapral powie wszystko, co ma powiedzieć. Pilon, dla którego wiedza była złotem, parę razy próbował przebić pancierz wstrzemięźliwości kaprala.

- Nieczęsto widuje się młodego żołnierza z dzieckiem - zauważył taktownie.

Kapral uśmiechnął się z dumą.

Pablo dodał: - To dziecko zostało prawdopodobnie znalezione w ogrodzie miłości. Takie dzieci są najlepsze, gdyż mają w sobie tylko dobre cechy.

- My także byliśmy żołnierzami - poinformował Danny. - Kiedy umrzemy, zawiozą nas do grobu na lawecie armatniej, a pluton żołnierzy wystrzeli nam nad grobem.

Byli ciekawi, czy kapral skorzysta z danej mu okazji. Kapral wyraził swoją wdzięczność: - Jesteście dla mnie bardzo dobrzy - powiedział. - Jesteście dla mnie tak dobrzy, jak byliby moi przyjaciele w Torreón. To jest moje dziecko, dziecko mojej żony.

- A gdzie jest twoja żona? - zapytał Pilon.

Z twarzy kaprala zniknął uśmiech. - Jest w Mexico - powiedział i znowu się rozpromienił. - Spotkałem jednego człowieka, który mi powiedział ciekawą rzecz. Powiedział, że z dzieci możemy zrobić, co chcemy. Powiedział: „Mów dziecku często, kim ma być, a kiedy ono dorośnie, będzie tym, kim chcesz, żeby było”. Więc ja stale mówię mojemu dziecku: „Będziesz generałem”. Czy myślicie, że zostanie generałem?

Przyjaciele grzecznie skinęli głowami. - Być może — odparł Pilon. - Nie słyszałem o tym sposobie.

- Powtarzam mu to dwadzieścia razy dziennie: „Manuelu, któregoś dnia będziesz generałem. Będziesz nosił wielkie złote epolety i pas. Będziesz miał złotą szpadę. Będziesz jeździł na koniu palami-110. Będziesz miał cudowne życie, Manuelu”. Ten człowiek, co mi to mówił, powiedział, że tak się stanie, jeśli często będę powtarzał.

Danny wstał i podszedł do skrzynki. - Będziesz generałem - powiedział do dziecka. -



Kiedy dorosisz, będziesz wielkim generałem.

Pozostali podeszli i pochylili się nad skrzynką, żeby zobaczyć, czy zakłęcie posiada moc.

Pirat szepnął: - Będziesz generałem - i zastanowił się, czy tę samą metodę można zastosować do psa.

- To dziecko jest chore - zauważył Danny. - Musimy je dobrze okryć, żeby mu było ciepło.

Wrócili na swoje miejsca.

- Twoja żona jest w Meksyku - podsunął Pilon.

Kapral zmarszczył brwi i chwilę myślał, potem uśmiechnął się szeroko. - Opowiem wam, choć to nie do opowiadania obcym. Ale wy jesteście moimi przyjaciółmi. Byłem żołnierzem w Chihuahua, byłem dobrym i posłusznym żołnierzem, i czystym, i oliwiłem dobrze karabin, więc zostałem kapralem. I ożeniłem się z piękną dziewczyną. Wcale nie myślę, że ona wyszła za mnie dlatego, że miałem paski kaprała. Ale była piękna i młoda. Miała roześmiane oczy, miała dobre białe zęby i włosy długie i błyszczące. Więc się szybko urodziło dziecko.

- To dobrze - stwierdził Danny. - Chciałbym być tobą. Nie ma lepszej rzeczy niż dziecko.

- Tak - zgodził się kapral. - Byłem zadowolony. Zanieśliśmy je do chrztu i ja miałem złoty pas, chociaż w regulaminie wojska nic o tym nie było. I kiedy wyszliśmy z kościoła, *capitan* z epoletami i złotym pasem, i srebrną szablą zobaczył moją żonę. I moja żona szybko poszła do niego. Wtedy ja poszedłem do tego *capitan* i powiedziałem: „Proszę mi zwrócić żonę”, a on powiedział: „Jeśli cenisz swoje życie, nie odzywaj się tak do swojego przełożonego”. - Kapral rozłożył ręce i wzruszył ramionami gestem ostatecznej rezygnacji.

- A to złodziej! - krzyknął Jezus Maria.

- Zebrałeś swoich przyjaciół i zabiłeś tego kapitana - wyraził nadzieję Pablo.

Kapral się zmieszał. - Nie. Nie mogłem nic zrobić. Pierwszej nocy ktoś do mnie strzelił przez okno. Drugiego dnia armata wystrzeliła przypadkiem i kula przeleciała tak blisko mnie, że aż mnie przewróciło powietrze. Więc uciekłem i zabrałem ze sobą dziecko.

Na twarzach przyjaciół pojawił się gniew, ich oczy zabłysły niebezpiecznie. Pirat siedzący w rogu prychnął, psy zawarczały.

- Szkoda, że nas tam nie było! - wykrzyknął Pilon. - Tak byśmy urządzili tego kapita-

na, że żałowałby, że się w ogóle urodził. Mój dziadek wycierpiał raz wiele przez jednego księdza, więc przywiązał tego księdza nagiego do słupa w korralu i puścił na niego cielaka. O, są różne sposoby!

- Byłem tylko kapralem - odezwał się chłopiec. - Musiałem uciekać. - W oczach zabłyśły mu łzy wstydu. - Kapral nie ma szans, kiedy kapitan jest przeciwko niemu. Więc uciekłem z dzieckiem Manuelem. We Fresno spotkałem mądrego człowieka, który mi powiedział, że Manuel może zostać, czym będę chciał. Mówię dziecku dwadzieścia razy dziennie: „Będiesz generałem. Będziesz miał epolety i będziesz nosił złotą szpadę”.

Oto przed ich oczami rozwijał się dramat, wobec którego doświadczenia i przypadki Kornelii Ruiz wydawały się nieinteresujące i głupie. Oto sytuacja wymagająca pomocy przyjaciół. Ale jej tło znajdowało się tak daleko, że jakakolwiek pomoc wydawała się niemożliwa. Spojrzeli z podziwem na kaprala. Taki młody i miał taką przygodę!

- Szkoda - zauważył Danny przewrotnie - że nie jesteśmy teraz w Torreon. Pilon obmyśliłby plan działania. Jaka szkoda, że nie możemy tam jechać.

Wielki Joe Portugalczyk nie zasnął, co było szczytowym wyrazem uznania dla fascynującej opowieści kaprala. Podszedł do skrzynki po jabłkach i zajrzał do środka. - Będziesz generałem - powiedział i zaraz szybko dodał: - Patrzcie, to dziecko rusza się jakoś dziwnie. - Przyjaciele zbiegli się dokoła skrzynki. Konwulsje się zaczęły. Drobne stópki wierzgały rozpaczliwie, małe paluszki bezradnie chwytaly powietrze. Potem dziecko wzdrygnęło się i zaczęło rzucać nieprzytomnie.

- Doktora! - krzyknął Danny. - Musimy wezwać doktora! - Ale wszyscy wiedzieli, że doktor tu już nic nie pomoże. Zbliżająca się śmierć ma na sobie płaszcz, który każdy potrafi rozpoznać. Dziecko nagle przestało wierzgać i zeszywniało. Usteczka się otworzyła, dziecko nie żyło. Powodowany szlachetnym odruchem Danny przykrył skrzynkę kawałkiem koca. Kapral stał wyprostowany i patrzył przed siebie tak wstrząśnięty, że nie potrafił przemówić ani myśleć.

Jezus Maria położył mu rękę na ramieniu i odprowadził do krzesła. - Jesteś bardzo młody - powiedział. - Jeszcze będziesz miał wiele dzieci.

Kapral jęknął. - Dziecko nie żyje. Nigdy nie będzie generałem z epoletami, złotym pasem i szpadą.

W oczach przyjaciół błyszczały łzy. W rogu pokoju zawodziły psy. Pirat wtulił głowę w kudły *senora* Aleca Thompsona.

Spokojnym, opanowanym głosem, niemal przypominającym księżę błogosławieństwo,

Pilon przemówił: - Teraz ty sam musisz zabić *capitan*. Twój szlachetny plan zemsty wzbudził nasz podziw, ale teraz dziecka nie ma i sam musisz się zemścić, a my ci pomożemy, jeśli będziemy mogli.

Kapral obrócił ku niemu tępe oczy. - Zemścić się? - zapytał.

- Zabić kapitana? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dla nas twój plan był jasny - powiedział Pilon. - Twoje dziecko zostałoby generałem, odszukałoby kapitana i zabiłoby go. To był dobry plan. Długie czajenie się, a potem uderzenie. My, twoi przyjaciele, pochwalamy ten plan i szanujemy ciebie za to.

Kapral patrzył zdumiony na Pilon. - Dlaczego mam go zabijać?

- spytał. - Ja nie mam pretensji do *capitan*. On jest *capitan*. Przyjaciele pochylili się do przodu.

Pilon wykrzyknął: - Więc po co chciałeś, by twoje dziecko było generałem?

Kapral dopiero teraz trochę się zmieszał. - Jest obowiązkiem ojca dbać o przyszłość dziecka. Chciałem, aby Manuel miał więcej dobrych rzeczy, niż ja miałem.

- I to wszystko? - wykrzyknął Danny.

- No, moja żona była taka ładna - powiedział kapral. - I nie była żadna *puta*, nie, to była dobra dziewczyna, i kapitan ją sobie wziął. Miał małe epolety i srebrny pas, i szpadę tylko srebrną. I rozważcie - powiedział kapral rozkładając szeroko ręce - jeśli *capitan* z małymi epoletami i srebrnym pasem mógł zabrać mi żonę, to co mógłby zabrać generał ze złotym pasem i złotą szablą?

Nastąpiła długa cisza, podczas której Danny, Pilon, Jezus Maria, Pirat i Wielki Joe Portugalczyk przetrawiali tę filozofię. A kiedy ją przetrawili, czekali na odezwanie się Danny'ego.

- Jest rzeczą godną ubolewania - powiedział wreszcie Danny - że tak niewielu rodziców ma na sercu dobro swoich dzieci. Tym bardziej więc jest nam żal, że umarło dziecko mające takiego ojca. Jakież szczęśliwe życie je ominęło.

Przyjaciele skinęli poważnie głowami.

- Co teraz będziesz robił? - spytał Jezus Maria, odkrywca prawdy.

- Wrócę do Mexico - powiedział kapral. - Jestem z powołania żołnierzem. Jeśli będę dobrze oliwił karabin, to może któregoś dnia sam zostanę oficerem. Któż to przewidzi. Szóstka przyjaciół patrzyła na niego z podziwem. Byli dumni z poznania takiego człowieka.

## **Rozdział 11**

*O tym jak w bardzo niesprzyjających okolicznościach*

*Wielkiego Joe Portugalczyka nawiedziła miłość*

Gdy Wielki Joe Portugalczyk czuł, że wzbiera w nim miłość, nie pozostawiał sprawy własnemu biegowi. A oto historia jednej z jego przygód miłosnych.

W Monterey padało. Cały dzień woda skapywała z wysokich sosen. *Paisanos* na Tortilla Flat nie opuszczali domów, z każdego komina unosił się w górę słup niebieskiego dymu, a czyste, świeże powietrze miało delikatny zapach palonego w piecach drewna.

O piątej po południu deszcz przestał na chwilę padać i Wielki Joe Portugalczyk, który prawie cały dzień spędził śpiąc pod łodzią na plaży, wyszedł spod łodzi i ruszył w stronę domu Danny'ego. Był głodny i zziębnięty.

Kiedy doszedł do skraju Tortilla Flat, rozdarło się niebo i lunął deszcz. W parę sekund Wielki Joe został przemoczony do suchej nitki. Wbiegł więc do najbliższego domu, aby znaleźć schronienie przed deszczem, a dom ten był zamieszkały przez Tiją Ignację.

Dama ta miała około czterdziestu pięciu lat, była wdową o długim stażu i pewnym powodzeniu. W zwykłych okolicznościach wiele nie mówiła i zachowywała się nieprzystępnie, gdyż w żyłach jej płynęło więcej indiańskiej krwi, niż to jest przyjęte w dobrych rodzinach Tortilla Flat.

Gdy Wielki Joe wszedł, wdowa otwierała właśnie gąsiorek z czerwonym winem i przygotowywała się do skonsumowania w celach leczniczych szklanki tego napoju. Próba szybkiego wepchnięcia gąsiorka pod krzesło nie powiodła się - Wielki Joe zdążył stanąć w progu ociekając wodą.

- Wejdz i ogrzej się - powiedziała Tija Ignacia. Wielki Joe, wpatrzony w gąsiorek jak mały terier w bzykającego bąka, wszedł do pokoju. Deszcz walił w dach. Tija Ignacia poprawiła ogień w buzującym piecu.

- Napijesz się szklankę wina?

- Tak - odparł prosto Wielki Joe. Nie skończył jeszcze pierwszej szklanki, kiedy oczy jego ponownie przywarły do gąsiorka. Wypił trzy szklanki, nim zgodził się przemówić słowo, a z oczu jego zniknęło wilcze spojrzenie.

Tija Ignacia uznała swój gąsiorek wina za stracony. Piła więc razem z Wielkim Joe, widząc w tym jedyny sposób uratowania chociaż części na własny użytek. Dopiero trzymając w ręku czwartą szklankę Wielki Joe ożywił się nieco i nawet poczuł się dość

znośnie w nowej sytuacji.

- To nie jest wino od Torellego - stwierdził.

- Nie, ja kupuję wino od pewnej damy, Włoszki, mojej przyjaciółki. - Nalala następną szklanekę.

Nadszedł wczesny wieczór. Tija Ignacia zapaliła naftową lampę i dołożyła drewna do ognia. „Trudno - pomyślała - skoro tak musi być, niech będzie”. Spekulująco-krytyczne spojrzenie kierowała na potężną sylwetkę Wielkiego Joe Portugalczyka. Lekki płomień rozgrzewał jej piersi.

- Pracowałeś na deszczu, biedny człowieku - powiedziała. - Zdejmij kurtkę, niech dobrze wyschnie.

Wielki Joe rzadko kłamał. Jego wolno pracujący umysł nie został do tego przystosowany. - Byłem na plaży i spałem pod łodzią - odparł.

- Ale jesteś cały mokry, biedaku! - Przyglądała mu się, czekając na jakąś wdzięczność po tylu objawach dobrego serca, ale na twarzy Wielkiego Joe nie widać było nic prócz wdzięczności za to, że nie musiał siedzieć na deszczu i że pije wino. Odstawił na stół szklanekę w celu jej ponownego napełnienia. Ponieważ cały dzień nic nie jadł, wino działało na niego silnie.

Tija Ignacia powróciła do porzuconego na chwilę wątku: - Nie jest zdrowo siedzieć w mokrej kurtce. Pomogę ci ją zdjąć. Wielki Joe zakotwiczył się wygodnie w krześle. - Jest mi dobrze

- opierał się.

Tija Ignacia nalala sobie następną szklanekę wina. Ogień przyjemnie buzował na piecu; konkurując skutecznie z bębnieniem deszczu w dach.

Wielki Joe nie uczynił żadnego przyjaźniejszego ruchu, nie próbował być szarmancki, nie uznawał nawet obecności gospodyni. Pił tylko wino wielkimi łykami, uśmiechał się głupawo do pieca i bujał lekko w krześle.

W Tiji Ignacii rozpały się gniew i rozpacz. „Świnia - myślała obrazowo. - Wstrętne brudne bydlę. Lepiej bym zrobiła, zapraszając do domu krowę. Inny mężczyzna powiedziałby chociaż miłe słowo”.

Wielki Joe wyciągnął szklanekę po więcej wina.

Tija Ignacia ruszyła do bohaterskiego natarcia: - W małym ciepłym domku przy takiej pogodzie znaleźć można wiele szczęścia

powiedziała. - Kiedy pada deszcz, a w piecu pali się miły ogień, wtedy w ludziach rodzą się uczucia przyjaźni. Nie czujesz w sobie uczuć przyjaźni?

- Jasne, że czuję - odparł Wielki Joe.

- Może światło za bardzo razi cię w oczy? - spytała przymilnie. Chcesz, to zgaszę lampę?

- Wcale mi nie przeszkadza. Chyba że chodzi o oszczędność nafty.

Tija Ignacia zgaszyła lampę, pokój utonął w mroku. Potem wróciła na swoje krzesło i czekała na objawy galanterii ze strony Wielkiego Joe. Słyszała skrzypienie jego krzesła, gdy się na nim przechylał. Przez szparę w piecu przedostało się trochę światła i odbiło od politurę mebli. Pokój promieniował ciepłem. Tija Ignacia usłyszała, że krzesło Wielkiego Joe już nie skrzypi, więc się przygotowała do odparcia ataku. Atak nie następował.

- I pomyśleć - powiedziała - że w taką pogodę mógłbyś być na dworze albo trząść się z zimna w jakiejś budzie, albo leżeć na zimnym piasku pod łodzią. Ale nie, siedzisz sobie w wygodnym krześle, pijesz dobre wino w towarzystwie damy, która żywi dla ciebie przyjazne uczucia.

Z krzesła Wielkiego Joe nie napłynęła żadna odpowiedź. Tija Ignacia nie widziała go ani nie słyszała. Dopiła swoje wino i cnotę rzuciła wiatrom.

- Moja przyjaciółka, Kornelia Ruiz, powiedziała mi, że niektórzy z jej najlepszych przyjaciół to są ludzie, którzy przyszli do niej podczas deszczu. Ona ich pocieszyła i od tego czasu są bardzo dobrymi przyjaciółmi.

Z miejsca, gdzie siedział Wielki Joe, rozległ się trzask. Tija Ignacia odgadła, że to Wielki Joe upuścił szklankę. Ale po tym również nie nastąpił atak. „Może zachorował - pomyślała. - Może zemdlął?”. Zerwała się z krzesła, zapaliła zapalniczkę, a od zapalniczki knot. I wtedy dopiero obróciła się w stronę swojego gościa.

Wielki Joe spał. Wyciągnął nogi, przechylił głowę, otworzył szeroko usta i spał. Patrzyła zdumiona i zgorzonna. Z ust Wielkiego Joe wydobywało się grzechotliwe, przepotężne chrapanie. Wielki Joe po prostu nie mógł długo siedzieć w miłym ciepłe, by nie zasnąć.

Minęło parę sekund, w czasie których Tija Ignacia ustawiała w bojowym ordynku wszystkie swoje uczucia. Odziedziczyła sporo indiańskiej krwi, więc się nie rozpląkała. Nie, wściekła podeszła do skrzyni z drewnem, wybrała odpowiednie polano, wyważyła je w dłoni, odłożyła na bok i wybrała drugie. Potem wróciła wolno do Wielkiego Joe Portugalczyka.

Pierwszy cios trafił go w ramię i zwałił z krzesła na ziemię.

- Świnia! - wrzeszczała Tija Ignacia. - Wstrętne, brudne zwierzę. Zabieraj się stąd do

chlewu!

Joe potoczył się po podłodze. Następny cios uczynił lekkie zagłębienie w jego siedzeniu. Wielki Joe zaczął się szybciej budzić.

- Co? - spytał. - Co się stało? Co robisz?

- Ja ci pokażę, co jeszcze zrobię! - wrzasnęła. Otworzyła szeroko drzwi i biegnąc wróciła do Wielkiego Joe, który z trudem dźwigał się na nogi, co mu zresztą bardzo utrudniały dalsze ciosy. Polano waliło go w plecy, ramiona i głowę. Wybiegł na dwór, osłaniając się rękami.

- Już dosyć! - błagał. - Proszę tego nie robić. O co chodzi? Kobięcy gniew podążał za nim jak stado rozjuszonych szerszeni - ścieżką ogrodową, a potem błotnistą uliczką. Straszny był ten gniew. Tija Ignacia pędziła ulicą, dalej bijąc Wielkiego Joe.

- Dosyć już! - wołał. - Proszę przestać. - Obrócił się, chwycił ją mocno. Ona próbowała mu się wyrwać, by go móc dalej walić po głowie.

- Ty wstrętne, brudne zwierzę! - krzyczała. - Spasiona krowo! Nie mógł jej puścić, nie narażając się na dalszy ciąg lania, trzymał ją więc mocno i kiedy tak stał, spłynęła na niego miłość, zaszumiała pieśnią w głowie, przemknęła przez całe ciało jak błyskawica, wstrząsnęła nim jak sztorm wstrząsa palmowym zagajnikiem. Trzymał ją mocno, póki jej gniew się nie rozplynął.

W Monterey policjant na motocyklu patroluje nocą ulice, aby sprawdzić, czy dobro nie kiśnie w zło. Jake Lake pełnił służbę owej nocy, jego nieprzemakalny płaszcz błyszczał tępo jak bazalt. Jake czuł się nieszczęśliwy i miał duże trudności z jazdą podczas deszczu. Na brukowanych ulicach jeszcze dawał sobie jako tako radę, ale patrol wiódł także przez błotniste ścieżki Tortilla Flat, gdzie żółte błoto przyskało nieprzyjemnie na wszystkie strony. Mały reflektor niepewnie oświetlał drogę, motor krztusił się z wielkiego wysiłku.

Nagle Jake'owi Lake wyrwał się okrzyk najwyższego zdumienia. Zatrzymał motocykl. - Co za cholera! Co to ma być?

Wielki Joe obrócił głowę. - A, to ty, Jake! Słuchaj, Jake, jeśli już masz nas zabrać do aresztu, to poczekaj chwilę.

Policjant zawrócił. - Wynoście się ze środka ulicy, bo ktoś was przejedzie - powiedział. Motor zawarczał, pokonując ciężko błoto, światło reflektora zniknęło za rogiem. Deszcz łagodnie skrapiał drzewa na Tortilla Flat.

## **Rozdział 12**

*O tym jak przyjaciele pomogli Piratowi spełnić  
ślubowanie i jak psy Pirata w nagrodę za doczesne  
zasługi miały święte widzenie*

Każdego popołudnia Pirat pchał swoje taczki na wzgórze, stawiał je na podwórku Danny'ego opierając o płot i przykrywał workiem. Potem zakopywał siekiere, gdyż, jak ogólnie wiadomo, stal od leżenia w ziemi robi się znacznie twardsza. Wreszcie wchodził do domu, sięgał do torebki, która wisiała mu na szyi na sznurku, wyjmował zarobione tego dnia dwadzieścia pięć centów i wręczał je Danny'emu. Następnie Danny, Pirat i reszta przyjaciół obecnych w domu wchodzili uroczyście do drugiego pokoju, ostrożnie stąpając między posłaniami rozłożonymi na podłodze. *Paisanos* się przyglądali, Danny sięgał pod poduszkę, wyjmował parcianą torbę i wkładał do niej dwadzieścia pięć centów. Ten zwyczaj trwał już od dłuższego czasu.

Torba z pieniędzmi stała się symbolem przyjaźni, próbą zaufania, na którym opierało się istnienie bractwa. Byli dumni z tych pieniędzy, dumni, że nigdy z nich nic nie ukradli. Ta wspólna troska i opieka nad pieniędzmi Pirata zrodziła również ich wzajemny szacunek do siebie, no i nawet pewną zarozumiałość. Jest przyjemnie, gdy człowieka obdarzają zaufaniem. W umysłach przyjaciół pieniądze Pirata przestały dawno istnieć jako środek obiegowy. Prawdą jest, że przez długi czas marzyli i obliczali, ile by za nie można kupić wina, ale po pewnym czasie stracili poczucie ich wartości wymiennej. Ten skarb był przeznaczony na zakup złotego lichtarza i ten nie zakupiony jeszcze lichtarz był własnością świętego Franciszka z Asyżu. Jest grzechem znacznie większym okradzenie świętego niż przekroczenie jakichkolwiek praw ziemskich.

Jednego wieczoru przez ów szybki i niezawodny telegraf, którego źródła nikt nie zna, nadeszła wiadomość, że na skałach koło Carmel rozbiła się kanonierka straży przybrzeżnej. Wielki Joe Portugalczyk załatwiał w terenie własne sprawy, ale Danny, Pablo, Pilon, Jezus Maria, Pirat oraz psy radośnie ruszyli w kierunku grzbietu górskiego, albowiem jeśli istniało coś, co naprawdę uwielbiali, to właśnie zbieranie na plaży wyrzuconych przez morze przedmiotów. Uważali to za najbardziej podniecające zajęcie na świecie. Chociaż przybyli nieco późno, szybko nadrobili stracony czas. Przez całą noc przyjaciele chodzili po plaży i zgromadzili dość pokaźną zdobycz: pięciofuntową puszkę masła, kilka skrzynek puszkowanych jarzyn i mięsa, dwa marynarskie płaszcze, barylkę wody z łodzi ratunkowej i karabin maszynowy. Kiedy nadszedł dzień,



wszystko było już zabezpieczone.

Od jednego z przygodnych widzów przyjęli pięć dolarów za całą masę towarową, gdyż w głowie nie powstał im nawet zamiar niesienia tylu ciężkich przedmiotów sześć mil stromym wzgórzem na Tortilla Flat.

Ponieważ Pirat nie sprzedał tego dnia drewna, otrzymał od Danny'ego dwadzieścia pięć centów i natychmiast schował je do torebki zawieszanej na szyi. Potem przyjaciele zmęczeni, ale rozgrzani myślą o czekającym ich szczęściu, ruszyli prosto przez wzgórze do Monterey.

Do domu Danny'ego wrócili po południu. Pirat zgodnie z rytuałem otworzył woreczek na szyi i oddał dwadzieścia pięć centów Danny'emu. Cała drużyna wkroczyła do sąsiedniego pokoju, Danny sięgnął pod poduszkę i wyciągnął pustą rękę. Zerwał poduszkę, zerwał materac, potem wolno obrócił się do swoich przyjaciół, a oczy jego patrzyły tak groźnie jak oczy tygrysa. Przenosił wzrok z twarzy na twarz, a w każdej widział przerażenie i oburzenie pełne szczerości.

- Tak - powiedział. - Tak - powtórzył. Pirat zaczął płakać. Danny położył mu rękę na ramieniu. - Nie płacz, dobry przyjacielu! Będziesz miał swoje pieniądze z powrotem - zapewnił go uroczystym, nabrzmiałym groźbą głosem.

*Paisanos* opuścili milcząco pokój. Danny wyszedł na podwórze, gdzie wynalazł mocny kij sosnowy trzy stopy długi i machnął nim na próbę. Pablo poszedł do kuchni i po chwili wrócił ze starożytnym otwieraczem do puszek o przerażającym ostrzu. Jezus Maria wyciągnął spod domu starą rączkę od kilofa. Pirat przyglądał się zaskoczony. Potem wszyscy wrócili do domu i spokojnie usiedli.

Pirat wskazał palcem w dół wzgórza: - On? - spytał.

Danny lekko skinął głową. Oczy zasnuła mu mgielka, pod którą krył się śmiertelny jad. Wystawił brodę i lekko się kiwał jak grzechotnik, który przygotowuje się do skoku.

Wobec tego Pirat poszedł na podwórko i wykopał swoją siekierę.

Siedzieli tak bardzo długo. Nie padło ani jedno słowo, natomiast fale zimnej wściekłości pieniły się i rozbijały po całym pokoju. Nastrój w domu podobny był do nastroju na skalnym cyplu, pod który podłożono i zapalono lont.

Popołudnie skłaniało się ku wieczorowi, słońce zaszło za wzgórze. Tortilla Flat przysichło w oczekiwaniu na jakąś przemianę.

Usłyszeli kroki na drodze, dłonie zwarły się na trzymanej w rękach broni. Wielki Joe Portugalczyk niepewnym krokiem wszedł na ganek i stanął w drzwiach. W rękę trzy-

mał galon wina. Niespokojne oczy przewędrowały od twarzy do twarzy, ale przyjaciele siedzieli nieruchomo i nawet nie spojrzeli na niego.

- Halo! - powiedział Wielki Joe.

- Halo! - odparł Danny. Wstał i przeciągnął się leniwie. Nie patrzył na Wielkiego Joe, nie ruszył prosto ku niemu, ale dokoła, jakby go chciał minąć. Kiedy był o krok od Wielkiego Joe, natarł z szybkością atakującego węża. Kij trafił Wielkiego Joe w grzbiet i Wielki Joe osunął się na ziemię, a świadomość zupełnie go opuściła.

Danny w zamyśleniu wyjął z kieszeni skórzane sznurowadła i związał nimi kciuki Wielkiego Joe. - Teraz dajcie wody - powiedział.

Pablo wylał wiadro wody na twarz Wielkiego Joe. Ten obrócił głowę i jak kura wyciągnął szyję, wytrzeszczył oczy i spojrzał nieprzytomnie na swoich przyjaciół. Nie odezwali się do niego słowem. Danny dokładnie wymierzył odległość jak gracz w golfa wymierza odległość piłeczki od rowka. Drąg trafił Joego w ramię. Potem do roboty zabrali się przyjaciele, traktując swoje zadanie poważnie i na zimno. Jezus Maria trzymał go za nogi, Danny za ręce i przyciskał klatkę piersiową. Wielki Joe wył i rzucał się na podłozie. Pokryli mu ciosami całe ciało od szyi w dół. Każdy cios znajdował nowe, nieodkryte przestrzenie. Joe wrzeszczał ogłuszająco. Pirat stał obok bezradny, trzymając w ręku siekiere.

Wreszcie kiedy całe ciało było od przodu jednym wielkim siniakiem, zarządzono przerwę. Pablo ukląkł koło głowy Wielkiego Joe i odpowiednio skierował trzymany w ręku otwieracz do konserw. Pilon zdjął Wielkiemu Joe buty i wziął do ręki kij.

Wtedy Wielki Joe ze strachu wyjął: - Jest zakopane przy furtce. Na miłość boską, nie zabijajcie mnie!

Danny i Pilon wyszli z pokoju i po paru minutach wrócili z parcianą torbą. - Ileś stąd wziął? - spytał obojętnie Danny.

- Tylko cztery, słowo honoru, tylko wziąłem cztery, zapracuję i oddam je z powrotem.

Danny pochylił się, ujął Wielkiego Joe pod pachy i obrócił twarzą do ziemi. Wtedy przyjaciele zabrali się z tą samą śmiertelną precyzją do właściwego opracowania pleców. Krzyki Wielkiego Joe coraz bardziej słabły, ale przyjaciele przerwali pracę dopiero wtedy, gdy Wielki Joe zemdlał. Pilon zerwał strzępy niebieskiej koszuli i odsłonił zbite plecy. Otwieraczem do konserw ponacinał skórę tak delikatnie, że upływ krwi był znikomy. Pablo przyniósł soli i pomagał wcierać ją w plecy.

Na zakończenie Danny przykrył zemdłego kocem.

- Chyba od dziś będzie uczciwy - powiedział Danny.

- Powinniśmy przeliczyć pieniądze - szepnął Pilon. - Od dawna ich nie liczyliśmy. - Otworzyli gąsiorek przyniesiony przez Wielkiego Joe i napełnili słoiki po konfiturach, gdyż zmęczeni się bardzo i wyczerpali umysłowo.

Potem policzyli dwudziestopięciocentówki, układając je w stosiki po dziesięć dolarów, i podnieceni policzyli jeszcze raz.

- Drogi Piracie! - wykrzyknął Danny. - Jest ich siedem ponad tysiąc. Osiągnąłeś swój cel. Nadszedł dzień, kiedy możesz kupić lichtarz dla świętego Franciszka z Asyżu.

Pirat przeżył tego dnia zbyt wiele wrażeń. Poszedł więc do kąta, usiadł z psami, oparł głowę o sierść Fluffa i histerycznie załkał. Zmieszane psy kręciły się niespokojnie, lizały Pirata po uszach i wpychały nosy pod jego twarz. Tylko wybraniec Fluff, dumny z zaszczytu, leżał cichuteńko, zajmując się gęstymi włosami Pirata.

Danny schował wszystkie pieniądze z powrotem do torby, a torbę ukrył pod poduszką. Wielki Joe oprzytomniał i zaczął jęczeć, gdyż sól wżerała mu się w ciało. *Paisanos* nie zwracali na niego uwagi, dopiero Jezus Maria, samarytanin i humanista, rozwiązał palce Wielkiego Joe i podał mu słoik wina.

- Nawet wrogowie naszego Pana dali mu się napić - wytłumaczył przyjaciółom.

Ten czyn był hasłem do zakończenia kary. Przyjaciele pełni współczucia stanęli dookoła Wielkiego Joe, przenieśli go na łóżko Danny'ego, zmyli sól z ran. Na głowę położyli mu szmatę umoczoną w zimnej wodzie i stale dopełniali winem jego słoik. Wielki Joe jęczał, ilekroć go ktoś dotknął. Jego pion moralny nie został prawdopodobnie uszkodzony, ale można było bez obawy ręczyć, że Wielki Joe już nigdy nie okradnie *paisanos* mieszkających w domu Danny'ego.

Pirat przestał histeryzować. Wypił swoje wino, twarz mu rozbłysła szczęściem, kiedy słuchał, jak Danny opracowuje dla niego plan działania:

- Jeśli zaniesiemy te pieniądze do banku w mieście, pomyślą, żeśmy je ukradli z automatów. Trzeba je oddać ojcu Ramonowi i wszystko mu opowiedzieć. Niech on kupi złoty lichtarz i niech go poświęci, a Pirat zaniesie lichtarz do kościoła. Może ojciec Ramon wspomni go podczas niedzielного kazania. Pirat musi tam być, żeby mógł wszystko usłyszeć.

Pilon krytycznie patrzył na brudne, podarte ubranie Pirata.

- Jutro - powiedział stanowczo - weźmiesz te siedem zbywających dwudziestopięciocentówek i kupisz sobie uczciwe ubranie. Na zwykły dzień twoje ubranie jest może i dobre, ale z takiej okazji jak ta nie możesz iść do kościoła, wyglądając jak szczur, który wyszedł z kanału. Byłoby to zresztą ujmą dla twoich przyjaciół.

Pirat uśmiechnął się do niego rozpromieniony. - Jutro to zrobię - oświadczył.

Następnego ranka, zgodnie z obietnicą, Pirat poszedł do Monterey. Kupował roztropnie i targował się z wytrwałością, która niemal zadawała kłam faktowi, że Pirat od dwóch lat nic nie kupował. Wrócił do domu niosąc triumfalnie wielką jedwabną chustę w kolorze szkarłatnym i zielonym oraz szeroki pas wysadzany obficie kolorowymi szkiełkami. Przyjaciele podziwiali te zakupy.

- Ale co włożysz na siebie? - spytał Danny z rozpaczą. - Palce wyglądają ci z butów, bo rozciąłeś noski, żeby nie bolały odciski. Masz tylko podarty kombinezon i nie masz kapelusza.

- Będziemy musieli pożyczyć mu ubranie - powiedział Jezus Maria. - Ja mam marynarkę i kamizelkę, Pilon dobry kapelusz swojego ojca. Ty, Danny, dasz koszulę, a Wielki Joe swoje piękne niebieskie spodnie.

- Ale wtedy my nie będziemy mogli iść - zaprotestował Pilon.

- To nie nasz lichtarz - zwrócił mu uwagę Jezus Maria. - Ojciec Ramon z pewnością nie wspomni o nas w kazaniu.

Tego popołudnia zanieśli skarb do domu księdza. Ksiądz wysłuchał historii o chorym psie. Oczy mu zwilgotniały.

Więc ten biedny pies - mówił Pirat - nos miał suchy, oczy mu błyszczały jak szklana butelka wyrzucona przez morze i jęczał, bo go bolało w środku. I wtedy, ojczy, obiecałem złoty lichtarz z tysiąca dni pracy świętemu Franciszkowi. Bo on jest właściwie moim patronem, ojczy. I zdarzył się cud. Bo pies trzy razy machnął ogonem i zaraz zaczęło mu się robić lepiej. To był cud świętego Franciszka, ojczy, prawda, ojczy?

Ksiądz poważnie skinął głową. - Tak - odparł. - To był cud sprawiony przez naszego dobrego świętego Franciszka. Kupię w twoim imieniu lichtarz.

Pirat był bardzo szczęśliwy, gdyż niełatwo i nieprędko czyjeś modlitwy ziszczają się prawdziwym cudem. Gdyby trochę o tym rozpowiedzieć, znaczenie Pirata w Tortilla Flat bardziej by wzrosło. Już i tak jego przyjaciele patrzyli nań z nowym szacunkiem. Nie uważali go za mądrzejszego niż przedtem, wiedzieli jednak, że jego ubóstwo umysłowe zostało zrównoważone przychylnością Niebios i wolą świętych.

Wrócili do domu Danny'ego, psy szły za nimi. Pirat czuł się skąpany w złocistym eliksirze błogosławieństwa boskiego. Całym jego ciałem wstrząsały dreszczyki nieziemskiej rozkoszy. I *paisanos* byli szczęśliwi, że przyczynili się do pilnowania skarbu, gdyż przez to część błogosławieństwa boskiego spłynęła i na nich. Pilon był szczęśliwy, że nie ukradł pieniędzy na samym początku. Jakież straszne konsekwencje mogłoby

mieć zabranie dwudziestopięciocentówek należących do świętego. Wszyscy przyjaciele byli skupieni, jakby znajdowali się w kościele.

Pięć dolarów otrzymanych ze sprzedaży rzeczy wyrzuconych przez morze paliło dziurę w kieszeni Danny'ego, ale teraz już wiedział, na co je wydać. Poszedł z Pilonem na targ i kupili siedem funtów mielonej wołowiny, torbę cebuli, chleb i dużą torebkę cukierków. Pablo i Jezus Maria udali się do Torellego w celu nabycia dwu galonów wina i wracając z nimi do domu, nie wypili ani kropelki.

Tego wieczoru, kiedy napalono w piecu i ustawiono dwie świece na stole, przyjaciele uraczyli się do nieprzytomności. Był to bankiet na cześć Pirata. Pirat zachowywał się z wielką godnością, chociaż ciągle uśmiechał się w chwilach, w których powinien być jak najbardziej poważny. Ale nie mógł się od tego powstrzymać.

Kiedy najedli się ponad miarę, usiedli wygodniej i popijali wino ze słoików po konfiturach. Pirata nazywali: „Nasz drogi przyjaciel”,

Jezus Maria spytał: - Co poczułeś, kiedy to się zdarzyło? Kiedy obiecałeś ten lichtarz i pies wyzdrowiał. Co wtedy pomyślałeś? Nie miałeś jakiegoś widzenia?

Pirat usiłował sobie przypomnieć: - Chyba nie... Najwyżej takie malutkie widzenie, może zobaczyłem świętego Franciszka zawieszzonego w powietrzu i on błyszczał jak słońce...

- Jakby tak było, tobyś lepiej pamiętał - wtrącił Pilon.

- Kiedy właśnie pamiętam. Święty Franciszek spojrzał na mnie i uśmiechnął się, bo to dobry święty. I wtedy wiedziałem, że stał się cud. I on powiedział: „Bądź dobry dla małych piesków, ty wstrętny człowieku”.

- Tak cię nazwał?

- No, bo byłem brudny, a on jest święty i nie wolno mu kłamać.

- A ja jestem pewien, że tak wcale nie było i że nic sobie nie przypominasz - powiedział Pablo.

- Może i nie. Chociaż zdaje mi się, że go widziałem. - Pirat był pijany szczęściem, jakie go spotkało, i zainteresowaniem okazywanym mu przez przyjaciół.

- Moja babka widziała raz Matkę Boską - powiedział Jezus Maria. - Prawie umarła ze strachu, kiedy ją zobaczyła, i słyszałem na własne uszy, jak krzyknęła. Krzyknęła: „*Ohi!* Widzę Matkę Boską. *Ohi!* Matko Boska, łaskiś pełna!”.

- Niektórzy ludzie mają szczęście widzieć różne takie rzeczy - powiedział Danny. - Mój ojciec nie był bardzo dobrym człowiekiem, ale i on widywał czasami świętych, a czasami złe rzeczy. Zależało od tego, czy sam był wtedy dobry, czy zły. Miałeś jeszcze

kiedy jakie widzenie, Piracie?

- Nie - odparł Pirat. - Bałbym się mieć inne widzenia.

Ten piękny bankiet trwał bardzo długo. Przyjaciele wiedzieli, że tej nocy nie są sami. Przez ściany i okna, i dach spoglądały na nich oczy wielu świętych.

- W niedzielę twój lichtarz będzie już w kościele - powiedział Pilon. - My nie pójdziemy do kościoła, bo ty weźmiesz nasze ubranie. Nie jestem pewien, czy ojciec Ramon wymieni cię po imieniu, ale może powie coś o lichtarzu. Musisz zapamiętać, co on powie,

Piracie, abys mógł nam powtórzyć. - Potem Pilon dodał surowym głosem: - Dziś, mój drogi przyjacielu, po plebanii latała gromada psów. Dziś to można wybaczyć, ale pamiętaj, że w niedzielę muszą one zostać w domu. Nie wypada, aby po kościele chodziły psy. Zostaną tutaj.

Piratowi wydłużyła się twarz. - Kiedy one bardzo chcą iść! - wykrzyknął. - Jakże mogę je zostawić?

Pablo był zgorzony: - Przez cały czas do chwili obecnej zachowanie twoje nie budziło zastrzeżeń, Piracie. Czy na samym końcu pragniesz popełnić świętokradztwo?

- Nie - odparł Pirat pokornie.

- A więc zostawisz psy tutaj, my się nimi zajmiemy. Byłoby świętokradztwem zabierać je do kościoła.

Dziwne, jak na trzeźwo upijali się tego wieczoru. Dopiero po trzech godzinach zaśpiewali pierwszą nieprzyzwoitą piosenkę, a jeszcze o wiele później myśli ich powędrowały ku kobietom lekkiego prowadzenia. Nim zainteresowali się możliwością bijatyki, byli już zbyt śpiący, aby się bić. Ten wieczór stanowił milowy kamień dobroci ich życia.

Z samego rana w niedzielę rozpoczęły się ostre przygotowania. Umyto Pirata, sprawdzono mu uszy i nos. Wielki Joe owinięty w koc przyglądał się, jak Pirat wciąga jego niebieskie wełniane spodnie. Pilon przyniósł kapelusz ojca. Namówiono Pirata, by mimo wszystko nie wkładał wyszywanego klejnotami pasa na kurtkę, i pokazano, że można zostawić kurtkę rozpiętą, aby od czasu do czasu klejnoty pasa połyskiwały. Największy kłopot sprawiło obuwie. Tylko Wielki Joe miał buty odpowiednio wielkie na nogi Pirata, ale były one w stanie jeszcze gorszym od obuwia Pirata. Kłopot z butami Pirata polegał na tym, że odkroił on noski, aby umożliwić swobodny rozwój odciskom. Z dziur tych wyglądały wielkie palce. Pilon rozwiązał problem wykorzystując sadze z pieca. Sadze dobrze wtarte w skórę palców znacznie utrudniały złośliwą ob-

serwację dziur.

Wreszcie Pirat był gotów: na głowie miał zawadiacko przekrzywiony kapelusz ojca Piona, na grzbiecie koszulę Danny'ego, na nogach spodnie Wielkiego Joe, wokół szyi wielką chustę, a gdy odsłonił poły marynarki, połyskiwał wysadzany klejnotami pas. Przeszedł się po pokoju, aby przyjaciele mogli go obejrzyć, a oglądali bardzo krytycznie.

- Podnoś wyżej nogi, Piracie.
- Nie szuraj stopami po ziemi.
- Przestań skubać chustkę.
- Ludzie będą myśleli, że nie jesteś przyzwyczajony do dobrego ubioru.

Wreszcie Pirat obrócił się do przyjaciół: - Ach, gdyby tylko psy mogły ze mną iść! - pozałił się. - Zapowiedziałbym im, że nie wolno wchodzić do kościoła, że mają czekać na dworze.

Ale *paisanos* byli zdecydowanie temu przeciwni. - Nie - odparł Danny. - Mogą przeszkodzić. Będziemy ich pilnowali, nic się im nie stanie.

- To im się nie będzie podobało - powiedział Pirat słabo. - Na pewno będzie im smutno beze mnie. - Zwrócił się do psów siedzących w kącie: - Musicie tutaj zostać, nie wypada, żebyście szły do kościoła. Póki nie wrócę, zostanieie z moimi przyjaciółmi. - I potem wymknął się z domu, szybko zamykając za sobą drzwi. Natychmiast w pokoju rozległo się przeraźliwe zawodzenie, szczekanie i wycie. Tylko wiara w rozsądek przyjaciół powstrzymała Pirata od powrotu i zabrania psów.

Idąc bez psów, czuł się bezbronny i narażony na tysiące niebezpieczeństw. Bał się chodzić sam. Każdy mógł go napaść. Mimo to szedł odważnie przez całe miasto aż do kościoła pod wezwaniem świętego Karola.

Przed nabożeństwem wrota kościelne były szeroko otwarte. Pirat umoczył palce w święconej wodzie, przeżegnał się, ukląkł przed Świętą Panią, ukląkł drugi raz po wejściu do kościoła, spełnił obowiązek wobec głównego ołtarza i usiadł. Długa nawa była raczej ciemna, ale główny ołtarz jarzył się od świec. A przed obrazami w bocznych ołtarzykach paliły się wotywny świece. Słodki zapach kadzidła barwił powietrze.

Przez długi czas Pirat siedział, patrząc na ołtarz, ale ołtarz znajdował się bardzo daleko, był zbyt wspaniały i święty, żeby o nim wiele rozmyślać, zbyt niedostępny dla biednego człowieka. Oczy Pirata zaczęły poszukiwać czegoś mniej wzniosłego, czegoś, co by tak nie ośmielało. I nagle przed figurą świętego Franciszka zobaczył piękny złoty lichtarz, a w lichtarzu paliła się wysoka świeca.

Piratowi zaparło dech z podniecenia. I chociaż ciągle wchodzili ludzie, i chociaż zamknięto drzwi i zaczęła się msza, i Pirat wykonywał wszystkie czynności przewidziane rytuałem, nie potrafił oderwać wzroku od swojego świętego i swojego lichtarza. A lichtarz był piękny. Pirat nie mógł wprost uwierzyć, że to on, Pirat, ofiarował ten lichtarz. Wpatrywał się pilnie w twarz świętego, szukając w niej znaku uznania dla lichtarza, i był pewien, że od czasu do czasu twarz rozjaśniała się delikatnym uśmiechem, stale powracającym uśmiechem osoby, która rozmyśla o miłych sercu rzeczach. Wreszcie zaczęło się kazanie.

- W naszym kościele jest nowe piękno - powiedział ojciec Ramon. - Jedno z dzieci kościoła ofiarowało złoty lichtarz na większą chwałę świętego Franciszka. - I ojciec Ramon opowiedział historię psa, raczej celowo opowiedział ją z wszystkimi szczegółami. Oczy jego badały twarze parafian, dostrzegły na niektórych wargach lekki uśmiech. - To nie powinno was bawić - oburzył się. - Święty Franciszek tak bardzo kochał zwierzęta, że nawet z nimi rozmawiał. - I ojciec Ramon opowiedział historię o złym wilku, i opowiedział o żółwiu, o gołębiu i siostrzyczkach-jaskółkach. Pirat słuchał kazania pilnie i patrzył na ojca Ramona z zachwytem.

Nagle przed wejściem do kościoła rozległo się gwałtowne ujadanie, a potem drapanie pazurów o drzwi. Drzwi otworzyły się z hałasem i do kościoła wpadły: Fluff, Rudolf, Enrique, Pajarito i *senor* A. Thompson. Stały na sekundę, powęszyły, a potem jak szturmowa drużyna rzuciły się przez tłum w kierunku Pirata. Obskoczyły go, skomląc głośno i postępując z radości.

Ksiądz przerwał kazanie i spojrzał surowo na winowajców. Pirat odpowiedział spojrzeniem pełnym bezdennej rozpacz. A więc wszystko na próżno, świętokradztwo zostało popełnione.

Potem ojciec Ramon się roześmiał i wszyscy ludzie też się roześmiali. - Zabierz psy na dwór - powiedział ojciec Ramon. - Niech tam poczekają, aż skończy się kazanie.

Pirat przepaszając gestami, które wyrażały głębokie zakłopotanie, wyprowadził psy przed kościół. - *Źle* postąpiliście - powiedział. - Gniewam się na was. O tak, gniewam się i wstydzę.

Psy czołgając się na brzuchach pojękiwały żałośnie.

- Już się domyślam - powiedział Pirat. - Pogryzłyście moich przyjaciół i rozbiłyście szybę w oknie, żeby przybiec tutaj. Teraz macie grzecznie usiąść i czekać na mnie, niedobre psy, psy świętokradcze.

Wrócił do kościoła, zostawiwszy psy zdruzgotane moralnie. Ludzie ciągle się jeszcze



śmiali i obracali głowy w stronę Pirata, póki nie usiadł na swoim miejscu i skupionym wyrazem twarzy próbował odkupić winę.

- Nie wstydz się niczego - powiedział ojciec Ramon. - To nic grzech, że twoje psy cię kochają, i nie grzech, że ty je kochasz. Wiesz, jak święty Franciszek kochał zwierzęta. - I potem ojciec Ramon opowiedział jeszcze kilka historyjek o dobrym świętym.

Powoli ustąpiło zakłopotanie Pirata. Poruszał wargami. „Gdyby to moje psy mogły słyszeć! - myślał. - Jakie byłyby zadowolone, gdyby to słyszały”. Kazanie się skończyło, ale w uszach Pirata dalej brzmiały słowa opowieści ojca Ramona. Mechanicznie klękał i wstawał, choć właściwie nie wiedział, co się dokoła niego dzieje. Zaraz po mszy pobiegł szybko do drzwi i jako pierwszy wyszedł z kościoła. Obstąpiły go posmutniałe i bardzo wylęknione psy.

- Chodźcie! - krzyknął. - Mam wam coś do powiedzenia.

Ruszył truchtem na wzgórze, w stronę świerkowego lasu, psy leciały obok, łaszac się do nóg. Znaleźli się wreszcie w cieniu drzew, ale Pirat szedł dalej w głąb lasu, aż wyszukał małą polankę, gdzie wysoko nad głową spotykały się gałęzie, a pnie drzew stały jakby w dwóch równych szeregach. Przez chwilę Pirat bezradnie się rozglądał.

- Chciałbym wam dokładnie pokazać, jak to wyglądało - powiedział. - Szkoda tylko, że nie słyszałyście opowieści ojca Ramona.

- Na większym kamieniu położył mniejszy kamień. - To jest figura.

- Wetknął w ziemię mały patyk. - A to jest lichtarz i w nim pali się świeca.

W lesie panował mrok, powietrze słodko pachniało żywicą, drzewa cichutko szeptały w lekkim wietrze. Pirat rozkazał pewnym siebie głosem: - Ty, Enrique, usiądź tutaj, a ty, Rudolfie, tutaj. Fluff usiądzie na przodzie, bo jest najmniejszy. Ty, Pajarito, wielki głupcze, usiądź tu i zachowuj się porządnie. *Senor* Alec Thompson, nie pokładaj się.

Usadził ich w dwu rzędach - dwa psy w pierwszym rzędzie, trzy w drugim.

- Chcę wam dokładnie opowiedzieć, jak to było. Wybaczam wam to wtargnięcie do kościoła. Ojciec Ramon powiedział, że tym razem to nie było świętokradztwo. Teraz uważnie słuchajcie.

Psy siedziały wpatrzone w Pirata. *Senor* A. Thompson machał ogonem, ale Pirat go skarcił. - Nie wolno się tak zachowywać - powiedział. - Święty Franciszek może by się nie obraził, ale ja sobie nie życzę żadnego machania ogonem, kiedy mówię do was. Słuchajcie, opowiem wam o świętym Franciszku.

Na ten dzień niebiosa obdarzyły go cudowną pamięcią. Słońce znalazło szpary między liśćmi i rzucało jaskrawy wzór na iglasty dywan. Psy siedziały cierpliwie, oczy miały

wlepione w usta Pirata. Powtórzył im każde słowo ojca Ramona, wszystkie przypowieści, wszystkie jego uwagi. Prawie żadnego szczegółu nie opuścił.

Skończył i spojrzał uroczyście na psy. - Wszystko to zrobił święty Franciszek!

Drzewa ściszyły szept, cisza spłynęła na zaczarowany las.

Nagle za Piratem rozległ się delikatny szelest. Psy obróciły głowy, tylko Pirat bał się poruszyć.

A potem chwila ta minęła. Psy opuściły oczy na ziemię. Wierzchołki drzew ożyły, na igliwiu zatańczyły słoneczne plamy.

Pirata zabolalo serce z nadmiaru szczęścia. - Widziałyście go? Zobaczyłyście go? - wykrzyknął. - Był to święty Franciszek? Oo! Ach, musiałyście w istocie być dobrymi psami, żeby mieć widzenie!

Na jego głos psy poderwały się, wyszczerzyły zęby i zaczęły radośnie walić ogonami w ziemię.

## **Rozdział 13**

*O tym jak przyjaciele pomogli Piratowi spełnić  
ślubowanie i jak psy Pirata w nagrodę za doczesne  
zasługi miały święte widzenie*

*Senora* Teresina Cortez, jej ośmioro dzieci i jej zabytkowa matka mieszkały w miłym domku na skraju głębokiego parowu, który stanowi południową granicę Tortilla Flat. Teresina była dojrzałą, postawną kobietą, dobiegającą trzydziestki. Jej rodzicielka, wysuszony zabytek minionego pokolenia, zbliżała się do pięćdziesiątki. Wszyscy dawno zapomnieli, że na imię ma Angelika.

W robocze dni tygodnia *vieja* harowała jak stado mułów, gdyż do jej obowiązków należało karmienie, karanie, kołysanie, ubieranie i kładzenie spać siedmiu z ośmiorga dzieci. Teresina zajmowała się ósmym, jednocześnie czyniąc pewne przygotowania do dziewiątego.

Ale w niedzielę *vieja* odziana w czarną satynową suknię, jeszcze bardziej zabytkową niż ona sama, w niepowtarzalnym czarnym słomkowym monstrum na głowie, ozdobionym dwiema najprawdziwszymi wiśniami z gipsu, powierzała obowiązki wszystkim diabłom i stanowczym krokiem maszerowała do przybytku boskiego, gdzie siadała w ławce i tkwiła tam równie nieruchomo jak święci w swoich niszach. Raz na mie-

siąc po południu chodziła także do spowiedzi. Ciekawe byłoby poznać jej grzechy i okoliczności, w jakich je popełniała, i gdzie znajdowała czas, aby je popełniać, gdyż dom Teresiny pełny był stworów pełzających, raczkujących, wrzeszczących, nabijających sobie guzy, mordujących koty i spadających z drzew. Poza tym każdy z jej podopiecznych wyl z głodu regularnie co dwie godziny.

Czy wobec tego można się dziwić, że dusza *viej* była powleczone pancerzem odporności, a jej nerwy ze stali? Każde inne nerwy zawiodłyby i każda inna dusza dawno by opuściła jej ciało jak oszałała i z dzikim wrzaskiem pomknęła chyżo w niebo.

Teresina była niewiastą trochę oszołomioną umysłowo, ciało jej natomiast stanowiło doskonałą retortę do destylacji dzieci. Pierwszego potomka spłodziła mając lat czternaście i bardzo ją to zaskoczyło. Zaskoczyło ją do tego stopnia, że urodziła w nocy, w ogrodzie, owinęła w gazetę i pozostawiła do sprzątnięcia przez nocnego dozorcę. Jest to tajemnica. Jeszcze obecnie Teresina mogłaby mieć kłopoty, gdyby się o tym dowiedziano.

Gdy miała szesnaście lat, ożenił się z nią pan Alfred Cortez, obdarzając swoim nazwiskiem i dwiema przyszłymi podporami rodziny, Alfredem i Ernim. Pan Cortez chętnie udzielił Teresinie swojego nazwiska, gdyż korzystał z niego tylko chwilowo. Przed przyjazdem do Monterey i po jego opuszczeniu nazywał się Gugliemo. Wyjechał po urodzeniu się Erniego. Być może przewidział, że małżeństwo z Teresina nie będzie usłane różami, lecz czymś zupełnie innym.

Nawet Teresinę zdumiewała regularność, z jaką wykonywała funkcje rodzenia. Zdarzało się, że nie mogła sobie przypomnieć, kto jest ojcem dziecka anonsującego już swoje przybycie na świat licznymi objawami. A czasami była niemal przekonana, że do zajścia w ciążę ojciec jest najzupełniej zbędny. Nawet kiedy przechodziła kwarantannę jako roznosicielka zarazków dyfterytu, również zaszła w ciążę, nie odstępując od utartego zwyczaju. Ponieważ zagadka ta była zbyt skomplikowana, aby mogła ją rozwiązać swoją inteligencją, powierzyła całą sprawę opiece Niepokalanej Marii Panny, gdyż ona jedna, zdaniem Teresiny, potrafiła to pojąć i zainteresować się tym, a poza tym posiadała na rozmyślanie znacznie więcej czasu niż Teresina.

Teresina chodziła często do spowiedzi. Była przedmiotem nieustannej rozpaczyny ojca Ramona, który na dobitkę doskonale wiedział, że w tym samym czasie, kiedy jej kolana, ręce i usta czyniły pokutę za dawne grzechy, prowokujące oczy pod opuszczonymi rzęsami przygotowywały fundament nowych przestępstw.

Kiedy się o tym dowiedziałem, urodziło się właśnie dziewiąte dziecko Teresiny i chwi-

lowo Teresina pozostawała jeszcze nie zaręczona. *Vieja* otrzymała nowego podopiecznego, Alfredo rozpoczął trzeci rok w pierwszej klasie, Erni drugi rok w pierwszej klasie, a Panchito po raz pierwszy poszedł do szkoły.

Mniej więcej w tym samym czasie nastąpiła w Kalifornii moda na wizyty pielęgniarek w szkołach i na pogadanki o zasadach higieny życia codziennego i racjonalnego odżywiania. Alfredo, uczęszczający do klasy pierwszej, został wezwany przed oblicze dyrektora szkoły, gdyż stwierdzono, że wygląda nieco za chudo.

Pielęgniarka w myśl wszelkich zasad dziecięcej psychologii spytała bardzo łagodnie: - Freddie, czy nie jesteś głodny?

- Nie - odparł Freddie.
- No to powiedz mi, co jadasz na śniadanie?
- Tortillę z fasolą - wyjaśnił Alfredo.

Pielęgniarka zdumiona pokręciła głową i spojrzała znacząco na dyrektora szkoły.

- A co jesz, kiedy wracasz ze szkoły do domu?
- Ja nie wracam ze szkoły do domu.
- Nie jadasz w południe obiadu?
- Jadam. Biorę rano tortillę z fasolą.

W oczach pielęgniarki pojawił się błysk niepokoju, ale zdołała go opanować.

- A co masz wieczorem na kolację?
- Tortillę z fasolą.

Znajomość dziecięcej psychologii prysnęła: - Chcesz we mnie wmówić, że nigdy nie jadasz nic innego oprócz tortilli z fasolą?

Z kolei zdumiał się Alfredo: - Jezu Chryste, a co można jeść innego? - spytał.

W następstwie lekarz szkolny wysłuchał sprawozdania oburzonej pielęgniarki. Któregoś dnia podjechał samochodem pod dom Teresiny, aby dokładnie zbadać sprawę. Idąc przez podwórko, wysłuchał potwornej symfonii stworów pełzających, raczkujących i mordujących koty. Stanął w otwartych drzwiach kuchni i na własne oczy zobaczył, jak *vieja* podchodzi do komina, nabiera z kotła chochlą fasoli i rozsypuje ziarna po całej podłodze. Wrzaski natychmiast ucichły. Stwory pełzające, raczkujące i mordujące koty w cichym skupieniu zabrały się do mozolnej likwidacji fasoli, czołgając się od ziarna do ziarna i odpoczywając zaledwie chwilę potrzebną do przełknięcia jednej sztuki. Dzięki temu *vieja* mogła powrócić na swój fotel i przez pewien czas odpoczywać. Pod łóżkiem, pod krzesłami, a nawet pod piecem roily się dzieci jak pluskwy po prześcieradle. Lekarz pozostał w domu Teresiny ze dwie godziny, gdyż wyżej opisany

widok obudził jego najwyższe naukowe zainteresowanie. Wreszcie odszedł, potrząsając głową.

Potrząsał dalej głową, kiedy składał sprawozdanie: - Odbyłem wszystkie badania, jakie znam - powiedział. - Zbadałem im skórę, zęby, krew, szkielet, reakcje wzrokowe. Panowie, te dzieci żyją na pokarmie, który nazwałbym powolną trucizną, żyją na nim od urodzenia. Panowie, twierdzę, że w życiu nie widziałem zdrowszych dzieci! - Wzruszenie nie pozwoliło mu na chwilę mówić. - Zwierzęta! - wykrzyknął. - W życiu nie widziałem takich zębów. Nigdy nie widziałem takich zębów. Jak najzdrowsze zwierzęta!

Wszyscy pewnie są ciekawi, jak Teresina zdobywała żywność dla swojej licznej rodziny. Na polu po przejściu łuskarek zostają na łądogach pojedyncze strąki. Trzeba rozłożyć na ziemi koc i wytrząsać łądygi. Od razu spostrzeże się niedoskonałość maszyn rolniczych. W jedno popołudnie można z łatwością zebrać do dwudziestu funtów fasoli.

Na jesieni *vieja* i dzieci umiejące już chodzić szły w pole i przetrząsały wyłuskaną fasolę. Właściciele pól nie protestowali, gdyż *vie-ja* nie czyniła im żadnej szkody. Zły to był rok, jeśli *vieja* nie zebrała trzystu albo i czterystu funtów fasoli.

A kiedy się ma w domu czterysta funtów fasoli, można się nie bać głodu. Inne produkty, jak na przykład cukier, pomidory, pieprz, kawa, ryba czy mięso zjawiały się w sposób cudowny za wstawiennictwem Niepokalanej lub dzięki sprytowi czy przemyślności Teresiny, natomiast fasola była zawsze. A mając fasolę, człowiek jest bezpieczny. Fasola to dach nad żołądkiem. Fasola to ciepły płaszcz, który chroni przed ekonomicznym zimmem.

Tylko jedno mogło zagrażać bezpieczeństwu i szczęściu rodziny *senory* Teresiny Cortez - zły rok na fasolę.

Kiedy fasola dojrzewa, wyrывa się całe krzaki i rzuca na ziemię, żeby strąki skruszały, nim przyjdą łuskarki. I wtedy trzeba się modlić, żeby nie padało. Gdy na zielonym polu leżą długimi pasmami stosy żółknących krzaków fasoli, widać niespokojny wzrok farmerów skierowany w niebo. Farmerzy mruczą pod nosem, widząc na niebie choćby małą chmurkę. Jeśli bowiem spadnie deszcz, trzeba krzaki fasoli przewracać, żeby nie zgniły. A jak spadnie drugi deszcz, nim fasola wyschnie po pierwszym, znowu trzeba ją obracać. A po trzecim deszczu krzaki pleśnieją i zaparzają się, i plony są stracone.

Podczas schnięcia fasoli na polach *vieja* paliła świecę przed obrazem Matki Boskiej.

W roku, który opisuję, krzaki fasoli były już wyrwane i paliła się świeca. W domu Te-

resiny przygotowano już nawet worki.

Łuskarki stały po zagrodach wyreperowane i naoliwione. Spadł deszcz.

- Ludzie rzucili się na pola, przewracając przesiąkniętą wodą krzaki fasoli. *Vieja* zapaliła drugą świecę. Spadł jeszcze większy deszcz.

Wtedy *vieja* kupiła dwie nowe świece, wydając na ten cel mały złoty pieniążek, jaki chowała od lat. Ludzie po raz drugi obrócili ku słońcu zmoczone krzaki, ale zaraz potem zwały się na ziemię strugi zimnego deszczu. W całym okręgu Monterey nie udało się ocalić jednego ziarnka fasoli. Gnijące resztki fasoli pochłonęła ziemia obracana lemieszami pługów.

I wtedy nieszczęście zawitało do domu *senory* Teresiny Cortez. Łodyga życia została nadwyręzona, dach nad żołądkiem uległ zniszczeniu. Zabrakło fasoli, najcenniejszego skarbu. W nocy płakały dzieci przerażone zbliżającym się głodem. Nikt im o tym nie powiedział, same przeczuly. *Vieja* nadal chodziła do kościoła, ale jej wargi rozchyłały się w złym uśmiechu, gdy spoglądała na Matkę Boską. „Zabrałaś moje świece - myślała. - Chciwa jesteś na świece, bezmyślna jesteś”. I bez wypowiedzenia *vieja* oddała swoje usługi świętej Klarze, opowiadając jej przy okazji wszystkie szczegóły krzywdy, jaka ich spotkała. Pozwoliła sobie także na co najmniej złośliwą uwagę o niepokalanym poczęciu: - Teresina także czasami nie może sobie nic przypomnieć - zwierzyła się z satysfakcją świętej Klarze.

Wiele mówiono o dobrym sercu Jezusa Marii Corcorana. Miał on również drugi boski dar, jakim są czasami obdarzeni ludzie szczerze miłujący bliźnich - humaniści, a mianowicie zbieg okoliczności zawsze sprowadzał go na miejsce, gdzie jego dobroć serca mogła się przydać. Ileż to razy los rzucał go w pobliże młodych dam, które potrzebowały pocieszenia. Jakaś siła zawsze ciągnęła go w okolice, gdzie na cudzym nieszczęściu wiły sobie gniazda rozpacz i ból. Od wielu miesięcy Jezus Maria nie przechodził koło domu Teresiny. Jeśli nie ma mistycznego związku między cierpieniem a humanitarnością, to czym wytłumaczyć fakt, że Jezus Maria zjawił się u Teresiny właśnie w godzinie, kiedy do garnka włożono ostatnią garść fasoli z zeszłorocznego zapasu?

Usiadł w kuchni, delikatnie otrzepując kolana z dzieci, spojrzał na Teresinę i patrzył na nią grzecznie i wyrozumiale przez cały czas, gdy opowiadała mu o rodzinnym nieszczęściu. Jak zafascynowany patrzył także, gdy wywracała ostatni worek, żeby mu dowieść prawdy swoich słów. Kiwał współczująco głową, gdy pokazywała mu kolejno dzieci, które w niedługim czasie schudną na szkielet i potem już szybko umrą z głodu. Następnie *vieja* z goryczą opowiedziała, jak oszukała ją Matka Boska. Ale tym razem

Jezus Maria zaprotestował ostro:

- Co ty tam wiesz, stara. Może Matka Boska zajęta była akurat ważniejszymi sprawami.

- Ale przecież spaliłam jej w ofierze cztery świece - upierała się piskliwie *vieja*.

Jezus Maria spojrzał na nią zimno. - Cóż to jest dla niej cztery świece? Widziałem kościół, gdzie miała setki świec. Ona wcale nie jest chciwa na twoje cztery świece.

Niemniej myśli miał zaprzątnięte kłopotami Teresiny. Tego samego wieczoru wygłosił wzruszające i grzmiące przemówienie do przyjaciół. Z serca płynęło mu zniewalające i namiętne błaganie o ratunek dla dzieci, które nie mają fasoli. Taką prawdą tchnęły jego słowa, że rozpałył buzujący ogień w sercach przyjaciół. Zerwali się jak jeden mąż. Oczy ich cisnęły błyskawice decyzji.

- Dzieci nie będą głodować! - wykrzyknęli. - Nasza w tym głowa.

- Żyjemy w luksusie - stwierdził Pilon.

- Nakarmimy ich z naszych zapasów - zgodził się Danny. - A jeśli będą potrzebować domu, mogą tu zamieszkać.

- Jutro zaczniemy pracować! - wykrzyknął Pablo. - Dość lenistwa! Do pracy! A mamy wiele do zrobienia!

Jezus Maria czuł radość widza, który płomienną mową wywołał zapal zastępów podkomendnych.

I zapal nie skończył się na słowach. Ile ryb zdobyli! Ile jarzyn z ogrodu przy hotelu „Del Monte"! Chwalebna działalność. Kradzież pozbawiona piętna kradzieży, przestępstwa popełniane z pobudek altruistycznych. Czy jest coś bardziej sycącego duszę? Pirat podniósł cenę drewna do trzydziestu centów i każdego ranka odwiedzał trzy dodatkowe restauracje, Wielki Joe kradł kilkakrotnie kozę pani Palochico, ale koza uparcie wracała do swojej stałej siedziby.

W domu Teresiny zaczęły gromadzić się pokaźne zapasy. Na werandzie gniły skrzynki sałaty, w całym sąsiedztwie unosiła się woń nieświeżych makreli. W przyjaciółkach nadal gorzał samarytański ogień.

Gdyby zajrzeć do księgi skarg komisariatu policji w Monterey, stwierdziłoby się, że w owych dniach Monterey nawiedzone zostało epidemią drobnych przestępstw. Wóz policyjny pędził z miejsca na miejsce. Tu zginęła kura, tam całe pole dyń. Dom Handlowy doniósł o stracie dwu stufuntowych skrzyń ślimaków.

W domu Teresiny było coraz ciasniej. Kuchnię pod sufit zawałało jedzenie. Na kuchennym ganku leżały skrzynie jarzyn. Smród nie gorszy niż w magazynie portowym

krażył po całym Tortilla Flat. Przyjaciele bez chwili wytchnienia pędzili od kradzieży do kradzieży, a w wolnych godzinach opracowywali z Teresiną dalsze plany.

Na początku Teresiną z radością odchodziła od zmysłów, widząc tyle jedzenia, i głowa jej puchła od otrzymywanych z sąsiedztwa komplementów. Po tygodniu nie była już taka pewna, czy ma się cieszyć. Niemowlę miało kurcze żołądka, Erni kłopoty z kiszkami, Alfredo wysypkę, stwory pełzające i raczkujące cały czas ryczały. Teresiną bardzo się krępowała wyznać przyjaciołom to, co musiała ostatecznie wyznać. Przez wiele dni zbierała odwagę, a w ciągu tych dni w domu zjawilo się pięćdziesiąt funtów seleków i skrzynka arbuzów. Wreszcie się jednak zdecydowała, gdyż sąsiedzi zaczęli na nią dziwnie patrzeć.

Zaprosiła Danny'ego i przyjaciół do kuchni i tam wyznała im swoje kłopoty, delikatnie i ostrożnie, żeby nie urazić ich uczuć.

- Zielenina i owoce nie są dobre dla dzieci - wyjaśniła. - Mleko kozie wpływa na zartwardzenie u dziecka karmionego piersią. - Wskazała palcem rozkapryszone i gorączkujące dzieci. - Widzicie, wszystkie są chore, nie mają odpowiedniego pokarmu.

- A jaki jest dla nich odpowiedni pokarm? - spytał Pilon.

- Fasola. Fasoli można ufać, fasola nie od razu wychodzi drugim końcem.

Przyjaciele odeszli w milczeniu. Wobec siebie udawali, że są rozczarowani, ale dobrze wiedzieli, że od wielu dni zgasł w nich już ogień pierwszego entuzjazmu.

U Danny'ego odbyła się konferencja.

O jej skutkach nie należy mówić w pewnych kołach, gdyż rezultatem mogłoby być poważne oskarżenie sądowe.

Już po północy cztery cienie - niech pozostaną bezimienne - ruszyły przez miasto. Cztery niewyraźne cienie podkrađły się do magazynów Kompanii Zachodniej. Strażnik później zeznał, że słyszał jakieś szmery, udał się w ich stronę, ale niczego podejrzanego nie stwierdził. Tylko cztery cienie wiedzą, że strażnik głęboko spał, ale one go nigdy nie zdradzą.

Nieco później cztery cienie opuściły magazyn, uginając się pod wielkim ciężarem. Cienie dyszały i sapały z wysiłku.

O trzeciej rano Teresinę obudziło skrzypienie kuchennych drzwi.

- Kto tam? - zawołała.

Nie otrzymała żadnej odpowiedzi, nastąpił natomiast poczwórny głuchy łomot, który wstrząsnął całym domem. Teresina zapaliła świecę i boso poszła do kuchni. Oparte o ścianę stały cztery stufuntowe worki czerwonej fasoli.



Teresina pobiegła do pokoju i obudziła *wieję*. - Cud! - krzyczała. - Chodź do kuchni i zobacz cud!

Stara zobaczyła cztery worki pełne fasoli i bardzo się zawstydzila:

- Jestem wstrętna stara grzesznica! - jęknęła. - Święta Panno, Matko Boża, nie karz zbyt surowo starej idiotki! Co miesiąc będziesz miała świecę, jak długo będę żyła!

W domu Danny'ego czterej szczęśliwi przyjaciele owijali się kocami. Czy jest lepsza poduszka do snu niż czyste sumienie? Spali twardo do południa, gdyż dokonali dzieła. A Teresina, metodą, która jej jeszcze nigdy nie zawiodła, stwierdziła, że zaszła w ciążę. Kiedy sypała nową fasolę do garnka, zastanawiała się bez specjalnego zainteresowania, który z przyjaciół Danny'ego jest tego sprawcą.

## **Rozdział 14**

*O dobrym życiu w domu Danny'ego,  
o podarowanym prosiaku, o bólu Wysokiego  
Boba i wzgardzonej miłości wiejo Ravanno*

*Paisanos* w Tortilla Flat nie używali budzików. Od czasu do czasu temu czy owemu z przyjaciół w jakiś nadzwyczajny sposób wpadał do ręki zegarek, ale pozostawał w tych rękach zaledwie tak długo, ile było potrzeba, aby wymienić go na coś naprawdę potrzebnego. Zegarki były mile widziane w domu Danny'ego wyłącznie jako środek wymienny. Do codziennego użytku pozostawało złote słońce, znacznie lepsze od zegarka, i trwalsze, gdyż nie można go było wymienić u Torellego na wino.

W lecie odpowiednim czasem do wstawania jest godzina siódma na zegarach, natomiast w zimie ta sama godzina nie posiada praktycznego znaczenia. O ileż lepiej jest kierować się słońcem. Kiedy wychodzi nad wierzchołki sosen i rozgrzewa deski ganku, czy to w zimie, czy w lecie, wtedy jest rozsądny czas na wstawanie, wtedy ręce człowieka się już nie trzęsą, a w brzuchu kruczy.

Pirat i jego psy sypiali w ciepłym i bezpiecznym kącie frontowego pokoju. Pilon, Pablo, Jezus Maria, Danny i Wielki Joe - w sypialni. Wbrew swej szlachetności i dobroci Danny ustępował swoje łóżko wyłącznie własnej osobie. Wielki Joe próbował je okupować parę razy, ale oberwał kijem w pięty i wreszcie zrozumiał zasadę nienaruszalności łóża Danny'ego.

Przyjaciele spali na podłodze, posłania mieli najróżniejsze: Pablo trzy zszyte razem

baranie skóry, Jezus Maria zasypiał, wkładając ręce w rękawy jednego starego płaszcza, a nogi w rękawy drugiego. Pilon owijał się w stary dywan. Wielki Joe przeważnie spał w ubraniu, zwinięty w kłębek jak pies, gdyż zdobywszy genialną umiejętność zbywania wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość wymienną za odpowiednią ilość wina, nie posiadał nic, czym mógłby się przykryć.

W ten sposób więc sypiali, czasami hałaśliwie, ale zawsze wygodnie. Którejś chłodniejszej nocy Wielki Joe próbował pożyczyć psa do ogrzania nóg i został pogryziony, gdyż psy Pirata nie były na pożyczki.

Okien nie zasłaniały firanki, ale hojna natura opatrzyła szyby grubą warstwą pajęczyn, brudu i śladami deszczu.

- Trzeba by umyć okna mydłem i wodą - stwierdził raz Danny.

Bystry umysł Pilona natychmiast zaczął rozważać ten problem, ale tym razem problem okazał się tak prosty, że Pilon aż posmutniał nie zdążywszy wykorzystać wszystkich swoich możliwości intelektualnych. - Wtedy do pokoju dostanie się więcej światła - odparł szybko. - I nie spędzalibyśmy tyle czasu na powietrzu, gdyby tu było więcej światła. A znowuż w nocy, kiedy powietrze jest niezdrowe, nie potrzebujemy wcale światła.

Danny szybko się wycofał, jeśli bowiem jedna krótka uwaga wywołała tak niedwuznaczny i energiczny opór, dalsze nalegania na pewno sprowokowałyby Pilona do niszczącej i logicznej odpowiedzi. Okna zostały więc takie, jakie były. W miarę upływu czasu, w miarę wyrastania nowych pokoleń muszyc i tragicznej ich śmierci w celu utrzymania przy życiu rodziny pajaków, w miarę osiadania nowych pokładów kurzu na starych pokładach kurzu, miły mrok w domu gęstniał, umożliwiając nawet spanie w południe.

W tej sytuacji przyjaciele spali bardzo dobrze. Ale kiedy słońce pukało rano do okien i odprawione z niczym zamieniało w srebro kurz i rozpalało się tęczą na odwłokach częściowo pożartych much, wtedy przyjaciele budzili się, przeciągali i rozglądali za butami. Wiedzieli, że ganek jest już pewno ciepły, skoro słońce sięgało okien.

Nie budzili się szybko ani nie zrywali niespokojnie i nie narażali systemu nerwowego nagłymi ruchami. O, nie. Odrywali się od snu delikatnie, wolno, tak jak wolno motyl porzuca szatę poczwaraki. W połowie tego procesu szli do rowu za dom i w tym czasie budziła się w nich wola. Rozpalali ogień pod kuchnią i gotowali najpierw wodę na herbatę, potem zaparzalili herbatę, pili ją ze słoików po konfiturach, a wreszcie rozkładali się w słońcu na ganku, gdzie wokół ich głów zaczynały namiętnie krążyć muchy.

Dokoła życie nabierało barw, barw dnia wczorajszego i dnia, jaki miał nastąpić. Powoli kształtowały się rozmowy, bardzo powoli, gdyż przyjaciele bardzo cenili resztki tkwiącego w nich snu. Po południu łączyła ich intelektualna wspólnota. Wtedy zagłędano pod dachy znajomych domów, podglądano przez dziurkę od klucza znajomych ludzi, oceniano ich motywy, omawiano dawne przygody. Przede wszystkim myśli ich biegły ku Kornelii Ruiz, gdyż rzadki to dzień lub noc, żeby Kornelii nie wydarzyła się dziwna i bardzo ciekawa przygoda. I wyjątkowa była ta przygoda, z której nie można by wyciągnąć głębokich lekcji moralnych.

Słońce wdzierało się między iglaste gałęzie, sucha ziemia pachniała przyjemnie. Róża kastylska roztaczała dokoła piękną woń. Były to najprzyjemniejsze godziny wszystkich przyjaciół Danny'ego. Nawet walka o życie wydawała się wtedy odległa. Leżąc odbywali sądy nad ludzkim plemieniem, sądzili je nie z chęci moralizowania, ale zainteresowani samym problemem. Każdy z nich, jeśli miał ciekawą opowieść w zanadrzu, chował ją właśnie na tę chwilę. Wielkie, brunatne motyle obsiadły krzak róży i płatki, machały poważnie skrzydełkami, jakby nimi wypompowywały miód z kwiatów.

- Widziałem Alberta Rasmussena - odezwał się Danny. - Wychodził właśnie od Kornelii. Ale ma kłopoty ta Kornelia! Co dzień bierze nowy kłopot.

- Taki jej sposób życia - stwierdził Pablo. - Nie lubię rzucać na nikogo kamieniem, ale czasem wydaje mi się, że Kornelia jest trochę za żywotna. Wydarzają jej się tylko dwie rzeczy: miłość i bijatyka.

- No, czegoś jeszcze chciał? - spytał Pilon.

- Biedaczka, nie ma spokojnego życia - powiedział ze smutkiem Jezus Maria.

- Pewno nie lubi - wyjaśnił Pilon. - Dać spokój Kornelii, to sprowadzić na nią śmierć. Miłość i bijatyka. Dobrze to powiedziałeś, Pablo. Miłość, bijatyka i trochę wina. Wtedy człowiek jest zawsze młody, zawsze szczęśliwy. Co się wydarzyło Kornelii wczoraj wieczorem?

Danny z triumfem spojrzał na Pilon. Niezwykły przypadek, że Pilon nie wiedział wszystkiego, co wydarzyło się w Tortilla Flat. Danny wyraźnie teraz widział z zaciękwionej i urażonej twarzy Pilon, że ten nie wie o ostatniej przygodzie Kornelii.

- Wszyscy znacie Kornelię - zaczął Danny. - Czasami mężczyźni dają Kornelii prezenty, kurę albo królika, albo główkę kapusty. Takie drobne upominki Kornelia bardzo lubi. No więc wczoraj Emilio Murietta zaniósł Kornelii małą świnkę, taką malutką, ładną, różową świnię. Znalazł ją w rowie. Maciora trochę go goniła, kiedy niósł świnkę, ale Emilio biegł szybko i przyszedł do Kornelii ze świnką. Ten Emilio umie mówić.

Powiedział Kornelii: „Czy można pragnąć czegoś piękniejszego od świnki? Świnia je wszystko, nie tak jak człowiek. Ładne domowe stworzenie. Na pewno ją pokochasz. Tylko że potem ze świnki wyrasta świnia i ma zupełnie inny charakter. Świnia jest zła, gwałtowna, więc już jej nie będziesz kochała. Któregoś dnia ona cię ugryzie, ty będziesz zła, wtedy ją zabijesz i zjesz". Przyjaciele poważnie skinęli głowami, a Pilon powiedział: - Pod pewnymi względami Emilio nie jest tępy. Widzicie, ile spraw załatwił jedną świnia: przywiązanie, miłość, zemstę i smaczne jedzenie. Muszę któregoś dnia porozmawiać z Emilio. - Niemniej przyjaciele wiedzieli, że Pilon jest zazdrosny o rywala-logika.

- Mów dalej o świni - zaproponował Pablo.

- No więc - ciągnął Danny - Kornelia wzięła tę małą świnkę i była bardzo uprzejma dla Emilia. Powiedziała, że jak przyjdzie czas, Emilio dostanie kawałek pieczonego prosiaka. No i Emilio poszedł sobie, a Kornelia ustawiła koło pieca pudełko, żeby żywy prosiak miał gdzie spać. A potem Kornelię odwiedziło kilka dam i Kornelia pozwoliła im trochę popieścić prosiaka. No i przy tej zabawie Słodka Megiera nastąpiła prosiakowi na ogon. Prosiak zakwiczął jak parowa syrena, otworzyły się frontowe drzwi i wpadła maciora. Połamał się wtedy stół i potłukły wszystkie talerze. I krzesła też się połamały. I maciora przy okazji pogryzła Słodką Megierę, i podarła spódnicę Kornelii, a kiedy wszystkie damy zamknęły się w kuchni i zaryglowały drzwi, maciora sobie poszła zabierając prosiaka. Teraz Kornelia jest bardzo zła. Mówi, że zabije Emilia.

- Takie jest życie - stwierdził Pablo. - Nigdy nic nie wychodzi tak, jak się planuje. Tak samo było wtedy, kiedy Wysoki Bob Smoke poszedł się zabić.

Twarze przyjaciół wyrażające miłą zachętę do kontynuowania opowieści obróciły się w stronę Pabla.

- Znacie na pewno Wysokiego Boba Smoke - zaczął opowieść Pablo. - Wygląda właśnie tak, jak powinien wyglądać *vaquero*. Ma długie nogi i jest chudy, ale niezbyt dobrze jeździ konno. Na rodeo często leży w piasku. Ale Bob strasznie lubi, jak go podziwiają. Kiedy jest jakaś uroczystość, to zawsze chce nieść chorągiew; kiedy się biją, on zawsze chce sędziować. W kinie zawsze pierwszy krzyczy: „Hej, wy tam z przodu, nie zasłaniajcie". Tak, Wysoki Bob lubi być wielkim człowiekiem, lubi, żeby go oglądano i podziwiano. I pewno tego nie wiecie: chciałby, żeby go wszyscy kochali. Niezszczęśliwy ten człowiek urodził się jednak chyba po to, by ludzie mieli się z kogo śmiać. Niektórzy się litują, ale większość się śmieje. A śmiech to dla Wysokiego Boba dźgnięcie nożem. Pamiętacie tę ostatnią paradę, kiedy Bob trzymał chorągiew? Jechał

bardzo sztywno na białym koniu. Akurat przed główną trybuną z sędziami ten wielki głupi koń zemdlął z gorąca. Bob przeleciał mu przez łeb, chorągiew frunęła w powietrzu i utkwiała w ziemi drzewcem do góry. Tak mu się zawsze przytrafia. Kiedy próbuje być kimś wielkim, coś takiego wyskakuje i wszyscy się śmieją. Pamiętacie, jak był hyclem i próbował złapać na lasso psa? Całe miasto się zleciało, żeby to zobaczyć. Rzucił lassem, pies kładł się na ziemi, lasso ześlizgiwało się i pies uciekał. Ale się ludzie wtedy śmiali! Bob tak się wstydził, że sobie pomyślał: „Umrę i wszyscy będą płakać”. A potem jeszcze raz pomyślał: „Ale jak umrę, to będę nieżywy i nie będę widział, czy oni naprawdę płaczą”. Obmyślił więc chytry plan: „Poczekam, aż usłyszę, że ktoś idzie do mojego pokoju, i wtedy przyłożę lufę do skroni. Przyjaciel zacznie mnie przekonywać, żebym tego nie robił”. Tak to sobie wszystko wykombinował i poszedł do swojego małego domku, a po drodze ludzie wołali do niego: „Złapałeś jakiego psa, Bob?”. Wysoki Bob wrócił do domu bardzo smutny. Wyjął pistolet i nabił go. Potem usiadł i czekał, aż ktoś przyjdzie. Wszystko sobie dokładnie obmyślił i nawet zrobił próbę z tym pistoletem. Przyjaciel miał powiedzieć: „Ach, co robisz, Bob! Nie zabijaj się, biedny człowieku”. A Bob miał na to odpowiedzieć, że nie chce mu się już żyć, bo wszyscy są dla niego tacy niedobrzy. Powtarzał sobie ciągle, co ma powiedzieć, i czekał, ale nikt nie przychodził. Czekał też cały następny dzień i ciągle nikt nie przychodził. Dopiero wieczorem zjawił się Charlie Meeler. Bob usłyszał kroki Charliego na ganku i szybko przyłożył pistolet do głowy. I odciągnął nawet kurek, żeby wszystko wyglądało, jak potrzeba. „Teraz on będzie mnie przekonywał i ja będę słuchał, i w końcu go posłucham” - pomyślał Bob. Charlie Meeler wszedł do pokoju, zobaczył Boba z tym pistoletem przy głowie, ale wcale nie krzyknął, jak miał krzyknąć, tylko skoczył, złapał pistolet, pistolet wystrzelił i odstrzelił Bobowi kawałek nosa. I potem ludzie śmiali się z Boba jeszcze więcej niż przedtem. Nawet w gazetach o tym pisano. Całe miasto się śmiało. Widzieliście nos Boba z tym odstrzelonym końcem? Ludzie śmiali się, chociaż to był taki niedobry śmiech i wszystkim było nawet przykro, że się śmieją. I od tego czasu zawsze pozwalają Bobowi nosić chorągiew na każdej paradzie, jakakolwiek by ona była. A magistrat kupił mu sieć, żeby mógł w nią łapać psy. Ale Bob nie jest bardzo szczęśliwy bez kawałka nosa.

Pablo umilkł, wziął z ganku patyk i trzepnął się parę razy po nodze.

- Przypominam sobie jego nos przedtem - powiedział Danny. - To dobry człowiek ten Bob. Pirat wam to potwierdzi, jak wróci. Czasami Pirat pozwala wejść swoim psom do wozu Boba i wtedy ludzie myślą, że to Bob je wyłapał, i mówią: „Wreszcie mamy dob-

rego hycła". To wcale nie tak łatwo łapać psy, kiedy musi się je łapać.

Jezus Maria siedział zatopiony głęboko w myślach, głowę oparł o ścianę. Odezwał się: - Nie ma gorszej rzeczy niż śmiech ludzi. Ze starego Tomasza, szmacciarza, tak się śmiali, że umarł. A potem wszyscy żalowali, że się śmiali. Poza tym - dodał Jezus Maria - jest śmiech i śmiech. Ta historia o Wysokim Bobie jest śmieszna, ale kiedy potem człowiek otwiera usta, żeby się śmiać, jakaś zimna ręka zaciska mu serce. Słyszałem historię starego Ravanno, który się powiesił w zeszłym roku. To też śmieszna historia, ale głupio się z niej śmiać.

- Coś mi o tym mówiono - powiedział Pilon - ale nie znam szczegółów.

- Opowiem wam - zgodził się Jezus Maria. - Zobaczycie sami, czy można się z tego śmiać. Kiedy byłem małym chłopcem, bawiłem się z Peteyem Ravanno. Zwinny chłopak był ten Petey, ale stale wpadał w kłopoty. Miał dwóch braci, cztery siostry i ojca, starego Peteya. W Monterey nie ma już dziś nikogo z tej rodziny. Jeden brat dostał dożywocie, drugiego zabił japoński ogrodnik za kradzież wózka arbuzów, no a dziewczęta, wiecie, jak to jest z dziewczętami. Poszły sobie. Tylko Suzy zatrzymała się w burdelu ciotki Jenny w Salinas i siedzi tam do tej chwili. Więc tak po pewnym czasie został tylko Petey i jego stary.

Petey wyrósł i stale wpadał w te kłopoty. Przez pewien czas uczęszczał do zakładu poprawczego, a potem wrócił tutaj. Co sobota chodził po mieście pijany, ale krótko chodził, bo go zawsze zamykano do mamra, gdzie odpoczywał do poniedziałku. Stary Petey był przyjacielskim człowiekiem, nie można narzekać, upijał się co tydzień razem z Peteyem. Przeważnie razem szli do mamra. Petey Ravanno bardzo się smucił, jeśli nie siedział z nim Petey. Kochał chłopaka. Zawsze go we wszystkim naśladował, nawet jak już miał sześćdziesiąt lat. Może sobie przypominacie Gracie Montez? - spytał Jezus Maria. - Niespecjalnie dobra dziewczyna. Kiedy miała dwanaście lat, do portu Monterey przyplłynął okręt wojenny i w pewien czas po tym Gracie urodziła pierwsze dziecko. W takim wieku! Bo była ładna, wiecie, i żywa, i miała ostry język. Zawsze się здаwało, że ucieka od mężczyzn, i wtedy mężczyźni biegali za nią jeszcze więcej i szybciej. Czasami ją doganiali. Tak trudno się było do niej zbliżyć. Człowiek zawsze myślał, że ta Gracie chowa coś takiego ładnego, czego nie chce tobie dać. Coś w głębi jej oczu mówiło: „Gdybym chciała, mogłabym ci dać coś takiego, czego nie da ci żadna inna kobieta na świecie”. Wiem ja o tym, bo też ganiałem za Gracie. I Petey za nią ganiał. Tylko Petey ganiał inaczej niż ja. - Jezus Maria spojrzał znacząco na swoich przyjaciół, aby podkreślić tę różnicę. - Petey tak bardzo chciał tego, co Gracie miała i chowała, że

wysechł na wiór i oczy zrobiły mu się wielkie i patrzyły tak boleśnie, zupełnie jak oczy człowieka, który pali marihuanę. Aż się rozchorował i nie mógł jeść. Stary Ravanno poszedł do Gracie i powiedział jej: „Jeśli nie będziesz dobra dla Peteya, on umrze”. Ale Gracie tylko się roześmiała. To nie była bardzo dobra dziewczyna. I wtedy, jak stary Petey z nią rozmawiał, do pokoju weszła jej młodsza siostra, Tonia. Tonia miała czternaście lat. Stary na nią spojrzał i aż go zatkało. Tonia była podobna do Gracie i też miała taki dziwny zwyczaj, że uciekała przed mężczyznami. Więc starego Ravanno aż zatkało i nic nie mógł na to poradzić. Powiedział do Toni: „Chodź tu do mnie, dziewczynko”. Ale Tonia nie była już dziewczynką. I wiedziała, że nie jest. Roześmiała się i uciekła z pokoju. Ravanno wrócił do domu i Petey go spytał: „Co ci jest, ojciec?”. „Nic mi nie jest - odpowiedział stary. - Tylko się martwię, że przez tę Gracie jesteś chory”. Cała rodzina Ravanno miała gorącą krew. I wiecie co - ciągnął Jezus Maria - Petey poszedł pracować u Czin Ki i z zarobionych pieniędzy kupował prezenty dla Gracie. Wielkie butelki wody kwiatowej i wstążki, i podwiązki. I zapłacił fotografowi za zdjęcie Gracie. Takie zdjęcie kolorowe. Gracie brała wszystkie prezenty i dalej uciekała od Peteya, i śmiała się z niego. Jeszcze jak się śmiała.

Człowiek miał ochotę ją udusić i jednocześnie pieścić. Miał ochotę poderżnąć jej gardło i jednocześnie dostać się do tego, co w niej siedziało i robiło ją taką niedobrą. Wiem ja, wiem, co człowiek czuł. Też za nią latałem, a i Petey mi opowiadał, co czuł. Wariował. Nie mógł już zupełnie spać. Powiedział mi: „Gdyby Gracie wzięła ze mną ślub w kościele, wtedy już by więcej nie uciekała, byłbym jej mężem, a to grzech uciekać od męża”. I poszedł do niej i też jej powiedział, żeby za niego wyszła. Ale ona roześmiała się tak głośno, że człowiek miał ochotę ją udusić. Petey zupełnie zwariował. Poszedł do domu, uwiązał sznur do belki, stanął na skrzynce, założył pętlę na szyję i kopnął skrzynkę. Ale wtedy wszedł do pokoju stary Petey. Odciął Peteya od sznura i zawołał doktora. Minęły jednak dwie godziny, nim Petey otworzył oczy, a cztery dni, nim przemówił.

- Jezus Maria zamilkł i zadowolony obserwował skoncentrowaną uwagę przyjaciół, którzy pochylili się, żeby lepiej słyszeć opowieść.

- Tak to było! - powiedział.

- Ale przecież Gracie Montez wyszła za Peteya Ravanno! - wykrzyknął Pilon. - Znam ją! To dobra kobieta. Nie opuści mszy w niedzielę i raz na miesiąc chodzi do spowiedzi.

- Teraz to robi - zgodził się Jezus Maria. - Ale wtedy stary Ravanno był bardzo zły.

Pobiegł do Gracie i zaczął jej wymyślać: „Swoim uporem zamordowałaś mi syna! Chciał się przez ciebie zabić, ty kurczaku z gnojówki”. Gracie okropnie się przestraszyła, ale ucieszyła też, bo nie każda kobieta umie doprowadzić mężczyznę do takiego kroku. Poszła odwiedzić Peteya, który leżał w łóżku z trochę skrzywionym karkiem. I niedługo potem wyszła za niego. Wszystko stało się tak, jak Petey liczył, że się stanie. Ponieważ w kościele ksiądz kazał jej być dobrą żoną, była dobrą żoną. I już więcej nie szczyrzyła zębów do chłopów. I nawet nie uciekała od mężczyzn, żeby musieli za nią gonić. Petey dalej pracował u Czin Ki i Czin Ki wkrótce go awansował do opróżniania skrzynek, a potem to już szybko Petey został nadzorcą w pakowni ryb. Widzicie więc - powiedział Jezus Maria - że to dobra historia. Byłaby może i świetna do opowiedzenia na kazaniu, gdyby na tym się kończyła.

- O tak! - zgodził się Pilon. - Taka historia daje człowiekowi wiele do myślenia.

Przyjaciele skinęli głowami, gdyż lubili historie z morałem.

- Znałem podobną dziewczynę w Teksasie - powiedział Danny.

- Tylko że ona się nie zmieniła. Nazywano ją żoną drugiego plutonu.

Pablo podniósł rękę. - Jezus Maria jeszcze nie skończył, pozwólcie mu dalej mówić.

- Tak, jeszcze nie skończyłem. I zakończenie wcale nie jest takie dobre. Był jeszcze ten *viejo*, a miał już wtedy ponad sześćdziesiąt lat. Petey i Gracie zamieszkali w innym domu. *Viejo* Ravanno został sam i było mu smutno, bo dotąd zawsze mieszkał z Peteyem. Zupełnie nie wiedział, czym sobie zająć czas. Mieszkał więc sam i był smutny, aż któregoś dnia znowu zobaczył Tonię. Tonia miała wtedy piętnaście lat i zrobiła się nawet ładniejsza od Gracie. Połowa żołnierzy i Presidio latało za nią z wywieszonymi ozorami. No i wtedy staremu przydarzyło się to samo, co przedtem Peteyowi. Tak strasznie zachciało mu się Toni, że aż był chory. Nie mógł jeść ani spać. Policzki mu się zapadły, oczy błyszczały dziko jak u palacza marihuany. Znosił tej Toni słodycze, ona brała je i śmiała się staremu w nos. On jej mówił: „Chodź do mnie, droga ślicznotko, przecież jestem twoim przyjacielem”. Ona dalej się śmiała. Wreszcie *viejo* opowiedział o wszystkim Peteyowi, Petey też się zaczął śmiać. „Głupi jesteś - powiedział mu. - Miałeś w życiu dosyć kobiet, daj teraz spokój dzieciom”. Ale stary nie posłuchał i dalej tęsknił za Tonią. Ci Ravanno to mają gorącą krew. *Viejo* chował się w trawie i patrzył, jak Tonia przechodzi, a serce w piersiach strasznie go bolało. Potrzebował dużo pieniędzy, żeby jej kupować prezenty, więc wziął pracę na dużej stacji obsługi samochodów. Sprzątał tam plac i podlewał kwiaty, dolewał wody do chłodnic i odkurzał szyby. Całe zarobione pieniądze wydawał na prezenty dla Toni - na cukierki,



wstążki i sukienki. Zapłacił nawet fotografowi za jej kolorową fotografię. A ona ciągle się tylko śmiała, jeszcze więcej niż przedtem. *Viejo* bliski był szaleństwa, więc sobie pomyślał: „Jeśli ślub w kościele zrobił z Gracii dobrą kobietę, to może zrobi i dobrą kobietę z Toni”. I powiedział jej, żeby wyszła za niego. A ona roześmiała się, jak jeszcze nigdy się nie śmiała. I żeby go bardziej rozzłościć, machała mu przed nosem spódnicą. Z tej Toni był lepszy numer.

- *Viejo* był głupi - zauważył Pilon. - Starzy ludzie nie powinni latać za dziećmi. Powinni odpoczywać w słońcu.

Jezus Maria ciągnął dalej, zły, że mu przerwano: - Ale rodzina Ravanno miała gorącą krew.

- W każdym razie to nie było w porządku - upierał się Pilon. - Nie w porządku wobec Peteya.

Pablo go skarcił: - Pozwól Jezusowi Marii mówić dalej. To jego opowieść, Pilonie, nie twoja. Przyjdzie czas, że będziemy słuchali ciebie.

Jezus Maria spojrzał z wdzięcznością na Pabla. - Więc, jak mówiłem, *viejo* nie mógł tego dłużej znieść. Ale sam nie potrafił nic wymyślić. Nie był taki jak Pilon. Nigdy w życiu nie wymyślił nic nowego. *Viejo* Ravanno pomyślał sobie tak: „Gracie wyszła za Peteya, bo się powiesił. Może jak i ja się powieszę, Tonia wyjdzie za mnie”. I potem pomyślał: „Ale umrę, jeśli mnie nikt nie znajdzie odpowiednio wcześniej. Ktoś mnie musi *znaleźć*”. Na tej stacji obsługi był magazyn. Z samego rana *viejo* wchodził do magazynu, otwierał go, brał narzędzia, jakie mu były potrzebne, sprzątał plac, podlewał kwiaty przed otwarciem stacji. Wszyscy inni przychodzili do pracy o ósmej. Więc któregoś rana *viejo* poszedł do magazynu i założył na belkę sznur. Poczekał do ósmej. Zobaczył, jak idą ludzie. Założył sznur na szyję i zeskoczył z ławki, na której stał. I akurat kiedy to zrobił, wiatr zatrzasnął drzwi do komórki.

Twarze przyjaciół rozjaśniły się szerokim uśmiechem. Pomyśleli sobie, że czasami życie jest bardzo, bardzo wesołe.

- Nie od razu się spostrzegli, że starego Ravanno nie ma - ciągnął Jezus Maria. - Pomyśleli sobie, że może jest pijany. Dopiero po godzinie otworzyli komórkę. - Jezus Maria rozejrzał się po przyjaciółach.

Uśmiechy dalej tkwiły na ich twarzach, ale inne uśmiechy niż na początku.

- Widzicie - powiedział Jezus Maria. - To jest śmieszne. Ale też was wzięło, prawda?

- Co powiedziała Tonia? - spytał Pilon. - Czy ta lekcja ją czegoś nauczyła? Zmieniła się?

- Nie, nie zmieniła się. Petey jej wszystko opowiedział, a ona się roześmiała i Petey też się śmiał. Ale mu było wstyd. Tonia powiedziała: „Jaki on był głupi”, i spojrzała na Peteya tak, jak to potrafiła.

I wtedy Petey powiedział: „Dobrze mieć taką siostrę jak ty. Któregoś wieczoru wezmę cię na spacer do lasu”. Wtedy Tonia znów się roześmiała i trochę od niego uciekła. I powiedziała: „Myślisz, że jestem taka ładna jak Gracie?”. Petey poszedł za nią do domu.

Pilon odezwał się: - To nie jest dobra historia. Za dużo tu różnych zdarzeń i za dużo lekcji moralnych. A jedne występują przeciwko drugim. Ta opowieść ciężko wchodzi do głowy. I nie dowodzi niczego.

- Mnie się podoba - zaprotestował Pablo. - Mnie się podoba, bo nie ma żadnego specjalnego znaczenia, które od razu widać, a jednocześnie zdaje się coś znaczyć. Tylko nie wiem co.

Słońce minęło najwyższy punkt na niebie, powietrze było gorące.

- Ciekaw jestem, co Pirat przyniesie do jedzenia - powiedział Danny.

- W zatoce jest pełno makreli - zauważył Pablo.

Oczy Pilona rozbłysły. - Mam jeden taki plan, który mi właśnie przyszedł do głowy. Jak byłem małym chłopcem, mieszkaliśmy blisko kolei. Co dzień, kiedy przejeżdżał pociąg, ja i moi bracia rzucaliśmy kamieniami w lokomotywę, a wtedy maszynista rzucał w nas kawałkami węgla. Czasami uzbierało się wiadro węgla, które zanosiliśmy matce. Więc sobie teraz pomyślałem, że moglibyśmy iść z kamieniami na cypel. Kiedy będą przepływały kutry, zaczniemy rzucać kamieniami. Rybacy nic nam nie będą mogli zrobić. Nie zaczną przecież rzucać wiosłami ani sieciami, nie. Będą tylko rzucać makrelami.

Danny wstał podniecony. - Twój plan jest wspaniały! - wykrzyknął. - Jakim wspaniałym przyjacielem jest nasz drogi Pilon! Co byśmy zrobili bez Pilon! Chodźcie ze mną, wiem, gdzie leży stos kamieni.

- Ze wszystkich ryb najlepiej lubię makrele - wyznał Pablo.

## **Rozdział 15**

*O tym jak Danny rozmyślał i zwariował i jak szatan pod postacią Torellego nawiedził dom Danny'ego*

W charakterze Monterey jest coś stałego. Prawie co dzień rano słońce świeci w okna zachodniej strony ulic, a po południu w okna wschodniej strony ulic. Co dzień rozklekotany czerwony autobus jeździ tam i z powrotem między Monterey a Pacific Grove. Co dzień z przetwórci ryb płynie fala smrodu. Co dzień po południu wiatr wieje od zatoki i porusza czubkami świerków na szczycie wzgórza. Co dzień cierpliwi rybacy o cynicznym wyrazie twarzy siedzą z wędkami w ręku na skałach.

W Tortilla Flat, powyżej Monterey, również panuje wieczny porządek rzeczy, jest bowiem tylko ograniczona ilość przygód, jakie zdarzyć się mogą Kornelii Ruiz z wolno przesuającą się procesją bliskich jej sercu mężczyzn. Wiadomo powszechnie, że nie odmawia ona powrotu kochankom poprzednio zredukowanym.

W domu Danny'ego zmiany są jeszcze bardziej znikome. Przyjaciele mają swój stały rozkład zajęć, który dla każdego, ale nie dla *paisano*, wydałby się monotony: wstawanie rano, siedzenie w słońcu i zastanawianie się nad tym, co Pirat przyniesie na śniadanie. Pirat dalej chodzi co dzień do lasu i sprzedaje potem taczkę drewna w Monterey, ale teraz już kupuje żywność za te swoje dwadzieścia pięć centów. Czasami przyjaciele zdobywają trochę wina i wtedy odbywa się ogólne śpiewanie i ogólna bójka.

Czas objawia się barwniej nad morzem niż w głębi lądu, gdyż poza słońcem i zmianami pór roku odmierza go łoskot fal bijących o skały, a przyplawy i odpływy znaczą mijanie godzin, tak jak ziarenka piasku w klepsydrze sekundy. Czas rzucił cień na Danny'ego. Kiedy Danny patrzył na przyjaciół, widział, że dla nich wszystkie dni są jednakowe. Kiedy wstawał czasami w nocy z łóżka i ostrożnie stąpał między śpiącymi na podłodze *paisanos*, był zły na nich. Był zły, że tu są. Wysiadując w słońcu na ganku Danny zaczął marzyć o minionych dniach swojej wolności. Latem sypiał w lesie, kiedy zaś szalała zima, kładł się w ciepłych stodołach. Nie dźwigał wtedy ciężarów właściciela nieruchomości. Imię Danny było synonimem burzy. Ach, te bójki! Bójki albo ucieczki przez las z wściekłą kurą pod pachą. Krył się w rowie, kiedy jakiś zrozpaczony mąż wykopywał topór wojenny. Burza i gwałt, słodki gwałt. Kiedy Danny rozmyślał o dawnych straconych dniach, prawie czuł na podniebieniu cudowny smak kradzionego jedzenia i zaczynał tęsknić do dawnych czasów. Od kiedy spadek wyniósł go na wyżyny społeczne, Danny rzadko wdawał się w bójki. I nie upijał się na bojowo. Zawsze przygniatał go ciężar posiadania domu, zawsze gnębiła odpowiedzialność wobec przyjaciół.

Danny zaczął tkwić całymi dniami na ganku i wreszcie przyjaciele pomyśleli, że jest chory.

- Herbata z *yerba buena* będzie bardzo smaczna - poddał myśl Pilon. - Idź do łóżka, Danny, obłożymy ci nogi gorącymi kamieniami.

Danny nie pragnął w tej chwili żadnego rozpieszczania. Danny pragnął wolności. Od miesiąca ponuro rozmyślał, patrzył w ziemię, patrzył szparkami oczu na wszechobecnych przyjaciół, kopniakami usuwał z drogi łaszące się psy.

Wreszcie uległ swoim tęsknotom. Którejś nocy uciekł. Poszedł w las i zniknął.

Kiedy rano przyjaciele obudzili się i zobaczyli, że nie ma Danny'ego, Pilon powiedział: - To na pewno sprawa kobiety. Danny jest zakochany.

I na tym poprzestali, gdyż każdemu wolno się kochać. Przyjaciele żyli sobie dalej tak jak przedtem. Ale kiedy minął tydzień i Danny nie wrócił, zaczęli się martwić. Poszli do lasu odszukać Danny'ego.

- Miłość to piękna rzecz - stwierdził Pilon. - Nie można mieć pretensji do żadnego mężczyzny, że idzie do dziewczyny, ale tydzień to bardzo długo. Musi to być dziewczyna żywa jak srebro. Inna nie utrzymałaby Danny'ego przez tydzień.

A Pablo powiedział: - Trochę miłości to jak trochę wina. A zbyt dużo jednego i drugiego powoduje chorobę. Może Danny już jest chory? Może ta dziewczyna była za żywa?

I Jezus Maria się martwił: - To niepodobne do Danny'ego, którego znamy. Na tak długo zniknąć! Coś się musiało stać.

Pirat zabrał do lasu psy. Przyjaciele powiedzieli psom: - Szukajcie Danny'ego. Może jest chory. Może gdzieś leży i nie żyje. Szukajcie dobrego Danny'ego, który pozwolił wam spać w swoim domu.

A Pirat dodatkowo im szepnął: - Złe, niewdzięczne psy, znajdźcie naszego przyjaciela.

- Ale psy pomachały tylko ogonami i głośno ujadając pognały za królikiem, którego wywęszyły.

*Paisanos* cały dzień przetrząsali las, głośno wzywając Danny'ego. Szukali wszędzie tam, gdzie by sami położyli się spać - w głębokich jamach, między korzeniami drzew, na grubym posłaniu z igieł, w zarośniętych krzakami miejscach. Wiedzieli dobrze, jakie miejsca nadają się do spania, ale nigdzie nie znaleźli Danny'ego.

- Może on zwariował - podsunął myśl Pilon. - Może jakieś ukryte zmartwienie pozbawiło go rozumu?

Wieczorem wrócili do domu. Kiedy otworzyli drzwi, stanęli jak wryci: podczas ich nieobecności po domu buszował złodziej. Zniknęły koce Danny'ego, zniknęła cała

żywność. Brakowało także dwóch garnków.

Pilon spojrzał z ukosa na Wielkiego Joe Portugalczyka, ale szybko potrząsnął głową. - Nie, ty byłeś z nami. To nie ty ukradłeś.

- To na pewno Danny! - wykrzyknął Pablo. - W istocie oszalał. Biega po lesie jak dzikie zwierzę.

Troska i niepokój osiadły w domu Danny'ego.

- Musimy go odnaleźć - oświadczyli zgodnie przyjaciele. - W przeciwnym razie naszemu przyjacielowi zdarzyć się może coś złego w jego szaleństwie. Przeszukamy cały świat i nie spoczniemy, póki go nie znajdziemy.

Opuściło ich lenistwo. Co dzień szukali Danny'ego. Zaczęły dochodzić ich dziwne plotki: „Tak, Danny był tu wczoraj wieczorem. O, ten pijak! O, ten złodziej!”. „Bo wiecie, Danny trzepnął *viejo* kołkiem z płotu i ukradł butelkę grappy”. „Co to za przyjaciele, którzy pozwalają, aby Danny tak się zachowywał”. „Owszem, widzieliśmy Danny'ego. Miał zamknięte oczy i śpiewał. Śpiewał: »Chodźcie do lasu tańczyć ze mną, kochane dziewczęta«. Tak śpiewał. Ale myśmy nie poszły. Bałyśmy się. Danny'emu źle patrzyło z oczu”.

Na molo przyjaciele także znaleźli dowody pobytu ich przyjaciela.

- On tu był - stwierdził jeden z rybaków. - Chciał się ze wszystkimi bić, Benito złamał wiosło na jego głowie. Potem Danny rozbił kilka okien i wtedy policjant zabrał go do aresztu.

Wreszcie trafili na gorący ślad zbłąkanego i obłąkanego przyjaciela, więc poszli tym śladem.

- McNear przyprowadził go wczoraj w nocy - powiedział sierżant w komisariacie. - Ale Danny jakoś się wydostał przed świtem. Kiedy go złapiemy, dostanie sześć miesięcy.

Przyjaciele zmęczeni się tą gonitwą. Wrócili do domu i ku wielkiemu przerażeniu stwierdzili, że zniknął worek kartofli, który Pilon znalazł właśnie tego ranka.

- Tego już za dużo! - wykrzyknął Pilon. - Danny zwariował, Danny jest w niebezpieczeństwie. Przytrafi mu się coś strasznego, jeśli go w porę nie ocalimy.

- Musimy szukać dalej - oświadczył Jezus Maria.

- Musimy zaglądać pod każde drzewo i do każdej komórki - dodał Pablo.

- Pod łodzie na plaży - uzupełnił Wielki Joe.

- Psy pomogą - zapewnił Pirat.

Pilon potrząsnął głową. - Z tego nic nie wyjdzie. Chodzimy wszędzie tam, gdzie Danny

już był. Musimy czekać w miejscu, gdzie Danny dopiero przyjdzie. Działajmy jak mądry ludzie, a nie jak głupcy.

- Ale gdzie on przyjdzie?

Olśnienie spadło nagle na wszystkich. - Do Torellego! Oczywiście, wcześniej czy później Danny trafi do Torellego! Tam pójdziemy i tam złapiemy Danny'ego. Musimy powstrzymać go w szaleństwie, które nań przyszło.

- Tak, musimy ocalić Danny'ego - zgodzili się.

Jak jeden mąż udali się do Torellego, ale Torelli nie chciał ich wpuścić. - Pytacie, czy Danny tu był! Ha! - krzyknął do nich przez drzwi. - Czy widziałem Danny'ego! Danny przyniósł trzy koce i dwa garnki i dałem mu galon wina. I wtedy ten diabeł obraził moją żonę, a mnie przezywał brzydkimi słowami. Moje dziecko uderzył, kopnął mojego psa! A z ganku ukradł mi hamak! - Torelli aż się zadyszał z podniecenia. - Gonilem go, żeby odebrać hamak, a kiedy wróciłem do domu, on był z moją żoną! Uwodziciel, złodziej, pijak! Taki jest wasz przyjaciel Danny! Już ja dopilnuję, żeby poszedł do więzienia!

Oczy przyjaciół zabłysły gniewem. - Ach, ty korsykańska świni! - powiedział spokojnie Pilon. - Mówisz o naszym przyjacielu, nie zapominaj tego! Nasz przyjaciel jest chory.

Torelli zaryglował lepiej drzwi. Słyszeli szcęk zamka, ale Pilon dalej mówił: - Ty stary Żydzie, gdybyś był odrobinę mniej chciwy i mniej skąpy z winem, nie miałbyś tych wszystkich kłopotów. I uważaj, aby ta zdechła zimna żaba, którą zwiesz swoim językiem, nie kalala dobrego imienia naszego przyjaciela, którego masz traktować grzecznie, bo nas jest wielu. Wyrwiemy ci żołądek, jeśli nie będziesz dla niego miły.

Torelli milczał, ale nawet stojąc za zamkniętymi drzwiami, zadygotał z wściekłości i ze strachu na te groźne słowa. Poczul wielką ulgę, gdy posłyszał oddalające się kroki.

Tej nocy, gdy przyjaciele poszli już spać, usłyszeli szelest w kuchni. Wiedzieli, że to Danny, ale nim zdolali go schwytać, uciekł. Kręcąc się w ciemnościach, wołali niepokieszeni: - Danny, nasz drogi, najmilszy przyjacielu, potrzebujemy ciebie!

Nikt im nie odpowiedział, tylko jakiś kamień trafił Wielkiego Joe, w brzuch i Wielki Joe skręcając się z bólu, padł na ziemię. Och, jakże zdumieni i zgorszeni byli przyjaciele i jaki ciężar legł im na serca!

- Danny zdążył prosto ku śmierci - mówili ze smutkiem. - Nasz biedny przyjaciel potrzebuje pomocy, a my nie możemy mu pomóc.

Trudno było nawet mieszkać teraz w domu, gdyż Danny prawie doszczętnie go okradł.

Jedno krzesło odnaleziono u przemytnika whisky. Żywność stale ginęła, a któregoś dnia, kiedy szukali Danny'ego po lesie, on zabrał piec żelazny. Ale piec był ciężki, więc Danny porzucił go w rowie. Przyjaciele nie mieli nawet pieniędzy, gdyż Danny ukradł taczki Pirata i przehandlował je u Joego Ortiza za butelkę whisky. Z domu Danny'ego zniknął spokój, wkradła się rozpacz i smutek.

- Gdzież jest nasze szczęście! - zawodził Pablo. - Musieliśmy zgrzeszyć. I oto spotkała nas kara. Powinniśmy pójść do spowiedzi.

Nie rozprawiali już o miłosnych przygodach Kornelii Ruiz, nie opowiadali moralizujących historyjek, rozplynęła się aureola humanizmu. Szczere, uczciwe życie legło w gruzach. A potem w rozpacz wtargnęły nowe plotki:

- Danny wczorajszej nocy prawie zgwałcił kobietę.
- Danny wydoił kożę pani Palochico.
- Danny przedwczoraj wieczorem pobił się z żołnierzami.

Mimo głębokiego żalu nad moralnym upadkiem Danny'ego, przyjaciele troszkę mu zazdrościli wspaniałej zabawy.

- Jeśli nie zwariował, spotka go kara - powiedział Pilon. - Możecie być tego pewni. Danny popełnia grzech za grzechem i ma ich więcej na sumieniu niż ktokolwiek, o kim słyszałem. Jeśli będzie chciał powrócić na ścieżkę uczciwości, czeka go długa pokuta. W ciągu paru tygodni Danny nagromadził na swoim rachunku więcej grzechów niż stary Ruiz w ciągu całego życia.

Tej samej nocy Danny, nie powstrzymany przez żadnego z zaprzyjaźnionych psów Pirata, zakradł się do domu tak cicho, jak cicho porusza się cień w świetle lampy ulicznej, i zbrodniczo ukradł buty Pilona. Rano Pilon tylko się rozejrzał i już wiedział, co się stało. Stanowczym krokiem wyszedł na ganek, usiadł w słońcu i zaczął przyglądać się swoim nogom.

- Tym razem Danny posunął się za daleko - oświadczył. - Póki płatał tylko żarty, znosiliśmy je cierpliwie, ale obecnie wkroczył na ścieżkę zbrodni. To już nie ten sam Danny, którego znaleźmy. To inny człowiek, zły człowiek. I musimy schwytać złego człowieka.

Pablo spojrzał z zadowoleniem na swoje buty.

- Może to też był tylko żart - odezwał się.
- Nie - odparł stanowczo Pilon. - To zbrodnia. Buty nie były bardzo nowe, ale ich kradzież jest zbrodnią wobec przyjaźni. Jeśli Danny spadł tak nisko, że już kradnie buty swoich przyjaciół, gotów jest popełnić najgorszą ze zbrodni.

Przyjaciele skinęli potakująco głowami. - Musimy go złapać - powiedział Jezus Maria, humanista. - Wiemy, że Danny cierpi, że jest chory. Przywiążemy go do łóżka i spróbujemy wyleczyć jego chorobę. Musimy postarać się wywabić ciemną plamę z jego mózgu.

- Ale nim go złapiemy - wtrącił Pablo - trzeba przed nocą chować buty pod poduszkę. Dom wyglądał jak oblężony. A za domem szalał Danny i Danny świetnie się bawił. Twarz Torellego rzadko wyrażała inne ludzkie uczucie niż podejrzliwość albo gniew. Te dwa uczucia bardzo często gościły w sercu miejscowego przemytnika whisky podczas wszystkich jego transakcji z mieszkańcami Tortilla Flat i uzewnętrzniały się na obliczu. Poza tym Torelli nigdy nikogo nie odwiedzał. Wystarczyło, że siedział w domu, a wszyscy przychodzili do niego. Dlatego też, kiedy Torelli rano szedł drogą w stronę domu Danny'ego i na obliczu jego malował się okrutny uśmiech zadowolenia i podniecenia, dzieci uciekały na podwórka, psy podwijają ogony i cofały się przerażone, patrząc nieprzytomnym wzrokiem, spotkani ludzie ustępowali mu z drogi, zaciskając na wszelki wypadek pięści, aby bronić się przed ewentualnym atakiem szaleńca.

Tego ranka mgła spowijała słońce, które po wielu bezskutecznych próbach poddało się i wycofało za pokłady stalowej waty. Z sosen skapywały brudne krople rosy, a na szarych twarzach nielicznych ludzi, którzy kręcili się poza domem, dzień odbijał się ponurymi spojrzeniami. Nie padały nawet przyjazne słowa powitania, zabrakło owej idealistycznej naiwności, która zawsze każe nam przypuszczać, że nowy dzień będzie lepszy od minionych.

Stary Roca widząc Torellego i jego uśmiech wszedł do domu i powiedział żonie: - Ten człowiek na pewno zabił i zjadł swoje dzieci, zobaczysz!

Torelli był szczęśliwy, ponieważ w jego kieszeni spoczywał złożony starannie cenny dokument. Ciągłe kładł rękę do kieszeni i dotykał złożonego papieru, aby się upewnić, czy go jeszcze ma. Dopiero szelest papieru go uspokajał. Idąc w szarzyźnie poranka, mruczał do siebie:

- Gniazdo węży. Wytrzebię tę zarazę przyjaciół Danny'ego. Nie dam im więcej wina za żadne rzeczy, które i tak mi potem kradną. Każdy z nich oddzielnie nie jest taki zły, ale wszyscy razem to źmije. Będziesz widziała, Madonno, jak ich wyrzucę na ulicę. Ropuchy, wszy, gryzące muchy! Nie będą tacy dumni, kiedy znowu zaczną spać w lesie. Ha, doczekałem triumfu, niech widzą! Myśleli, że mnie oszukają, że pozbawią mój dom mebli, a żonę cnoty. Zobaczą teraz, jak męczennik Torelli potrafi im odplacić.



Zobaczą!

Tak sobie mrucał pod nosem, a jego palce obejmowały szeleszczący papier w kieszeni. Z drzew skapywały w kurz drogi smutne krople, w powietrzu krążyły mewy tragicznym lotem. Torelli podszedł jak zły Los ku domowi Danny'ego.

W domu Danny'ego nastrój był ponury. Przyjaciele nie mogli siedzieć na ganku w słońcu, gdyż zabrakło słońca. Czyż może być lepszy powód do ponurego nastroju? Wyciągnęli skradziony piec z rowu i postawili go na miejsce. Obsiedli piec, a Johnny Pom-pom, który wpadł z wizytą, dzielił się przyniesionymi nowinami.

- Tito Ralph - mówił - już nie jest profosem aresztu miejskiego. Już nie. Dziś rano sędzia go zwolnił.

- Lubilem Tito Ralpa - powiedział Pilon. - Kiedy człowiek siedział w areszcie, Tito Ralph zawsze przynosił mu trochę wina..

I znał więcej opowieści niż stu innych ludzi. Dlaczego stracił pracę, Johnny Pom-pomie?

- Właśnie o tym wam chcę powiedzieć. Tito Ralph siedział często w areszcie i był dobrym więźniem. Wiedział, jak trzeba prowadzić areszt. I po pewnym czasie wiedział o tym więcej niż każdy inny. I wtedy umarł Daddy Marks, stary profos, i Tito Ralph objął jego posiadłość. Nie było lepszego profosa od Tito Ralpa. Wszystko robił dobrze. Ale miał jedną wadę. Kiedy pił wino, zapominał, że jest profosem. Uciekał z aresztu i musieli go łapać.

Przyjaciele skinęli głowami. - Słyszałem o tym - powiedział Pablo. - I słyszałem, że bardzo trudno go złapać. Umie się chować.

- Tak - ciągnął dalej Johnny Pom-pom. - Ale to najlepszy profos, jakiego mieliśmy. I właśnie przyszedłem wam opowiedzieć całą historię. Wczoraj wieczorem Danny miał tyle wina, że starczyłoby dla dziesięciu, ale wszystko sam wypił i zaczął na szybach malować obrazki. I był bardzo bogaty, bo kupił jajek, żeby nimi rzucać w Chińczyka. Jedno z jajek minęło Chińczyka i trafiło policjanta. Więc Danny poszedł do aresztu. Ale był bardzo bogaty i posłał Tito Ralpa po wino. W areszcie było czterech mężczyzn. Wszyscy pili wino. No i wtedy wyszła na wierzch ta wada Tito Ralpa. Uciekł z aresztu i tamci czterej też z nim uciekli. Złapano Tito Ralpa dzisiaj rano i powiedziano mu, że nie może już być dalej profosem. Tito Ralphowi zrobiło się tak smutno, że wybił szybę w sądzie i teraz siedzi w areszcie.

- Ale Danny! - wykrzyknął Pilon. - Co z Dannym?

- A, z Dannym! - odparł Johnny Pom-pom. - Danny uciekł. Nie złapali go.

Przyjaciele westchnęli oszołomieni.

- Danny robi się niedobry - stwierdził Pilon poważnie. - Danny nie skończy dobrze. Ciekaw jestem, skąd miał pieniądze?

W tej właśnie chwili triumfujący Torelli otworzył furtkę i poszedł ścieżką ku domowi. Zaniepokojone psy Pirata zerwały się i warcząc pobiegły do drzwi. Przyjaciele spojrzeli na siebie zdziwieni. Wielki Joe wziął do ręki rączkę kilofa, której przydatność w swoim czasie sprawdzono na nim. Ciężkie, pewne siebie kroki Torellego zadudniły na deskach ganku. Torelli otworzył drzwi i stanął w nich uśmiechnięty. Nie zaczął na nich krzyczeć. Podchodził delikatnie jak kot do myszy. I drażnił się z nimi łagodnie jak ten sam kot z kłębkim włóczki.

- A, przyjaciele! - odpowiedział na ich zaniepokojone spojrzenia. - Moi drodzy przyjaciele i klienci! Serce rozdziera mi ból, że muszę być zwiastunem złej wieści dla tych, których kocham.

Pilon się zerwał. - Danny? Jest chory, ranny? Powiedz!

Torelli zgrabnie potrząsnął głową. - Nie, moi mili, to nie chodzi o Danny'ego. Moje serce krwawi, ale muszę wam niestety powiedzieć, że dłużej tu mieszkać nie możecie.

- Jego wzrok z lubością ślizgał się po twarzach, na których odbiło się zdumienie. Wszystkie usta się otworzyły, wszystkie oczy patrzyły pytająco.

- Mówisz głupstwa. Dlaczego nie możemy tu dalej mieszkać?

- wykrzyknął Pablo.

Dłoń Torellego z rozkoszą zagłębiła się w kieszeń, palce wyciągnęły cenny dokument i pomachały nim w powietrzu.

- Z głęboką rozpaczą muszę wam wyznać, że ten dom nie należy już do Danny'ego.

- Co! - zawołali chórem. - Co przez to chcesz powiedzieć? Jakże to może być, że Danny nie jest już właścicielem swojego własnego domu? Mów szybko, korsykańska świno!

Torelli zachichotał tak okropnie, że *paisanos* cofnęli się od niego o krok. - Ponieważ ten dom należy do mnie! Danny przyszedł do mnie wczoraj wieczorem i sprzedał mi dom za dwadzieścia pięć dolarów. - Z szatańskim uśmiechem obserwował twarze przyjaciół.

„To kłamstwo - mówiły ich twarze. - Danny nie zrobiłby takiej rzeczy". A potem ich twarze powiedziały: „Danny ostatnio robił wiele złych rzeczy. Kradł nam wszystko. Może i sprzedał dom, nic nam nie mówiąc".

- To kłamstwo! - zawołał Pilon na głos. - Wstrętne makaroniar-skie kłamstwo.

Torelli uśmiechnął się i potrząsnął papierem. - Mam tutaj dowód

- powiedział. - Tutaj na tym dokumencie Danny się podpisał. To się nazywa umowa sprzedaży.

Torelli troszkę rozłożył papier. - Sądzę się tym zainteresuje - powiedział. - Tak więc, drodzy przyjaciele, moim strasznym obowiązkiem jest was powiadomić, że musicie opuścić mój dom. Mam dla niego inne przeznaczenie. - Z twarzy ustąpił mu uśmiech, natomiast wróciło całe okrucieństwo. - Jeśli nie wyjdziecie stąd do południa, przyślę policjanta.

Pilon spokojnie podszedł do Torellego. Strzeż się, Torelli, kiedy Pilon zbliża się do ciebie z uśmiechem na twarzy! Uciekaj, skryj się

za okutymi żelazem drzwiami i dobrze je zarygluj! - Ja nie rozumiem się na takich prawnych historiach - powiedział Pilon łagodnie. - Oczywiście, bardzo mi przykro, że Danny zrobił taką rzecz. Torelli znowu zachichotał.

- Ja nigdy nie miałem domu na sprzedaż - ciągnął Pilon. - Danny podpisał ten papier, tak?

- Tak - przedrzeźniał go Torelli. - Danny podpisał ten papier. Właśnie ten.

Pilon głupawo pytał dalej: -I ten papier stwierdza, że dom należy do ciebie?

- Tak, idioto. Ten papier stwierdza, że dom należy do mnie. Pilon wydawał się zdumiony. - Myślałem, że to trzeba zapisywać w specjalnych książkach.

Torelli roześmiał się zjadliwie. Uważaj, Torelli! Czyż nie widzisz przebiegłości tych węży? W jednych drzwiach stoi Jezus Maria, a w drugich, od kuchni, Pablo. Widzisz zbielejące napiętki Wielkiego Joe zaciśnięte na rączce od kilofa?

Torelli powiedział: - Nie znasz się na sprawach interesu, żebraku i włóczęgo. Kiedy stąd wyjdę, pójdę do sądu i...

Stało się to tak szybko, że ostatnie słowa zgasły Torellemu na wargach, a już machał nogami w powietrzu. Upadł z głuchym łoskotem na ziemię i tłustymi łapami zaczął chwycić powietrze. Usłyszał szczęk pokrywy pieca.

- Złodzieje! - wrzasnął. Krew napłynęła mu do twarzy i karku.

- Złodzieje, szubrawcy, psy, oddajcie mi mój papier! Pilon, który stał już przed Torellem, bardzo się zdziwił.

- Papier? - spytał grzecznie. - O jakim dokumencie mówisz tak namiętnie?

- O dokumencie nabycia domu. Powiem wszystko na policji.

- Nie przypominam sobie żadnego papieru - powiedział Pilon.

- Pablo, może ty coś wiesz o papierze, o którym wspomina Torelli?

- Czy chodzi o papier gazetowy, czy o bibułki do papierosów? - spytał Pablo.

Pilon dalej przesłuchiwał przyjaciół: - A ty, Pom-pomie? Wiesz coś o papierze?

- Może jemu się coś śni - podsunął nową myśl Johnny Pom-pom.

- Jezusie Mario, wiesz coś o jakimś papierze?

- On jest chyba pijany - stwierdził Jezus Maria zgorszonym głosem. - A to przecież zbyt wcześnie rano, żeby się upijać.

- Joe Portugalczyk?

- Mnie tu nie było - odparł Joe. - Dopiero co wszedłem.

- Pirat?

- Nie mam żadnego papieru. - Pirat obrócił się do psów: -A wy?

Pilon obrócił się do Torellego, który wyglądał jak trafiony apopleksją.

- Widzisz więc, przyjacielu: ja sam mogłem się mylić co do papieru, ale okazuje się, że z wszystkich obecnych tylko tobie się zdawało, że miałeś papier. Czy wobec tego możesz mieć do mnie pretensję, że wątpię, abyś w ogóle miał jakikolwiek papier? Może powinienes położyć się do łóżka i trochę odpocząć.

Torelli zupełnie ogłuszony nie potrafił nawet dalej krzyżeć. Podnieśli go, obrócili, pomogli wyjść z domu, i wysłali szybko w powrotną drogę, podczas której mógł rozmyślać o ogromie swej klęski.

A potem spojrzeli na niebo i ucieszyli się, bo słońce znowu zaczęło szamotać się z mgłą i tym razem wywalczyło sobie przejście przez szarą gęstą watę. Przyjaciele nie wrócili już do domu. Usiedli szczęśliwi na ganku.

- Dwadzieścia pięć dolarów - powiedział Pilon. - Ciekaw jestem, co on zrobił z pieniędzmi.

Słońce raz zwyciężywszy mgłę spędzało ją teraz z całego nieba. Deski ganku rozgrzewały się, muchy bzykały w jasnych promieniach. Przyjaciele byli wyczerpani.

- Już mogło być z nami źle - zauważył Pablo. - Danny nie powinien robić takich rzeczy.

- Ale od dziś zawsze powinniśmy kupować wino u Torellego, żeby mu jakoś wynagrodzić stratę domu - zaproponował Jezus Maria.

Mały ptak usiadł na krzaku róży i machał ogonkiem. Nowe kury pani Morales śpiewały swój codzienny hymn do słońca. Psy biegały po podwórku, w skupieniu drapały się i iskały ogony.

Słyszac kroki na drodze, przyjaciele podnieśli głowy i po chwili wstali. Na ich twarzach malował się uśmiech powitania. Przez furtkę wszedł Danny w towarzystwie Tito

Ralpa, a każdy z nich niósł po dwie ciężkie torby. Jezus Maria jak strzała wbiegł do domu i wyniósł słoiki po komfiturach. Przyjaciele zauważyli, że Danny stawiając torby na ganku, sprawia wrażenie trochę wyczerpanego.

- Ale się człowiek napoci, wdrapując na to wzgórze.

- Tito Ralph! - wykrzyknął Johnny Pom-pom. - Słyszałem, że siedzisz w areszcie.

- Uciekłem - powiedział z dumą Tito Ralph. - Przecież miałem jeszcze klucze.

Napełniono po brzegi słoiki. Przyjaciele odetchnęli głęboko i głośno, odetchnęli z ulgą ludzi, którzy wiedzą, że skończyły się kłopoty.

Pilon pociągnął parę łyków. - Danny, ta świnka Torelli był tutaj dziś rano i opowiadał różne kłamstwa. Miał papier i mówił, że go podpisałeś.

Danny zmieszał się. - Gdzie jest ten papier? - spytał.

- Papier? Myśmy wiedzieli, że Torelli kłamie, więc spaliliśmy ten papier. Nie podpisywałeś go, prawda?

- Nie - odparł Danny i wysączył do dna słoik.

- Dobrze byłoby coś zjeść - zauważył Jezus Maria.

Danny uśmiechnął się słodko. - Byłbym zapomniał. W tamtej torbie są trzy kury i trochę chleba.

Tak wielkie było odprężenie i zadowolenie Piona, że wstał i wygłosił małe przemówienie. - Czy jest drugi taki przyjaciel jak nasz Danny? - zapytał. - Zaprasza nas z zimnego lasu do swojego domu. Dzieli się z nami jazdzeniem, dzieli się winem. Pijmy za zdrowie naszego dobrego przyjaciela, Danny'ego!

Danny był bardzo zakłopotany. Spojrzał na deski ganku. - To przecież głupstwo - powiedział - bez znaczenia.

Ale radość Piona była wielka i obejmowała cały świat, nawet jego złe duchy. - Musimy kiedyś sprawić Torellemu jakąś przyjemność - powiedział.

## **Rozdział 16**

*O smutku Danny'ego, o tym jak pełni  
poświęcenia przyjaciele Danny'ego wydali  
przyjęcie i jak Danny stał się tylko symbolem*

Danny, wróciwszy po swoich szaleństwach do domu i do przyjaciół, nie miał wyrzutów sumienia, czuł tylko wielkie zmęczenie. Ostre pazury gorzkiego doświadczenia

rozdrapały mu duszę. Żył teraz w zupełnej apatii, wstając z łóżka tylko po to, żeby usiąść na ganku pod krzakiem kastylskiej róży, wstając od stołu tylko po to, żeby pójść spać. Żadne rozmowy go nie interesowały, słuchał ich obojętnie. Kornelia Ruiz miała wspaniałą serię nowych mężów, ale nie zrobiło to żadnego wrażenia na Dannym. A gdy któregoś wieczoru Wielki Joe położył się do łóżka Danny'ego, Danny ustosunkował się do tego tak obojętnie, że Wielkiego Joego musieli pobić Pilon i Pablo. Kiedy Sammy Rasper, uroczyście obchodząc Nowy Rok strzelaniem i galonem whisky, zabił przy okazji krowę i poszedł do aresztu, Danny nawet nie włączył się do dyskusji o moralnej stronie całej sprawy, chociaż wokół niego ścierały się sprzeczne zdania i chociaż wielokrotnie błagano go o rozstrzygnięcie sporu.

Po pewnym czasie przyjaciele zaczęli martwić się Dannym.

- Danny się zmienił - powiedział Pilon. - Postarzał.

Jezus Maria postawił diagnozę: - Danny nagromadził wszystkie uciechy życia w trzy tygodnie i jest chory z nadmiaru przyjemności.

Na próżno przyjaciele usiłowali rozwiązać apatię Danny'ego. Rano na ganku opowiadali najśmieszniejsze ze znanych im historii. Z najdrobniejszymi szczegółami referowali sprawy seksualnego życia Tortilla Flat, czyniąc to tak wnikliwie, że z pewnością zainteresowałyby się tym niejeden student psychologii. Pilon szperał po całym Tortilla Flat za nowinami. Ale pomimo że znosił do domu nawet najdrobniejsze, zaledwie kielkujące wiadomości, mogące jednak zainteresować wielu, z oczu Danny'ego nie zniknęło zniechęcenie i obojętność.

- Nie jesteś zdrowy - mówił mu Jezus Maria. - W twoim sercu tkwi cierń gorzkiej tajemnicy.

- Nic mi nie jest - odpowiadał Danny.

Zauważono, że muchy mogą teraz długo chodzić bezkarnie po nogach Danny'ego, a kiedy je wreszcie odpędza, w uderzeniu nic ma tej precyzji, co dawniej. Powoli w domu Danny'ego umilkły wesołe głosy i swobodny śmiech i powoli rozlewało się czarne jezioro ponurej ciszy.

Przykro było patrzeć na tego Danny'ego, który niegdyś walczył nawet o beznadziejne sprawy, który potrafił wypić tyle, co najtęższy pijak na świecie, który jak rozdrażniony tygrys odpowiadał na zew miłości. Teraz Danny siedział w słońcu na ganku, nogi w bawełnianych niebieskich spodniach podciągał pod brodę, ręce opuszczał bezwładnie, dłonie i przeguby miał zwiotczałe, głowę pochylał nisko, jakby pod ciężarem czarnych myśli. W oczach zgasł mu płomień pragnienia, niezadowolenia, radości i bólu nawet.

Biedny Danny, jakże życie cię oszukało! Siedzisz na tym ganku jak pierwszy człowiek na ziemi, dokoła którego nie kwitnie jeszcze życie, i jak ostatni człowiek na ziemi, kiedy ziemia przestała już być kolebką natury. Ale patrz, Danny, nie jesteś przecież sam! Twoi przyjaciele cierpią nad tobą. Patrz, jak na nich to się odbija. Spoglądają na ciebie spod oka. Czekają jak psy gotowe się zerwać na znak pana i polecieć za nim. Jedno weselsze słowo z twoich ust, Danny, jedno weselsze spojrzenie, a psy zaszczekają i zaczną wymachiwać ogonami. Twoje życie należy nie tylko do ciebie, nie wolno ci tak postępować, twoje życie rządzi ich życiem. Nie widzisz, jak twoi przyjaciele cierpią? Otrząśnij się, Danny, zacznij żyć, aby żyć mogli znowu i twoi przyjaciele.

To powiedział Pilon, chociaż mową nie tak piękną. Nie, Pilon po prostu wyciągnął do Danny'ego słoik po konfiturach i powiedział: - Chodź! Dźwignij dupę - powiedział.

Danny wziął od niego słoik i wypił do dna. Potem rozłożył się z powrotem na deskach i ruszył w dalsze poszukiwanie swojej emocjonalnej nirwany. - Boli cię gdzieś? - spytał Pilon.

- Nie - odparł Danny.

Pilon nalał mu następny słoik wina i obserwował twarz Danny'ego, gdy wino znikało. Oczy Danny'ego straciły swoją matowość. Gdzieś w głębi na chwilę obudził się dawny Danny. Zabił muchę trzepnięciem godnym mistrza.

Powoli na twarz Pilona wypłynął uśmiech. A później Pilon zebrał wszystkich przyjaciół - Pabla, Jezusa Marię, Wielkiego Joe, Pirata, Johnny'ego Pom-poma i Tito Ral-pha.

Zaprowadził ich do parowu za domem.

- Dałem Danny'emu resztę wina i bardzo mu to dobrze zrobiło. Danny potrzebuje teraz dużo wina, a może i gości. Skąd możemy dostać wina?

Ich myśli zaczęły krążyć wokół wszystkich możliwości Monterey, krążyły wokół nich jak terier wokół stodoły. Ale w stodole nie było szczurów. Przyjaciele jednak znajdowali się pod naciskiem altruizmu silniejszego, niż to sobie można wyobrazić. Przyjaciele kochali Danny'ego.

Wreszcie odezwał się Jezus Maria. - Czin Ki potrzebuje pakowaczy.

Ich umysły zamarły na chwilę, potem obróciły się ciekawie i obwąchały propozycję, znowu się cofnęły, obwąchały ją drugi raz. Minęło wiele sekund, nim zaskoczona wyobraźnia zdołała się przyzwyczaić do tej propozycji. „Właściwie dlaczego nie - zadawały sobie milczące pytanie. - Jeden dzień człowiek wytrzyma. Tylko jeden dzień”.

Na twarzach widać było dokładnie przebieg staczanej walki, drobne porażki lęków i

troskę o zdrowie Danny'ego.

- Zrobimy to - powiedział Pilon. - Rano wszyscy pójdziemy do Monterey pracować u Czin Ki, a wieczorem urządzimy przyjęcie dla Danny'ego.

Kiedy następnego dnia Danny się obudził, stwierdził, że dom jest pusty. Wstał z łóżka i obejrzał pokoje. Nie znalazł nikogo. Ale Danny nie należał do ludzi, którzy długo roztrząsają jeden problem. Porzucił więc i ten, a potem, powodowany nagłą myślą, poszedł na ganek i zniechęcony usiadł.

Czy to nagłe przeczucie, Danny? Czy nagle ogarnął cię strach przed losem, który zbliża się nieuchronnie? Czy w sercu nie masz już żadnej radości? Nie. Danny wpadł w nastrój najwyższej melancholii, tej samej melancholii, jaka gnębiła go od tygodnia.

Ale na Tortilla Flat wrzało. Już z samego rana zaczęto powtarzać: - Przyjaciele Danny'ego pracują u Czin Ki. - Była to sensacja tej rangi, co wiadomość o obaleniu rządu albo zakłóceniach w układzie słonecznym. Mówiono o tym na ulicach, wołano przez płoty do dam, które właśnie spieszyły, aby powtórzyć to sąsiadkom. - Wszyscy przyjaciele Danny'ego pracują u Czin Ki.

Ranek był naelektryzowany podnieceniem, musi być jakiś powód, kryje się w tym jakaś tajemnica, dlaczego oni pracują? Matki wysyłały dzieci na podwórze Czin Ki. Młode matrony czekały za firankami na ostatnie wiadomości. I wiadomości nadchodziły.

- Pablo zaciął się w rękę nożem.
- Czin Ki kopnął psy Pirata.
- Bunt pracujących.
- Psy wróciły.
- Pilon ma skrzywioną i zaciętą twarz.

Poczyniono parę drobnych zakładów. Od wielu miesięcy nic nie wzbudziło w Tortilla Flat podobnego zainteresowania. Przez cały ranek nikt nawet nie wspomniał Kornelii Ruiz. Dopiero koło południa przysły pierwsze sprawdzone wiadomości i potem potoczyły się już lawiną.

- Przyjaciele wydają wielkie przyjęcie dla Danny'ego.
- Wszyscy mają przyjść.

Z podwórka Czin Ki zaczęły płynąć polecenia. Pani Morales odkurzyła swój gramofon i wybrała najgłośniejsze płyty. Przypadkowa iskra rozpała olbrzymi ogień i całe Tortilla Flat huczało: „Co, siedmiu przyjaciół wydaje przyjęcie dla Danny'ego? Nie, to nieprawda, że Danny ma tylko siedmiu przyjaciół!”. Pani Soto zorganizowała nalot na swój kurnik, pani Palochico wysypała torbę cukru do największego garnka, aby zrobić



karmel, delegacja dziewcząt z Monterey udała się do domu towarowego w Monterey i zakupiła pełen asortyment kolorowych bibulek. W całym Tortilla Flat słychać było strojenie gitar i harmonii.

Nowe wiadomości! Nowe wiadomości z podwórka Czin Ki! Przyjaciele są zdecydowani wytrwać przy pracy do wieczora. Zarobią co najmniej czternaście dolarów. A więc czternaście galonów wina jest pewne.

Torelli miał pełne ręce roboty. Każdy chciał zanieść Danny'emu galon wina. Nawet sam Torelli, uwijając się jak potępieniec, powiedział do żony: - Może i ja pójdę do Danny'ego i zaniosę parę galonów wina moim przyjaciołom?

Całe popołudnie nowe fale podniecenia spływały na Tortilla Flat. Odpakowywano i wywieszano do przewietrzenia suknie nie noszone od poprzedniego pokolenia. Szale, o których od dwustu lat marzyły mole, wisiały na balustradach ganków, wydzielając ostry zapach naftaliny.

A Danny? Danny siedział na ganku, człowiek złamany życiem, i obracał się wraz ze słońcem. Jeśli nawet zdawał sobie sprawę, że w ciągu popołudnia koło jego furtki przedfilowali wszyscy mieszkańcy Tortilla Flat, nie okazywał tego. Co najmniej dwadzieścia par oczu obserwowało furtkę. Około czwartej po południu Danny wstał, przeciągnął się i powłókł wolno w kierunku Monterey.

Stojący za furtką ledwie mogli doczekać się, by Danny zniknął im z oczu. Ach, te łańcuchy z zielonych, czerwonych i żółtych bibulek! Struganie świec i strużyny wosku na ziemi. I rozszalałe dzieci wcierające wosk w podłogę.

Zjawilo się jedzenie: misy ryżu, garnki dymiącej potrawy z kur, pierogi, których wielkością można było się przerazić. I wino! Galony i galony wina. Martinez wydobyl beczułkę kartoflanej whisky spod kupy nawozu i zaniósł ją do domu Danny'ego.

O piątej trzydzieści przyjaciele wymaszerowali na wzgórze, zmęczeni i pokaleczeni, ale szczęśliwi. Pewno tak wyglądała stara gwardia wkraczając po Austerlitz do Paryża. Zobaczyli dom kwitnący wszystkimi kolorami bibulek. Uśmiechnęli się radośnie i opuściło ich całe zmęczenie. Byli tacy szczęśliwi, że do oczu napłynęły im łzy.

Na podwórko wskoczyła mama Chipa, a za nią dwaj synowie niosący wianienkę *salsa pura*. Paulito, ten bogaty nicpoń, podkładał ogień pod wielki gar fasoli i *chili*. Krzyki, śpiewy, wrzaski kobiet, ogólna wrzawa podnieconych dzieci.

Z Monterey przyjechał samochód zaniepokojonych policjantów. -A, to tylko przyjęcie! Dobra, napijemy się szklaneczkę wina. Tylko się nie pozabijajcie!

Gdzie jest Danny? Samotny jak dym z komina w zimną bezchmurną noc błądzi ulica-

mi Monterey. Idzie na pocztę, potem na stację kolejową, potem do spelunek gry przy Alvarado Street, potem na molo, gdzie między palami chlupocze czarna woda. Co tobie, Danny? Dlaczego jesteś taki smutny i przygnębiony? Danny nie wie. W sercu czuje ból, jak przy pożegnaniu ukochanej kobiety. I nieokreślony żal, jesienny żal. Idzie koło restauracji. Dawniej • w tym miejscu z wielkim zainteresowaniem pociągał nosem. Przechodzi koło zakładu Madam Zuca i nawet nie wymienia lubieżnych gestów z dziewczętami w oknach. Wraca na molo. Pochyliła się nad balustradą i patrzy w głęboką, bardzo głęboką wodę. Czy widzisz, Danny, jak wino twojego życia leje się do słoików po konfiturach, z których piją bogowie? Czy widzisz w wodzie między palami procesję dni twojego życia? Danny stoi bez ruchu, wpatrzony w wodę. Kiedy się ściemniło, w domu Danny'ego wszyscy zaczęli się niepokoić. Gdzie jest Danny? Przyjaciele zostawili gości i poszli do Monterey. Zaczęli pytać: - Nie widzieliście Danny'ego?

- Widzieliśmy, Danny przechodził tędy godzinę temu. Szedł wolno.

Pilon i Pablo szukali razem. Wpadli na trop Danny'ego i szli nim dalej, wreszcie go zobaczyli na samym końcu ciemnego molo, oświetlonego nikłym światelkiem lampy portowej. Podeszli do niego.

Pablo nie powiedział tego od razu, ale potem, kiedy mówiono o Dannym, miał zwyczaj opisywać dokładnie, co wtedy zobaczył i jak z Pilonem szedł pustym molo w kierunku Danny'ego. „Stał sobie zwyczajnie - opowiadał Pablo. - Widziałem go wyraźnie. Oparły o balustradę. Spojrzałem uważnie i wtedy zobaczyłem coś jeszcze. Najpierw myślałem, że to ciemna chmura nad głową Danny'ego. Dopiero potem zobaczyłem, że to wielki czarny ptak, tak wielki jak człowiek. Wisiał w powietrzu jak jastrząb nad jamą królika. Przeżegnałem się i odmówiłem dwie Zdrowaś Maria. Kiedy podeszliśmy do Danny'ego, ptak zniknął”.

Pilon nic wtedy nie widział. Co więcej, Pilon nie przypominał sobie, żeby Pablo się żegnał i odmawiał Zdrowaś Maria. Ale nigdy nie zaprzeczał otwarcie prawdziwości słów Pabla, gdyż to była opowieść Pabla.

Podeszli szybko do Danny'ego. Ich kroki głucho dudniły na deskach pomostu. Danny nawet się nie obrócił w ich kierunku, wzięli go więc pod ramię i sami obrócili.

- Danny, co ci jest?

- Nic mi nie jest.

- Jesteś chory, Danny?

- Nie.

- Więc dlaczego jesteś taki smutny?
- Nie wiem - odparł Danny. - Tak się jakoś czuję. Nie chce mi się nic robić. Nie mam na nic ochoty.
- Może doktor by coś poradził, Danny?
- Mówię wam, że nie jestem chory.
- Więc słuchaj! - wykrzyknął Pilon. - Urządziliśmy przyjęcie na twoją cześć! Przyszli wszyscy z całego Tortilla Flat. Mamy muzykę, wino i kury. Mamy dwadzieścia, a może i trzydzieści galonów wina. I wiszą kolorowe łańcuchy. Nie chcesz przyjść?

Danny oddychał głęboko. Jeszcze raz rzucił okiem na ciemną, głęboką wodę. Może szeptał bogom obietnice albo rzucał wyzwanie.

Potem spojrział na przyjaciół. Oczy płonęły mu gorączką. - Oczywiście, że chcę iść. Spieszmy się. Chce mi się pić. Są dziewczyny?

- Jeszcze ile. Wszystkie dziewczyny z Tortilla Flat.
- No to chodźmy. Spieszmy się.

Szybkim krokiem prowadził ich pod górę. Już słyszeli słodkie tony muzyki i podniecone, szczęśliwe głosy, które spływały ku nim między drzewami. Wbiegli na podwórko zdyszani. Danny podniósł głowę i zawył jak kojot. Wyciągnęły się ku niemu ręce ze słoikami. Danny łyknął z każdego po kolei.

To było dopiero przyjęcie! Potem, kiedy ktoś mówił w podnieceniu o jakimś przyjęciu, ktoś inny zawsze wtrącał z pełnym uszanowaniem: „A pamiętasz to przyjęcie u Danny'ego?”. I jeśli pierwszy rozmówca nie był nowym przybyszem w tych stronach, oczywiście odpowiadał, że pamięta. To było przyjęcie! Potem nikt nigdy nie próbował wydać świetniejszego. Taka rzecz była nie do pomyślenia. Przyjęcie u Danny'ego zostało wyniesione ponad wszelkie kryteria porównawcze z innymi przyjęciami kiedykolwiek mającymi miejsce. Każdy mężczyzna opuszczający tego dnia dom Danny'ego wynosił pełne chwały okaleczenia i zadrapania. Tyłoma bójkami nie mogło poszczycić się żadne inne przyjęcie. Były to nie tylko bójki między pojedynczymi mężczyznami, ale kipiące potyczki tłumów, w których każdy walczył we własnym imieniu.

I te śmiechy kobiet! Niskie i wysokie, i ostre jak odgłos diamentu na szkle. I pełne kobiecości wrzaski protestu dobiegające z parowu. Ojciec Ramon był głęboko wstrząśnięty podczas spowiedzi w następnym tygodniu. Cała szczęśliwa dusza Tortilla Flat wyrwała się z wszelkich więzów i poszybowała ku niebiosom jak jeden wielki ptak w ekstazie. Tańczono do upadłego, aż zarwała się podłoga w rogu pokoju. Harmonie grały tak głośno, że straciły ciąg i już nigdy później nie można było wyciągnąć z nich

podobnych tonów.

Tak jak przyjęcie u Danny'ego nie miało sobie równego, tak i Danny pobił wszelkie rekordy bawienia się. I również gdy potem jakiś głupiec pytał podniecony: „Widziałeś mnie? Widziałeś, jak prosiłem tę czarną dziwkę do tańca? Widziałeś, jak się gnietliśmy jak marcowe koty?”, obracało się ku niemu surowe oko i głos, znający dobrze granice wszelkiej możliwości, zapytywał spokojnie: „A widziałeś Danny'ego podczas przyjęcia?”.

Historyk napisze kiedyś zimną, suchą, naukową historię przyjęcia. I nawiązując do chwili, kiedy to Danny wyrwał nogę od stołu i natarł z nią na wszystkich obecnych - mężczyzn, kobiety i dzieci - tenże historyk spróbuje wysnuć taki wniosek: „Stwierdzono, że obumierający organizm zdolny jest do nadzwyczajnych objawów siły i wytrzymałości”. A nawiązując do nadludzkich możliwości seksualnych Danny'ego tego wieczoru, ten sam krytyk napisze trzęsącą się ręką: „Kiedy żyjący organizm znajduje się w niebezpieczeństwie swego istnienia, wszystkie jego wysiłki koncentrują się na problemie reprodukcji”.

Ale ja twierdzę, i twierdzić to będą wszyscy mieszkańcy Tortilla Flat: „Do diabła z teoriami. Danny to wielki człowiek”. Nikt dokładnie nie liczył, później zaś oczywiście żadna dama nie miała ochoty się przyznać, że Danny ją pominął, tak więc reputacja Danny'ego została być może troszeczkę przesadzona. Zresztą, jeśli nawet tylko jedna dziesiąta tego, co mówiono, była prawdą, Danny uczynił więcej, niż potrafiłby uczynić inny człowiek na świecie.

Gdziekolwiek Danny się ruszył, szło za nim szaleństwo. Twierdzono uporczywie w Tortilla Flat, że tego wieczoru Danny sam wypił trzy galony wina. Trzeba jednak pamiętać, że obecnie Danny jest bogiem. Za parę lat ludzie będą mówić, że wypił trzydzieści galonów. A za dwadzieścia lat wszyscy dokładnie będą sobie przypominać, że rozbłysły na niebie chmury, układając się w świetlisty napis DANNY, z księżycą kapaly wielkie krople krwi, natomiast Wilk Świata zawył proroczko z Mlecznej Drogi.

Po paru godzinach niektórzy z tych, co zbudowani byli z mniej odpornej materii od Danny'ego, zaczęli się załamywać. Pozostali krzyczeli tym głośniejszym, bili się z jeszcze większą zaciętością, tańczyli tym wytrwalej.

W Monterey zapuszczano motory samochodów straży pożarnej i trzymano je cały czas na wolnych obrotach, strażacy zaś w czerwonych blaszanych hełmach i płaszczach nieprzemakalnych czekali w pogotowiu.

Noc minęła szybko, a Danny dalej wodził rej na swoim przyjęciu.

Wypadki, jakie potem nastąpiły, potwierdziło wielu świadków, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. I chociaż wartość tych słów jest często podważana na tej zasadzie, że przedtem wypili trzydzieści galonów wina i beczułkę kartoflanej whisky, wszyscy zgadzają się w głównych punktach. Oczywiście, potrzeba było wielu tygodni, aby skompletować wszystkie szczegóły opowieści, gdyż w drobiazgach jedni mówili jedno, a inni drugie, ale powoli wyłonił się kształt wiarygodny, jaki nie powinien ulec żadnej zmianie i nie ulegnie jej. Danny, mówią mieszkańcy Tortilla Flat, nagle zaczął się zmieniać. Wyrósł, zrobił się straszny. Z oczu były mu snopy światła jak z reflektorów samochodu. Budził grozę. Stał pośrodku pokoju i w prawej ręce trzymał nogę stołową, która także wielokrotnie urosła. Danny wyzwiał cały świat.

- Kto będzie się bił? - zagrzemiał. - Czy nie ma już na świecie ani jednego odważnego człowieka? - Nikt z obecnych nie był odważny. Olbrzymia, straszna, jakby żywa noga stołowa siała postrach i paraliżowała wolę wszystkich. Danny wywijał nogą na wszystkie strony. Przerwano tańce. Do pokoju wkradł się chłód, potem osiadła cisza tak wielka, że zdawała się szumieć jak fale milczącego oceanu.

- Nie ma nikogo? - zawył Danny. - Jestem więc sam na całym świecie? Nikt nie chce się bić? - Ludzie kurczyli się pod jego strasznym spojrzeniem, zastygli wpatrzeni w drogę, jaką noga stołowa kreśliła w powietrzu. Nikt nie przyjął wyzwania.

Danny wyprostował się. Mówiono, że głową sięgał prawie do powały.

- Więc ja pójdę do tego, który potrafi walczyć. Znajdę Wroga, który godny jest stanąć do walki z Dannym. - Zatoczył się na drzwi. Przerażeni ludzie rozstąpili się. Danny musiał schylić głowę, żeby minąć drzwi. Ludzie stali nieruchomo, wyjęzając słuch.

Słyszeli, jak przed domem powtarza straszliwe słowa wyzwania, słyszeli świst nogi stołowej przecinającej powietrze jak meteor, słyszeli odgłos kroków biegnących przez podwórze. A potem, zza domu, z parowu, dobiegł ich głos przyjmującego wyzwanie, głos tak przerażający, że włosy zjeżyły im się na głowie. Nawet teraz, kiedy ludzie mówią o Przeciwniku Danny'ego, pochylają głowy i oglądają się z niepokojem. Potem usłyszeli jeszcze, jak Danny naciera, usłyszeli ostatnie wyzwanie i głuchy łoskot. I potem nastąpiła cisza.

Czekali długo, wstrzymując oddechy, aby nagły odpływ powietrza z płuc nie zatarł im jakiegoś echa. Ale słuchali na próżno. Noc milczała, zbliżał się szary świt.

Pilon przerwał ciszę. - Stało się coś złego - powiedział. I Pilon pierwszy wybiegł na dwór. Odważny człowiek, lęk go nie powstrzymał.

Za nim poszli ludzie. Poszli na tyły domu, gdzie przedtem słyszeli kroki Danny'ego.

Ale nie zobaczyli Danny'ego. Stanęli nad skrajem parowu, skąd schodziła kręta ścieżka na samo dno łożyska rzeki, gdzie od wielu pokoleń nie płynęła żadna rzeka. Ludzie zobaczyli, że Pilon zbiega krętą ścieżką. Poszli za nim i na dnie parowu znaleźli połamane i pokrecone ciało Danny'ego. Spadł z czterdziestu stóp. Pilon pochylił się nad nim i zapalił zapałkę.

- Chyba jeszcze żyje - powiedział. - Lećcie po doktora. Lećcie po ojca Ramona.

Ludzie się rozbiegli. W ciągu piętnastu minut rozgorączkowani *paisanos* obudzili i wyciągnęli z łóżek czterech lekarzy. Lekarzom nie pozwolono na żadne popisy opanowania, które oni tak lubią okazywać, aby dowieść, że nie są niewolnikami uczuć. Popędzano ich, popychano, pociągano, wpychano do ręki torby lekarskiej, a nikt nie potrafił im wytłumaczyć, co się właściwie stało. Ojciec Ramon, także wyciągnięty z łóżka, przybiegł zdyszany na wzgórze, nie wiedząc, czy ma wypędzać diabła, chrzcic przed śmiercią noworodka czy też asystować przy linczu. Pilon, Pablo i Jezus Maria wynieśli Danny'ego z parowu i położyli go na łóżku. A potem obstawili świecami. Danny z trudem oddychał.

Najprzód zjawili się lekarze. Obrzucili się podejrzliwymi spojrzeniami i zaczęli zastanawiać się nad pierwszeństwem. Ale ta chwila zwłoki wywołała w oczach obecnych niebezpieczne błyski. Krótco badali Danny'ego. Skończyli jeszcze przed zjawieniem się ojca Ramona.

Nie wejdę do pokoju z ojcem Ramonem, gdyż byli tam już Pilon, Pablo, Jezus Maria, Wielki Joe, Johnny Pom-pom, Tito Ralph, Pirat i jego psy. I oni stanowili przecież rodzinę Danny'ego. Drzwi zostały i nadal są zamknięte. Mimo wszystko istnieje męska duma, a poza tym w niektóre sprawy nie należy niepotrzebnie wtykać nosa.

W drugim wielkim pokoju, tak zatłoczonym, że nie było czym oddychać, czekali mieszkańcy Tortilla Flat. Panowało straszliwe napięcie, śmiertelna cisza oczekiwania. Ksiądz i lekarze mają sposób milczącego przekazywania myśli. Kiedy ojciec Ramon wyszedł z pokoju Danny'ego, na jego twarzy nie było żadnej zmiany, ale kobiety natychmiast wybuchnęły głośnym, straszliwym płaczem. Mężczyźni przestępowali z nogi na nogę, jak konie w boksie, a potem poszli w świat. Drzwi do sypialni Danny'ego pozostały zamknięte.

## **Rozdział 17**

*O tym jak nieutuleni w żalu przyjaciele Danny'ego*

*zakłócili tradycję, jak symbol świętej przyjaźni został  
spalony i jak przyjaciele się rozeszli każdy w swoją stronę*

Śmierć jest sprawą osobistą, wzbudza rozpacz, żal, podniecenie albo daje początek filozoficznym rozmyśleniom. Z drugiej strony pogrzeby są wydarzeniem towarzyskim. Czy kto jedzie na pogrzeb nie umywszy brudnej maski samochodu? Czy kto staje nad skrajem grobu w innym garniturze niż najlepszy, jaki posiada? Czy kto wysyła na pogrzeb kwiaty, nie doczepiając kartki świadczącej, że wykonał swój obowiązek? Żadnej uroczystości towarzyskiej nie towarzyszą tak surowe rygory zachowania jak pogrzebowi. Na pewno byście się oburzyli, gdyby ksiądz na ambonie zaczął sypać dowcipami albo wykrzywił twarz. Rozważcie swoje zgorszenie, gdyby w kaplicy pogrzebowej stały nie składane żółte foteliki tortur z twardymi siedzeniami, a inne krzesła. Tak, człowieka umierającego może otaczać aureola nienawiści, miłości albo litości obecnych, ale umarły od razu się staje główną ozdobą bardzo skomplikowanego i sztywnego obrządku.

Danny umarł. Umarł dopiero przed dwoma dniami, a już przestał być sobą. Chociaż twarze ludzi pokrywała przyzwoita maska smutku, w sercach gościło podniecenie. Rząd obiecał wojskowy pogrzeb wszystkim swoim synom, ekszołnierzom, jeśli sobie będą tego życzyli. Danny był pierwszym kandydatem z Tortilla Flat i Tortilla Flat oczekiwało krytycznie próby rządowych obietnic. Zawiadomiono Presidio i na zlecenie i koszt Presidio ciało Danny'ego zostało przygotowane do pogrzebu. Pomalowana trumna przykryta flagą spoczywała w szopie miejscowej jednostki artylerii, wydano już nawet rozkazy na piątek:

„Dziesiąta do jedenastej - pogrzeb. Eskorta: pierwszy szwadron jedenastego pułku, pluton honorowy". Czy to mało, by skłonić

wszystkie kobiety z Tortilla Flat do pospiesznych zakupów w wielkim domu towarowym? W ciągu dnia smagłe dzieci obchodziły ulice Monterey, wyprasząc z ogrodów kwiaty na pogrzeb Danny'ego. Pod osłoną nocy te same dzieci odwiedzały te same ogrody, aby powiększyć swoje bukiety.

Na przyjęcie u Danny'ego wszyscy mieli na sobie najlepsze ubrania. Teraz przez dwa dni pozostałe do pogrzebu trzeba było je oczyścić, wyprać, nakrochmalić, poreperować, wyprasować. Panował gorączkowy ruch i wielkie podniecenie.

Wieczorem dnia poprzedzającego pogrzeb przyjaciele zebrali się w domu Danny'ego. Pierwszy wstrząs i wino przestały działać. Byli teraz w bezdennej rozpacz, że oni je-

dyni w Tortilla Flat, oni, którzy najbardziej kochali Danny'ego, którzy najwięcej dobrego doświadczyli z jego rąk, oni, *paisanos*, są jedynymi, którzy nie mogą się udać na pogrzeb Danny'ego. Mimo częściowego oświecenia uświadamiali sobie i poprzednio straszną tragedię ich życia, ale dopiero tego wieczoru zrozumieli jej ogrom. Nawet w normalnych czasach ich ubrania znajdowały się w stanie, który trudno opisać, a po przyjęciu spodnie i niebieskie koszule postarzały się o parę lat. Kiedy znów pękł ten szew na kolanie? Kiedy rozerwała się koszula? Gdyby to umarł ktokolwiek inny, mogliby tu i tam pożyczyć części garderoby, ale teraz w całym Tortilla Flat nie znaleźliby nikogo, kto nie szedł na pogrzeb w najlepszym ubraniu. Tylko Cocky Riordan miał zostać w domu i to z powodu kwarantanny po ospie, a więc i jego ubranie też odbywało kwarantannę. Można wyzebrać albo ukraść dość pieniędzy, żeby kupić jedno dobre ubranie, ale gdzie w tak krótkim czasie ukraść pieniądze na sześć ubrań?

Może powiecie, że przyjaciele nie kochali Danny'ego na tyle, by udać się na jego pogrzeb w lachmanach? A czy wy poszlibyście w lachmanach, gdyby wasz sąsiad ustroił się z wyszukaną elegancją? Czy pójdziecie w lachmanach nie byłoby większym brakiem szacunku dla Danny'ego niż niepójście wcale?

Rozpacz zalewającej im serca nie da się określić słowami. Przeklinali swój los. Przez frontowe drzwi widzieli paradującego drogą Galveza. Galvez kupił sobie nowe ubranie i nawet je włożył na dwadzieścia cztery godziny przed właściwym czasem. Przyjaciele podparli brody pięściami, przygniatał ich ciężar przewrotnego losu. Rozważali każdą możliwość.

Pilon po raz pierwszy w życiu zniżył się do absurdalnych propozycji: - Moglibyśmy wyjść dzisiejszej nocy na wyprawę i każdy oddzielnie ukradłby jedno ubranie - zaproponował wiedząc, że to nierozsądny pomysł, gdyż tej nocy wszystkie ubrania będą znajdowały się na krzesłach koło łóżek śpiących. Próba kradzieży groziłaby śmiertelnym niebezpieczeństwem.

- Armia Zbawienia daje czasami ubrania - podsunął Jezus Maria.

- Byłem u nich - odparł Pablo. - Tym razem mają czternaście sukienek, ale ani jednego ubrania męskiego.

Los zamknął wszystkie furtki. Do pokoju wszedł Tito Ralph z nową zieloną chustą w kieszonce marynarki, ale powitały go tak wrogie spojrzenia, że się szybko wycofał z pokoju.

- Gdybyśmy mieli chociaż tydzień, moglibyśmy pracować u Czin Ki - powiedział bohaterstwo Pilon. - Ale pogrzeb jest jutro. Musimy spojrzeć sytuacji w oczy. Oczywiście



możemy iść.

- Jak? - spytali przyjaciele.

- Możemy iść chodnikiem, a orkiestra i ludzie będą szli ulicą. Dokoła cmentarza rośnie wysoka trawa. Położymy się w niej i będziemy wszystko widzieli.

Przyjaciele z wdzięcznością spojrzeli na Pilon. Wiedzieli, że jego bystry umysł bada każdą możliwość. Niestety to rozwiązywało jedynie połowę albo nawet mniej niż połowę problemu. Oglądanie pogrzebu to mało. Najważniejsze, by widzieli ich inni. A na to nic nie mogli poradzić.

- Wyciągnijmy stąd naukę - powiedział Pilon. -1 weźmy do serca sprawę, by zawsze mieć w pogotowiu dobre ubranie. Nigdy nie można przewidzieć, kiedy będzie potrzebne.

I więcej nie roztrząsali tego problemu, choć w głębi serca czuli, że w pewnym stopniu zawiedli Danny'ego. Przez całą noc chodzili po mieście, nie opuszczając żadnego ogrodu i wybierając tylko najlepsze kwiaty. Ani jeden krzak nie został pokrzywdzony pominięciem. Rano dół na cmentarzu, w którym spocząć miało ciało Danny'ego, został zasypany górą najcudowniejszych bukietów z najlepszych ogrodów Monterey.

Nie zawsze Natura przejawia smak w doborze efektów klimatycznych. Przed Waterloo padał deszcz, czterdzieści stóp śniegu pokryło szlak wyprawy Donnera. Ale piątek okazał się dniem ślicznym. Słońce wstało wesołe, jakby zapowiadając dzień na piknik w lesie, nad śmiejącą się zatoką płynęły mewy do przetwórni ryb. Rybacy, którzy wierzyli, że ryba łapie najlepiej w czasie przyprływu, zajmowali swoje miejsca na skałach. W drogerii opuszczono markizy, aby słońce nie psuło czerwonych gumowych worków na brzuch. Pan Machado, krawiec, wywiesił za szybą napis „Wracam za dziesięć minut” i poszedł do domu przebrać się na pogrzeb. Trzy kutry obładowane sardynkami wpłynęły do portu. Louie Duarte malował swoją łódź, zmieniając jednocześnie nazwę „Lolita” na „Trzy Kuzynki”. Jake Lake, glina, zatrzymał kabriolet z Del Monte, potem go puścił i kupił sobie cygaro. Zagadka: jakże tego dnia życie może płynąć swoim głupim torem? Jak Mamie Jackson może polewać trawnik przed domem? Jak pan George W. Merk może pisać swój czwarty, najbardziej obraźliwy list do Dyrekcji Wodociągów? Jak Charlie Marsh może być równie wstrętnie pijany jak zwykle? To bluźnierstwo. To grzech krzyczący o pomstę do nieba.

Przyjaciele Danny'ego obudzili się smutni i szybko wstali z podłogi. Łóżko Danny'ego stało puste. Jak rumak, który idzie za swoim jeźdźcem do grobu. Nawet Wielki Joe Portugalczyk nie rzucał dziś łakomych spojrzeń na łóżko Danny'ego. Słońce z zapalem

sączyło się przez okno, rzucając na podłogę delikatne odbicie pajęczych sieci.

- Danny byłby szczęśliwy z takiego poranku - powiedział Pilon. Po spacerze do parowu przyjaciele chwilę przysiedli na ganku, aby w skupieniu uczcić pamięć przyjaciela. Lojalnie przypominali sobie i wygłaszali pochwały cnót Danny'ego. Lojalnie zapominali o jego błędach.

- I jaki był silny! - powiedział Pablo. - Silny jak muł. Potrafił unieść belę siana.

Opowiadali różne historie o Dannym, o jego dobroci, odwadze i pobożności.

Nim się spostrzegli, trzeba już było iść do kościoła i stanąć w lachmanach przed jego wrotami. Wstydzili się bardzo, gdy widzieli, jak inni szczęśliwsi od nich ludzie wchodzi do środka ubrani tak pięknie, obficie skropieni i pachnący wodą kwiatową. Stojąc przed kościołem, przyjaciele słyszeli organy i odgłosy mszy, widzieli nadejście szwadronu kawalerii i orkiestry z zakrytymi krepą bębnami, widzieli pluton honorowy i biedkę zaprzęzoną w sześć koni z kawalerzystą na każdym koniu. Pogrzebowe kłapanie podków na asfalcie obudziło w sercach przyjaciół rozpacz i gorycz. Rozżaleni patrzyli na wyprowadzenie trumny, ustawianie jej na biedce, okrywanie flagą. Szwadron ruszył z miejsca, pluton honorowy szedł z opuszczonymi lufami karabinów, bębny wybijały chwytający za serce wolny rytm. Orkiestra grała swój ponury marsz. Biedka ruszyła z miejsca, za biedką ludzie, mężczyźni poważni i wyprostowani, kobiety delikatnie podnoszące spódnice powyżej obłoczków kurzu wzbitego kopytami koni. Wszyscy tu byli: Kornelia Ruiz, pani Morales, Galvez, Torelli i jego gruba żona, pani Palochico, zdrajca Tito Ralph, Słodka Megiera, pan Machado, wszyscy, którzy coś znaczyli w Tortilla Flat, i wszyscy inni też.

Czy można się dziwić, że przyjaciele nie mogli znieść upokorzenia i nieszczęścia, jakie na nich spadło? Przez pewien czas jeszcze wlekli się pod murami, bohatersko zbierając odwagę.

Jezus Maria załamał się pierwszy. Załkał ze wstydu, gdyż ojciec jego był bogatym i ogólnie szanowanym zapaśnikiem. Jezus Maria schylił głowę i uciekł, pozostałych pięciu pomknęło jego śladem, a za nimi pięć psów.

Nim kondukt pogrzebowy dojechał do cmentarza, przyjaciele leżeli już w wysokiej trawie, jaka rosła dokoła. Ceremonia była krótka, wojskowa. Trumnę opuszczono do grobu, sucho zakaszlały karabiny, trąbka odegrała hejnał, na co Enriague, Fluff, Pajarito, Rudolf i *senor* Alec Thompson stuliły uszy i odpowiedziały wyciem. Ach, jaki Pirat był z nich wtedy dumny!

Wkrótce wszystko się skończyło, przyjaciele szybko odeszli, żeby ich nikt nie zobaczył.

Wracając do siebie, musieli przejść koło pustego domu Torellego. Pilon korzystając z okazji wszedł na chwilę przez okno i wyniósł dwa galony wina. Wtedy przyjaciele już wolnym krokiem wrócili do cichego domu Danny'ego. Uroczyście napełnili słoiki po konfiturach i wypili.

- Danny lubił wino - mówili. - Danny był bardzo szczęśliwy, kiedy miał wino.

Minęło popołudnie, nadszedł wieczór. Każdy z przyjaciół, pociągając ze szklanki, błędził myślami w przeszłości. O siódmej wrócił zawstydzony Tito Ralph i przyniósł pudełko cygar, które wygrał w jarmarcznej budzie. Przyjaciele zapalili cygara, splunęli i otworzyli drugi gąsiorek wina. Pablo spróbował zaśpiewać parę taktów piosenki „Tuli Pan”, aby sprawdzić, czy na zawsze stracił głos.

- Kornelia Ruiz była dzisiaj sama - zaryzykował nowy temat Pilon.

- Chyba możemy zaśpiewać parę smutnych pieśni? - spytał Jezus Maria.

- Ale przecież Danny nie lubił smutnych pieśni - zauważył Pablo. - Lubił takie szybkie i żywe, i o żywych kobietach.

Skinęli poważnie głowami. - Tak, Danny był pies na kobiety.

Pablo spróbował drugiej zwrotki „Tuli Pan”, Pilon mu trochę pomógł, wreszcie pod koniec przyłączyli się pozostali.

Kiedy skończyli śpiewać, Pilon zaciągnął się cygarem, ale cygaro już zgasło. - Tito Ralph - powiedział. - Dlaczego nie zagrasz na swojej gitarze, żeby nam było łatwiej śpiewać? - Zapalił cygaro i odrzucił zapalniczkę.

Mały patyczek z płomykiem wylądował na starej gazecie pod ścianą. Wszyscy rzucili się, żeby zgasić ogień, nagle wszystkich uderzyła jedna myśl, więc cofnęli się. Porozumieli się spojrzeniem, uśmiechnęli mądrym uśmiechem ludzi, którym obojętna jest śmierć i którzy już nie mają szansy zbawienia. Jak we śnie patrzyli na płomień, który delikatnie lizał papier, prawie zgasł, a potem znowu porwał się do życia. Widzieli języki ognia wykwitające z gazety. To przemawiają małostkowi bogowie! Przyjaciele uśmiechali się na widok płonącego papieru, a potem patrzyli spokojnie na drewnianą ścianę, która się od niego zajęła.

Tak musiało być, mądrzy przyjaciele Danny'ego! Węzeł, który was łączył, nagle pękł. Magnes, który was przyciągał, stracił swoją moc. Dom miałby należeć teraz do kogoś obcego, do jakiegoś pozbawionego radości życia kuzyna Danny'ego? Nie, lepiej niech ten wspaniały symbol świętej przyjaźni, to miejsce przyjęć i bójek, miłości i wygod, umrze tak, jak umarł Danny - w ostatnim pełnym chwały natarciu na bogów.

Usiedli i uśmiechali się dalej. A ogień pełzł po ścianie jak jaszczurka, wydostał się na

dach i zaryczał na wietrze. Dopiero wtedy przyjaciele wstali i wyszli na dwór podobni do ludzi w transie.

Pilon, który nigdy o niczym nie zapominał, zabrał ze sobą resztę wina.

W Monterey zawyły syreny. Wozy straży pożarnej jęczały na drugim biegu, pędząc pod górę. Między drzewami pojawiły się ich reflektory. Kiedy straż przybyła na miejsce, dom Danny'ego był jedną wielką pochodnią z ostrzem ognia skierowanym w niebo. Sikawki zaczęły skrapiać drzewa, by ogień nie rozszerzył się na las.

W tłumie mieszkańców Tortilla Flat stali jak zahipnotyzowani przyjaciele Danny'ego i przyglądali się, póki z domu nie został stos dymiących czarnych zgliszcz. Wtedy dopiero samochody straży pożarnej zawróciły i odjechały do miasta.

Mieszkańcy Tortilla Flat wsiąkli w mrok, przyjaciele Danny'ego jeszcze stali, przyglądając się dymiącym szczątkom. Potem wzrok ich się spotkał i znowu wrócił na zgliszcz. A potem obrócili się i odeszli powoli, a każdy szedł oddzielnie.